

Metzger Barbara

Diamentowy klucz

Lady Victoria nigdy nie podejrzewała, że wizyta u modystki może zdecydować o jej losie. Gdy sklep staje w płomieniach, a ona zostaje uwięziona w płonącym budynku, przysięga poślubić tego, kto ją uratuje. Kiedy więc wicehrabia Ingall wynosi ją z pożaru, Victoria oświadcza, że zostanie jego żoną. Nie wie jednak, kim naprawdę jest jej wybawca...

1

Najpierw pojawił się dym. Potem zrobiło się gorąco. A na koniec z zakładu krawieckiego Madame Michaeli rozległy się krzyki.

- Ogień! Ogień! Wychodzić!

- Na litość boską! - Sztuczny francuski akcent mistrzyni ulatniał się wraz z jedwabiami, satyną, wstążkami i koronkami. - Mój sklep! Pomocy!

Torrie, a właściwie lady Victoria Ann Keyes, przez chwilę zamarła na podwyższeniu w przymierzalni, gdzie pomocnica Madame układała na niej zwoje zielonego aksamitu.

- Tina, czy tak? - zwróciła się do młodej dziewczyny z szeroko otwartymi ze strachu oczyma. - Idź i dowiedz się, co się dzieje.

Tina upuściła taśmę i kawałki materiału, które miały stać się nowym strojem Torrie do jazdy konnej, i wybiegła z pokoju.

Krzyki przybrały na sile, dym gęstniał. Tina, rzecz jasna, nie wracała, a Torrie nie mogła dłużej czekać. Niestety, była w samej koszuli i pończochach, jej suknia i pantofle leżały

1

na stołku w kącie, tam gdzie teraz kłębił się dym. Chwyła kawałek zielonego aksamitu - pomyślała, że ten kawałek rękawa nie bardzo ją osłoni - i pobiegła w stronę, skąd dobiegał piskliwy krzyk Madame Michaeli. I wtedy przypomniała sobie o pokojówce.

Ruthie Cobb, zaraziwszy się zapewne od mocno przeziębionej matki Torrie, nie czuła się zbyt dobrze, kiedy więc dotarły do pracowni, Torrie zapytała modystkę, czy dziewczyna nie mogłaby gdzieś odpocząć. Nie chcąc za nic na świecie urazić jednej ze swoich najlepszych klientek, Madame Michaela osobiście zaprowadziła Ruthie do pomieszczenia na tyłach pracowni. A jeśli jej służąca zasnęła i nie słyszy nawoływań do opuszczenia budynku? Torrie zawróciła i pobiegła korytarzem, podskakując na jednej nodze, kiedy szpilka ukłuła ją w piętę.

Dym pojawił się również tutaj, ale Torrie biegła dalej, mijając opustoszałe pomieszczenie dla szwaczek. Zawołała, ale w odpowiedzi słyszała tylko trzask ognia. Nareszcie! Znalazła magazyn wypełniony belami materiału po sufit i pustą, na szczęście, pryczę. Teraz mogła spokojnie ratować siebie.

Dym napływał z miejsca, gdzie powinno się znajdować tylne wyjście, języki ognia sięgały już z frontowej części zakładu do pracowni, gdzie lada chwila zajmą się leżące na podłodze skrawki materiału, zmieniając pokój w piekło. Torrie zmusiła się do zachowania spokoju i zauważyła wysokie okno. Gdyby zdołała się na nie wspiąć, wydostałaby się na zewnątrz, zanim sytuacja stanie się groźna. Przesunęła pod okno drewnianą ławę, stanęła na niej i wyciągnęła rękę w stronę okiennej klamki, ale jej nie dosięgnęła. Bele materiału mogły jej w tym pomóc. Ściągnęła z półki jed-

na, była cięższa, niż się wydawało, potem drugą i ułożyła je na ławie. Na to wciągnęła jeszcze jedną. Wdrapała się na nie, dysząc ciężko z braku powietrza, wysiłku i strachu -i cała konstrukcja zwała się: bele materiału, ława i złamana rama okienna. Upadając, Torrie chwyciła to, co wpadło jej w dłoń, i ściągnęła więcej bel. Wszystko zwało się na nią, razem z półkami.

Z siłą, o jaką siebie nie podejrzewała, nie zwracając uwagi na ból głowy - uderzyła się widocznie o ścianę czy podłogę - zaczęła zrzucać z siebie bele. Usiadła. Nie mogła jednak uciec, gdyż stopas utkwiała w zwojach materiału pod zlaną ławą.

Czekała ją śmierć. Lady Victoria Ann Keyes, córka hrabiego, ulubienica towarzystwa, brylant czystej wody, miała umrzeć wśród stosów bel niesprzedanego materiału. Brakowało jej powietrza, po policzkach spływały łzy i to nie tylko dlatego, że dym drażnił jej oczy. Jest za młoda, żeby umierać. Przecież ma dopiero dwadzieścia lat, ledwie zaczęła żyć!

Przekreśliła się tak, że udało jej się odepchnąć belę brokatu, belę jedwabiu i zwój szorstkiej wełny. Potem usłyszała dzwony. To nie anioły witały ją na tamtym świecie, słyszała sygnał straży pożarnej, gwizdy i krzyki strażaków. Madame Michaela na szczęście zapłaciła ubezpieczenie. Nadciągała pomoc.

- Tutaj! Jestem tutaj, na tyłach! - zawołała Torrie.

Nie wiedziała dotąd, że ogień jest taki głośny. Podobnie jak strażacy, którzy opróżniali ulicę z gapiów, ciągnęli węża, ustawiali się w rzędy do podawania wiader. Tylko cud mógł sprawić, żeby ją usłyszeli. No cóż, jeśli potrzeba cudu, żeby wydobyć ją z piekła, uznała, zacznie się modlić. Sytuację, poza gorącem, dymem

i masą materiału, która ją przygniatała, utrudniało to, że nie знаła żadnych modlitw poza tymi, które zwykle recytowała w niedzielę. To nie były modlitwy stosowne w tych okolicznościach. Nie pora na zanoszenie próśb o łaskę, skoro przedtem nie była w zbyt dobrych stosunkach z Wszechmogącym. Opuściła nawet parę razy niedzielne nabożeństwo, kiedy poprzedniego wieczoru tańczyła do świtu. I zdecydowanie wzywała imię Pana Boga nadaremno - na przykład teraz, kiedy nadepnęła na szpilkę. Oczywiście nigdy nikogo nie zamordowała ani niczego nie ukradła, ale często plotkowała, a w zeszłym tygodniu zazdrościła lady Valentine włoskiego ogrodu z marmurowym pałacykiem. Nie, nie zawsze postępowała tak, jak należy, w zgodzie z przykazaniami, czemu więc jej modlitwy miałyby zostać wysłuchane?

Nie była też najlepszą z córek, pomyślała ze smutkiem. Szacunek dla rodziców? Oni życzyli jej szczęścia i chcieli zapewnić bezpieczną przyszłość, a czy ona spełniła ich najgłębsze pragnienia? Nie. Po trzech sezonach wciąż była niezamężna, a mama i papa, nadal niemający wnucząt, musieli przyjechać do Londynu, żeby obracać się w towarzystwie. Papa tęsknił za swoimi owcami, mama za ogrodami, nie ustawali jednak w wysiłkach, by ich ukochane jedyne dziecko znalazło mężczyznę swoich snów.

Zacisnęła dłoń na talizmanie, który nosiła na szyi na złotym łańcuszku - złotym kluczykiem wysadzonym diamentami. Dostała go od ojca w dniu pierwszego balu, kiedy miała siedemnaście lat. - Znajdź serce, które ten kluczyk otworzy, kwiatuśku - powiedział papa, promieniejąc z dumy, że ma u swego boku piękną córkę i piękną hrabinę, która wciąż miała klucz do jego serca.

Torrie nie znalazła drugiej połowy, choć miała wiele adoratorów. Rzucali jej kwiaty do stóp, zasypywali ją komplementami, chcieli wcisnąć pierścionek na palec, żadne jednak serce nie otworzyło się dla niej, w każdym razie takie, dla którego zabiłoby szybciej jej własne. Lord Skyler miał na widoku jedynie posag bogatej żony, nawet jeśli pewnego dnia miał zostać księciem. Sir Stanley podążał za głosem swojej muzy, tworząc paskudne wiersze, a pan Drosher się ślinił. To ci kawalerowie ostatnio poprosili ojej rękę i o majątek ojca.

I proszę, dokąd zaprowadziło ją jej kapryśne, wybredne serce - do płonącego domu, gdzie miała wydać ostatnie tchnienie samotna i niekochana. Poprzysięgła sobie, że się zmieni, jeśli ktoś ją uratuje. Poślubi pierwszego mężczyznę, którego ojciec przyprowdzi do domu z klubu Whi-te'a, kogoś solidnego i stałego, takiego jak papa. Niech tylko przeżyje, obiecywała, a wyjdzie za pierwszego mężczyznę, który o to poprosi, bufona, głupca, łowcę posagów. Nie, uznała w końcu, poślubi tego, który ją uratuje. Może być cuchnącym kielbasą i piwem pracownikiem agencji ubezpieczeniowej, ale to nieważne. Za jej pieniądze będzie mógł kupić własną agencję ubezpieczeń od pożaru. *Beau monde* zamknie się przed lady Victorią Ann Keyes i jej nisko urodzonym mężem, ale Torrie zdążyła już uczestniczyć w wystarczająco wielu balach i rautach. Zadowolili się chatką na wsi, kołyską i czułym mężem. Oby się tylko pośpieszył. Na wypadek gdyby tego okropnego popołudnia Bóg nie słuchał modlitw, Torrie wrzasnęła najgłośniejszym głosem, jak umiała:

- Pomocy! Ratujcie!

Wynn Ingram, wicehrabia Ingall, szedł ulicą pogrążony we własnych myślach, pozwalając, aby pies prowadził. Zaledwie usłyszał hałas wozów strażackich i zauważył tłum gapiów, tak bardzo pochłaniały go niewesołe myśli. Ktoś krzyknął, żeby usunął się z drogi, w końcu więc zauważył, co się wokół dzieje. Nie chciał przyłączyć się do gapiów, ciekawych widoku płonącego budynku - w którym mogli zginąć ludzie - i zawrócił drogą, którą przyszedł. Głupi zwierzak, jego pies, pobiegł jednak, szczekając jak opętany, uliczką, wprost ku pożarowi. Kudłaty terierek przyczepił się do Wynna, kiedy bombajski kliper wicehrabiego zawinął do portu, i żadne przekleństwa czy groźby nie zdołały go zniechęcić. Uparty kundel jako jedyny powitał Wynna w Anglii po sześciu latach podróży, lord Ingall w końcu przystał na to. Od tamtej pory pies nie odstąpił go ani na krok. Taka wierność liczyła się dla kogoś, kto zaznał jej w życiu niewiele. Tak więc Wynn i teraz ruszył za psem w zaułek.

- Pomocy! Ratujcie! - dobiegło do jego uszu przez zgiełk głosów, dzwonków, szczekania.

- Do diabła - zaklął, ale biegł dalej, szukając tylnego wejścia do ogarniętego pożarem domu. Blokowała je beczka na śmiecie. Przeklął w myślach durnia, który ją tu postawił, zamykając w pułapce tych, co byli wewnątrz. Potem stwierdził, że beczka też się pali, a płomienie liżą ściany domu. Nie zważając na własne bezpieczeństwo, odepchnął beczkę na bok i wpadł do środka z szalonym psem depczącym mu po piętach. Zasłaniając usta i nos przed dymem, przedarł się przez pracownię i ciemny korytarz. Krzyki o pomoc ucichły, ale on szedł za piskliwym poszczekiwaniem psa. Terier grzebał gorączkowo w stosie materiału i Wynn dostrzegł kobietę zaplątaną w jedwabie i satynę. Odsunął

psa i zaczął usuwać bele materiału, potem połamane półki, aż ją uwolnił. Nie mógł stwierdzić, czy nadal oddycha, ale widział, że jest niemal naga. Kaszląc, ściągnął kubrak i owinął ją, nie po to, by chronić jej niewieści wstyd, ale żeby osłonić kremową skórę, przeświecającą przez sadzę i dym.

- Nie umieraj, do diabła! - krzyknął, podnosząc ją, i rzucił się do drzwi, przez dym i płomień. W końcu dotarł do mężczyzn w skórzanych kurtkach z wiadrami i wężami. Biegł dalej, chcąc wydostać się na świeże powietrze i udzielić nieszczęsnej pomocy.

Zatrzymał się i rozejrzał za bezpiecznym miejscem, gdzie mógłby ją położyć. A potem usłyszał najcudowniejszy dźwięk w życiu: przerywany oddech. Dzięki Bogu, żyła. Zaniósł ją jeszcze dalej od ognia.

Kobieta wciągnęła powietrze, zakrztusiła się i jeszcze raz głęboko odetchnęła. Potem usłyszał jej chrapliwy szept:

- Jest pan żonaty?

Wynn o mało jej nie upuścił.

- Nie, do licha.

- Dobrze - wycharczała. - Zatem ożeni się pan ze mną. Uczyniłam ślub, rozumie pan, że wyjdę za mąż za tego, kto mnie uratuje.

Wicehrabia spojrział w dół, sprawdzając, czy pies wciąż za nim idzie.

- To Homer panią uratował.

Zanim znowu straciła przytomność, Torrie wyrzuciła z siebie:

- A czy on jest żonaty?

2

Ulica wokół objętego pożarem domu zamieniła się w dom dla obłąkanych, do którego najpewniej należała uratowana kobieta. Nie, pomyślał, nałykała się po prostu zbyt wiele dymu, a to przyćmiło jej zmysły. Jak przypuszczał, zwykle zachowywała się tak samo rozsądnie, jak każda inna kobieta. Im szybciej znajdzie się pod opieką medyka, tym lepiej dla nich obojga, niezależnie od tego, z jaką ufnością obejmowała go za szyję i tuliła się do jego piersi.

Mógł przyjąć pod swój dach bezdomnego, głodnego psa, ale nie dorosłą, dobrze urodzoną kobietę! Do licha, nie. Wicehrabia nie umiał ocenić jej wyglądu pod sadzą i brudem, ale domyślał się, że ma jasne włosy, sądząc po prześwitującej spod jego kurtki jasnej skórze. Założyłby się, że jest piękna - ostatnia rzecz, jakiej potrzebował w życiu.

- Chodź, Homer. Ktoś z pewnością szuka naszej damy. Tak było w istocie. Podbiegł do nich krzykliwie ubrany,
chudy mężczyzna.

- Lady Torrie, dzięki Bogu. - Otarł czoło obszytą koronką chusteczką, którą szybko wsunął do rękawa.

- Tutaj, człowieku, wezmę ją.

Butelkowitzelony kubrak był tak opięty na jego chudej postaci, że szwy pewnie by puściły, gdyby podniósł coś cięższego od własnego kapelusza.

- Bzdura - odparł Wynn. - Trzymam ją mocno. Znajdź tylko powóz, żeby ją zabrać do domu.

Mężczyzna przygryzł niepewnie palce w żółtych rękawiczkach z Limerick.

8

- Mój powóz jest za rogiem. Aleja... Ale pan...

- Dalej, człowieku. Prowadź.

Fircykowaty dżentelmen nadal się wahał, najwyraźniej niepewny, czy może zostawić damę pod opieką kogoś obcego. Wynn nie miał do niego żalu. Zdawał sobie sprawę, że bez kurtki, z rozwiązanym fularem i twarzą zapewne równie umorusaną jak oblicze nieprzytomnej damy wygląda jak karaibski pirat.

- Nie czas na grzeczności. Lady... Torrie, tak pan powiedział?... potrzebuje pomocy lekarza.

- Lady Victoria Ann Keyes - odparł dumnie mężczyzna. - Córka hrabiego Duchamp.

Nazwiska te nic Wynnowi nie mówiły, za długo przebywał poza krajem. Poza tym bolały go ramiona, kiedy tak stał bez ruchu.

- Cóż, zapewne hrabia będzie chciał zobaczyć córkę jak najszybciej, kiedy tylko usłyszy o pożarze - parsknął niecierpliwie - albo więc zaprowadzi nas pan do powozu, albo zejdzcie mi z drogi.

Dandys pobiegł przed siebie, wsunąwszy laseczkę pod pachę. Wynn ruszył za nim, pies zaszczekał, a kobieta jęknęła.

- Już niedługo - szepnął Wynn uspokajająco. - Może pani przyjaciel ma w powozie coś do picia. Musi mieć pani sucho w gardle. - Wynn również czuł tę suchość, choć nie przebywał w dymie tak długo jak ona. Wątpił jednak, by zielony jak konik polny dżentelmen miał ze sobą coś tak praktycznego, jak butelka z wodą. Już prędzej lusterko i grzebień.

Zastanawiał się, gdzie mógłby znaleźć kubek wody.

- Daleko jeszcze? - zapytał.

Niski mężczyzna zatrzymał się przed zielono-złotą karocą z herbem na drzwiach.

- Tutaj. Wezmę ją.

- Nie, niech pan poda woźnicy adres, a sam pobiegnie naprzód. - Spojrzał na pająkowane nogi dżentelmena i jego wypolerowane pantofle. - Nie, niech pan raczej najmie kogoś, żeby pobiegł albo pojechał przodem i uprzedził domowników. Potrzeba jej zimnych napojów, kąpieli i lekarza.

Mężczyzna utkwił wyłupiaste oczy w lady Victorii, jakby była zrobiona z waty cukrowej i miała się zaraz rozpuścić. Wciąż gryzł palce, nie odsuwając się na bok.

- Ale to ja miałem być... To jest, ja powinienem ją odwieźć do domu. Wie pan, lady Torrie zamierzała...

Kobieta uniosła głowę i odchrząknęła.

- Bzdura, Boyce. To ty zamierzasz spłacić swoje długie moim posagiem. Poza tym wychodzę za mąż za tego dżentelmena. Tak ślubowałam.

Wynn chętnie rzuciłby teraz oszołomioną dymem kobietę w cherlawe ramiona lorda Boyce, ale elegant sięgnął po wstążkę od monokla.

- Nie możesz poślubić nisko urodzonego strażaka, Torrie. To się nie godzi. - Podniósł szkło do oka i łypnął na Wynna. - E..., to przecież Ingram.

- Obecnie wicehrabia Ingall - sprostował Wynn, poznając w końcu George'a St. Brennera, z którym, setki lat wcześniej, jak mu się wydawało, chodził do szkoły. Skinął lekko głową na znak, że go poznaje. - Lordzie Boyce.

- Na Boga, Torrie, to szubrawiec gorszy od strażaka, co nosi wiadra. Nie jest przyjmowany w towarzystwie, był na wygnaniu. Poślubić go? Nie możesz się pokazywać z kimś

takim, a co dopiero pozwolić, żeby cię odwiózł do domu. Jego reputacja...

- Mniejsza o moją reputację - powiedział Wynn, obchodząc Boyce'a. - Dama potrzebuje opieki.

- Ale... ale...

Wynn wchodził już do karety, która zachybotwała się pod ciężarem jego i lady Victorii. Trzymał ją teraz jeszcze mocniej. Zamiast położyć ją na poduszkach, usiadł i ułożył ją sobie na kolanach. Uznał, że mogłaby spać na podłogę.

Pies wskoczył za niego, potem odwrócił się, szczerząc zęby na lorda Boyce, który stał z otwartymi ustami. Nadal patrzył przez monokl.

- Ale... ale... - wyjąkał - ona nie może z panem jechać. Uwalniając jedną rękę, Wynn postukał w dach powozu,

dając znak woźnicy, żeby ruszał.

- W drogę, Boyce. Dama jest przy mnie bezpieczna. Kiedy kareta szarpnęła i potoczyła się naprzód, Torrie

wyciągnęła rękę - tę, którą nie obejmowała szyi swojego wybawiciela - spod otulającego ją kubraka i poklepała go lekko po policzku.

- Oczywiście, że jestem bezpieczna. Już uratowałeś mi życie. Dlatego powinniśmy się pobrać.

- Może Boyce ma tu gdzieś jakąś flaszkę - odparł wicehrabia i przeniósł Torrie na przeciwległe siedzenie, obok psa, żeby móc się rozejrzeć. Rozpaczliwie potrzebowali wody.

Poślubić ją? Do diabła, spędził sześć lat życia na obczyźnie i naraził na szwank honor rodziny dla kobiety. Niech będzie przeklęty, jeśli poświęci wolność dla jeszcze jednej idiotki.

2 - Diamentowy klucz

Wynn Ingram, wicehrabia Ingall, nie ufał kobietom. Nie lubił ich.

A już z całą pewnością ich nie rozumiał.

Gdy przestąpił próg rezydencji Duchampa przy Grosve-nor Square, rzucił się na niego tłum około piętnastu kobiet. Wynnowi nigdy nie przyszłoby do głowy, że może zatęsknić za kanadyjską puszcza. Były tam służące o pobladłych twarzach, załamująca dłonie pokojówka, która zawodziła, że wszystko to z jej winy, oraz pełna niepokoju gospodyni czekająca na polecenia. Jedna z kobiet krzyknęła: „Moje dziecko!”, inna, odziana na czarno, podprowadziła ją bliżej, by sama mogła się przekonać, że lady Victoria nadal oddycha. Dama odsunęła kosmyk brudnych włosów z jej policzka.

- Nic mi nie jest, mamó, naprawdę. - Głos Torrie brzmiał cicho i chrapliwie, ale była w nim siła. - Ten dzielny dżentelmen przybył w porę i mnie uratował.

Teraz do akcji wkroczył majordomus o wilgotnych oczach, strzelając palcami i dając w ten sposób znak dwóm rośłym lokajom, żeby przejęli ciężar od Wynna. Gestem posłał naprzód dwie służące. Mężczyźni wnosili ostrożnie po marmurowych schodach cenny pakunek.

Zapłakana dama, zapewne lady Duchamp, odwróciła się na stopniu do Wynna, który czuł dziwną pustkę w ramionach.

- Proszę zostać, chciałabym panu stosownie podziękować, gdy tylko zapewnię opiekę Torrie. Posłano już po mojego męża. Chciałby niewątpliwie...

- Proszę się o mnie nie troszczyć, pani. Zdrowie pani córki jest wystarczającą nagrodą.

- Nie, musi pan zostać. Nalegam.

Wynn rozpoznał tę samą władczość i tę samą, świadcząca o silnym charakterze, brodę, jakie zauważył u lady Victorii. Jeśli córka przypominała matkę pod innymi względami, musiała być w istocie wspaniała. Hrabina Duchamp była elegancką, pełną wdzięku kobietą o rudawych włosach, okrytych koronką. Wydawała się zdumiewająco młoda jak na matkę panny na wydaniu. Zakrztusił się, kiedy przypomniał sobie rozmowę o małżeństwie, i lady Duchamp drgnęła.

- Tak. Potrzebuje pań czegoś do picia. Powinam kazać coś panu podać wcześniej.

- Nie, pani. Nie chciałbym przeszkadzać w chwili, kiedy mają państwo inne zmartwienie.

- Nie chcę słyszeć, że pan wychodzi. Dość na tym. Lady Ann, moja szwagierka, zajmie się panem, w czasie gdy ja będę przy Torrie. - Skinęła głową ku damie w czerni, która ze zmarszczonym czołem stała obok Wynna, jakby chcąc dopilnować, żeby nie uciekł ze srebrami. Jej spojrzenie przejmowało takim chłodem, że Wynn poczuł, jak drży. Nigdy by nie pomyślał, że będzie mu brakowało upałów Bombaju. Jeśli lady Torrie przypominała tego starego smoka, nic dziwnego, że jest niezamężna. Zanim zdążył rzucić się ku drzwiom, lady Duchamp dokończyła: - Poza tym i tak musi pan poczekać na kurtkę.

Wynn nie miał ochoty spacerować po Londynie w samej koszuli ani wracać do domu w Kensington. Karetą Boyce'a odjechała, Wynn zaś nie śmiał poprosić o pożyczenie powozu Duchampów. Nie mógł też wynająć powozu, gdyż jego portfel spoczywał w kieszeni kubraka, który zniknął właśnie na schodach, wciąż owinięty wokół lady Torrie. Jedną z

służących opatulila ją kocem, ale Wynn zdążył zauważyć jedną zgrabną nóżkę.

Lady Ann odchrząknęła i spojrzała na niego gniewnie, sprawiając, że poczuł się jak młodzieniec przyłapany z ręką pod spódnicą pokojówki.

- Może zatem poproszę o miskę wody dla psa - zdołał wykrztusić.

Lady Ann sapnęła przez nos i ruszyła korytarzem w stronę wspaniałego biało-złotego salonu.

Wskazała tacę z karafkami i kieliszkami, wydając jednocześnie polecenia majordomuso-wi, ale Wynn nie odważył się wejść do pięknie urządzonego pokoju. W obecnym stanie, brudny i spocony, nie pasował do wymyślnych sztukaterii, ozdobionego malowidłem sufitu i bezcennych posągów ustawionych w każdej niszy. Zresztą, w ogóle nie pasował do tego domu, bez względu na to, jak był ubrany. Kiedy tylko lady Duchamp zda sobie sprawę, kim on jest, albo też kiedy wróci hrabia, jej mąż, oboje z radością się go pozbędą. Powinien odejść, zanim będą wbrew sobie zmuszeni do uprzejmości wobec pariasa. Może tylko umyje się w kuchni i wypije szklanekę piwa.

Ale było już za późno. Homer chleptał wodę z kryształowej miski, którą lokaj postawił na podłodze.

Mały piesek w najlepszych chwilach zaledwie sprawiał wrażenie dobrze wychowanego, a to nie była jedna z tych chwil. Wydawał się bardziej czarny niż zwykle, do jego krótkiej, kręconej sierści przywarły kawałki nici i popiół. Wąsy z jednej strony musiały się przypalić i teraz wydawał się skrzywiony. Wyglądał na włóczęgę jeszcze bardziej niż wicehrabia. Wynn w każdym razie nie rozchlapał wody na piękny turecki dywan.

- Powinienem już iść - powiedział do lady Ann, nadal marszcząc brwi z dezaprobatą. Prawdopodobnie jej twarz

zastygła niegdyś w takim grymasie. - Wątpię, aby mój kubrak nadawał się jeszcze do noszenia.

Lady Ann trzymała w ręku moką szmatkę.

- Czy naprawdę uratował pan moją bratanicę z pożaru? Skinął głową twierdząco.

- Ale to Homer usłyszał jej krzyki i zaprowadził mnie do niej.

Zamiast wręczyć płótno Wynnowi, siostra hrabiego schyliła się i zaczęła wycierać psa.

- Kocham moją bratanicę - szepnęła, zwilżając Homera bardziej łzami niż szmatką. - Nosi moje imię jako drugie. Dziękuję ci, piesku.

Homer pomachał ogonem i wrócił do miski.

Boże, Wynn został sam na sam z kobietą w wieku własnej matki - tyle że jego matka nigdy nad nim nie płakała, nawet wtedy, gdy wyjechał, by nigdy jej już nie zobaczyć. Miał nadzieję, że lady Torrie docenia to, co ma: ludzi, którzy troszczą się o jej dobro, o nią, którzy ją kochają.

A on miał psa.

3

Torrie? Gdzie jest moja dziewczynka?

Wynn słyszał głos nawet przez grube dębowe drzwi salonu.

Hrabia wrócił z klubu, dowiedziawszy się o pożarze. Wynn słyszał, jak lord Duchamp wbiega po schodach z głuchym dudnieniem i woła do żony:

- Maggie, gdzie jesteś? A do majordomusa:

- Mallen, nic jej nie jest, prawda? Powiedz, że mojej małej dziewczynce nic nie jest.

Wynnowi znów ścisnęło się serce, kiedy pomyślał, jak wielka miłość panuje w tej rodzinie.

- Pójdę już. W takiej chwili goście są zdecydowanie zbędni - powiedział do lady Ann.

- Zostanie pan i przyjmie podziękowania, jak przystało na dżentelmena, na jakiego pana wychowano - oznajmiła stara kobieta.

Nikt nie przemawiał do Wynna w ten sposób od ostatnich sześciu lat. Przewędrował dzikie pustkowia i przemierzył większość z siedmiu mórz. Zdobył majątek w krainach, gdzie prawie nie było ludzi, i powiększył go w kraju, może bardziej dzikim, w którym wrzało życie. Miał flotyllę statków handlowych i udziały w niezliczonej ilości dochodowych przedsięwzięć. Od niego zależał dobrobyt - jeśli nie życie - większej liczby ludzi, od tej, jaka zamieszkiwała niejedno angielskie miasto. Znalazł nawet czas, by wspomóc Koronę w delikatnych negocjacjach finansowych i dlatego odważył się ponownie pokazać w Londynie. Był teraz blisko trzydziestoletnim mężczyzną.

Miał pieniądze.

Miał władzę.

Usiadł na obitej brokatem sofie.

Zeby udowodnić, że nie zastraszy go żadna niezamężna ciotka, uniósł brew, po czym opuścił ją, zauważywszy, że lady Ann zbyt jest zajęta karmieniem Homera szynką, by zwrócić na to uwagę.

Teraz obaj nadawali się już do prezentacji, on i pies. Po napojach - wodzie dla Homera, zimnej lemoniadzie i brandy dla lorda Ingalla - pies został wypucowany, a Wynn przekazany w ręce samego Mallena. Kurtkę starannie wyczyszczono. Daleko jej było do doskonałości, podobnie jak źle zawiązanemu fularowi, podniszczonym butom i poplamionym bryczesom, ale Wynn przypominał teraz bardziej dżentelmena niż kominiarza. Czuł się więc niemal swobodnie, siedząc na złotym brokacie.

Usłyszał zbliżające się do drzwi kroki i wstał. Ukłonił się, odżegnał od wszelkich napomknien o swoim bohaterstwie i odejście. Nareszcie.

Majordomus także odzyskał właściwą formę, bez śladów łez czy drżenia rąk. Obwieścił uroczystym tonem:

- Jego lordowska mość, hrabia Duchamp.

Wynn skłonił się, ale lord Duchamp miał inne zamiary. Nie chciał poprzestać na uprzejmym skinieniu głowy ani nawet uścisku dłoni wobec człowieka, który uratował jego jedyne dziecko, światło jego życia, od śmierci w płomieniach. Czy raczej w duszącym dymie. Lord Duchamp nie znał jeszcze wszystkich szczegółów, ale jedno było pewne: zaciągnął u tego dżentelmena ogromny dług, taki, który zwróci z największą radością. Przebiegł przez dywan i zamknął Wynna w serdecznym uścisku. Co się stało ze słynnym angielskim chłodem uczuć, kiedy nie było mnie w kraju? - pomyślał Wynn, uwięziony w ramionach obcego człowieka, z których nie mógł się w uprzejmy sposób wyplątać. Nie przypominał sobie, żeby jego ojciec dotykał kogokolwiek: czy to swojego dziedzica, czy to żony, a już na pewno nie beużytecznego drugiego syna. Hrabia jednak, choć oczy miał czerwone od płaczu,

uśmiechał się promiennie. Być może tę uczuciowość odziedziczył po francuskich przodkach, ponieważ pod innymi względami stanowił obraz typowego wręcz brytyjskiego arystokraty o rumianych policzkach, kwadratowej szczęce, cienkich jasnych włosach - i determinacji buldoga, żeby otoczyć Wynna swoją radością i wdzięcznością.

- Wprawiasz młodego człowieka w zakłopotanie, Danielu. - Ta kostyczna uwaga lady Ann sprawiła, że hrabia opuścił ramiona i odstąpił do tyłu. Otarł oczy i wydmuchał nos, a potem przywołał gestem lokaja z tacą szampana.

- Wznieśmy toast! - zawołał Duchamp ku uldze Wynna. Jeden kieliszek i będzie mógł odejść.

Kiedy obaj wzięli po lampce, a Homerowi postawiono miseczkę na podłodze, hrabia uniósł wysoko kieliszek.

- Za twoje zdrowie, dzielny chłopcze.

- Za zdrowie pańskiej córki - szybko dodał Wynn.

- I za jej przyszłe szczęście - odezwał się hrabia, puszczając do Wynna oko. - Ale o tym porozmawiamy innym razem, prawda? Torrie opowiedziała mi o swoim ślubowaniu.

Wynn zakrztusił się szampanem. Hrabia wręczył mu serwetkę.

- Podano jej laudanum, szczegółów dowiem się jutro rano, ale nie mógłbym być bardziej szczęśliwy, mój chłopcze.

Wynn zaś czuł się tak szczęśliwy, jakby ugotowano go w oliwie, rozciągnano na drabinie czy też powieszono za kciuki. Chyba zresztą wolałby taki los.

Zanim więc hrabia zdążył dać na zapowiedzi, wtrącił pośpiesznie:

- Nie może pan poważnie traktować ślubu młodej damy. Obawiam się, że była w szoku. Każda kobieta w tej sytuacji dostałaby paroksyzmów. - Na to lady Torrie, na szczęście, go nie naraziła, poprzestając na dziwnym pomysle poślubienia go. - Pańska córka z pewnością miała zaćmiony umysł.

Uśmiech hrabiego zbladł, gdy popijał szampana.

- Nigdy nie zdarzyło się, żeby moja dziewczynka nie wiedziała, co mówi. W przeciwnym wypadku zaręczyłaby się sto razy w ciągu ostatnich trzech lat. - Poweselał, za to nadzieje Wynna na wywinięcie się z kłopotliwej sytuacji przygasły. - Jeszcze ma czas.

Wynn odstawił pusty kieliszek na tacę.

- O tak. Dzisiaj jednak robi się już późno, proszę mi więc wybaczyć. - Chciał oszczędzić sobie kolejnego toastu, przysięgi półprzytomnej damy, a hrabiemu zakłopotania, kiedy dotrą do niego plotki na temat Wynna. Postanowił niezwłocznie się pożegnać.

- Oczywiście, oczywiście. Nie codziennie zdarza się nam odgrywać rolę sir Galahada, prawda? To męczące zajęcie, ratowanie dziewczic.

Nawet nie wie, jak bardzo męczące. Ostatnia przygoda kosztowała Wynna sześć lat. Ruszył w stronę drzwi.

- Ale co mogę dla pana zrobić? - nalegał hrabia, odprowadzając gościa. - Konia? Nie, Mallen z pewnością tego dopilnował i moja karetka już na pana czeka, by odwieźć pana do domu. Może dam panu adres mojego krawca? Przyśle mi pan, rzecz jasna, rachunek za nową kurtkę.

- Nie, doprawdy, niczego mi nie potrzeba. - Wynn skinął głową w stronę siostry hrabiego. - Lady Ann była dla mnie niezwykle uprzejma.

- Z pewnością mogę coś dla pana zrobić. Wie pan, moja dziewczynka jest dla mnie wszystkim.

Wiedział. Wiedział także, jak zmieni się hrabia, kiedy usłyszy o starym skandalu.

- Ależ nic. To, że dama wróciła bezpiecznie na łono swojej kochającej rodziny, stanowi największą nagrodę za coś, czego, prawdę mówiąc, mógłby dokonać każdy mężczyzna.

Lady Ann wydała dźwięk, który zupełnie nie pasował do damy.

- George St. Brenner nie pobrudził sobie nawet rękawiczek.

- Co, ten błazen był także w zakładzie? Pewnie po to, żeby mu obszyto koronką ineksprymable. - Hrabia upił kolejny łyk szampana, by skończyć z lordem Boyce, po czym wrócił do postanowienia, żeby jakoś wynagrodzić Wynna. - Już wiem, nigdy nie widziałem pana u White'a. Wpiszę pana do moich klubów.

Wicehrabia nie mógł dopuścić, by ten miły człowiek ucierpiał w jakikolwiek sposób, gdy dowie się o bojkocie wobec protegowanego.

- Dziękuję, nie sądzę jednak, żebym został na dłużej w Londynie. - Wbił wzrok w zniszczone buty.

Wiedział, że hrabia nie chciałby się czuć wobec niego dłużny. - Mógłby pan... mógłby pan podać mi nazwę jakiejś przyzwoitej agencji zatrudnienia. Obawiam się, że mój nowy kamerdyner po dzisiejszym dniu wymówi pracę.

I tak też się stało. Trzeci kamerdyner w tym tygodniu wymówił pracę u Wynna. Pierwszy, Nolan, był tak stary, że ręce mu się trzęsły, czego nie można było nie brać pod uwagę przy goleniu. Kolejny, Andrew, okazał się za niski. Z tru-

dem wspinał się, żeby zawiązać Wynnowi fular, poza tym, ten ciemnowłosy i poetycko smętny człowieczek dziwnie nie pasował do buduaru dżentelmena. Ostatni, Herne, o ile Wynn dobrze zapamiętał, miał książęce wprost maniery. Psie kudły wprawiały go w zdenerwowanie i zupełnie nie radził sobie z zachowaniem porządku. „Nie tego mógł się spodziewać dżentelmen zatrudniony u dżentelmena”, oznajmił, kierując się do drzwi i zostawiając Wynna w takim samym żalnym stanie, w jakim zastał go przy Division Street w Kensington.

Wicehrabia miał wprawdzie piękną miejską rezydencję w modnym Mayfair, wspaniale urządzone, z liczną, sądząc po rachunkach, służbą, gdzie dowolna liczba lokajów mogła mu służyć przy ubieraniu, majordomus przy goleniu a chłopiec na posyłki przy czyszczeniu butów. W domu nadal mieszkał kamerdyner jego zmarłego brata, tak dobre były pensje w siedzibie Ingramów. Na nieszczęście wdowa po zmarłym bracie także tam mieszkała. Wynn nie zadał sobie trudu, żeby to sprawdzić. Wolał skromne pokoje z daleka od bratowej i eleganckiego towarzystwa - póki nie nadeszła pora, żeby wynająć kamerdynera. Najlepsi odmawiali pracy pod tak niemodnym adresem, z tak niewielką liczbą służby. Nadęty Herne był ostatni na liście agencji pracy.

- Przynajmniej dowiedziałem się o innym biurze pośrednictwa - oznajmił Wynn swojemu człowiekowi do wszystkiego, który nigdy nie robił niczego. - Z rekomendacją hrabiego przyślą mu w końcu kogoś odpowiedniego.

Barrogi burknął coś pod nosem.

- Pańskie chusty potrzebują raczej zaklinacza węży, *padrone*, tyle mają końców.

Wynn trzymał w ręku brudny fular, który właśnie zdjął z szyi. Fular miał dwa końce, można to było z łatwością zobaczyć, ale Barrogi nigdy nie nauczył się wiązać krawata - celowo, jak podejrzewał Wynn. Nigdy także nie udało mu się wyczyścić butów do połysku. Obieżyświat, którego głównie włoskie pochodzenie było równie zagmatwane jak drzewo genealogiczne psa Homera, potrafił mówić gwara łódzieską w sześciu językach i świetnie się orientował w zaułkach co najmniej dwudziestu wielkich miast poza granicami kraju. Niski, ze złamanym nosem, zapewne uciekał przed karzącą ręką sprawiedliwości, ale dla Wynna okazał się nieoceniony, zwłaszcza jeśli chodzi o zbieranie informacji. Wicehrabia zamierzał znowu wysłać go na zwiady, tym razem, żeby zasięgnął języka o lady Victorii Ann Keyes, lordzie Boyce oraz zakładzie krawieckim Madame Michaeli. Najpierw jednak przygotuje mu kąpiel i uda się do agencji zatrudnienia.

- Gorąca woda nie jest dobra dla mężczyzny - narzekał Barrogi, dźwigając wiadra. - Zmiękcza go, jak kurczaka przed oskubaniem.

Wynn w gorącej wodzie czuł się świetnie, zwłaszcza kiedy dodał do niej kroplę olejku, jaki zostawił jego mały kamerdyner. Poczul się jeszcze lepiej, gdy oparł się wygodnie w wannie, z kieliszkiem brandy w jednej dłoni, a cygarem w drugiej. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo bolały go mięśnie i ile było na nim skaleczeń, oparzeń i siniaków, które zgromadził nieświadomie podczas pożaru. Miał nadzieję, że lady Torrie wyszła z niego w lepszym stanie. Było zbrodnią naruszyć doskonałość przebijającej spod sadzy białej skóry.

Może gorąca para rzeczywiście „zmiękczała” mózg Wynna, skoro myślał serdecznie o kłopotliwej córce hrabiego. Do diabła, miał już w życiu tyle kobiet, że nie wiedział co z nimi robić.

Jedna dawna kochanka chciała wyjść za niego za mąż, żeby dać jego nazwisko dziecku innego mężczyzny.

Inna chciała się za niego wydać, żeby spłacił jej rachunki.

Dawna bratowa - nie, wdowa po bracie była niestety nadal jego bratową - życzyła mu śmierci. Albo też chciała, żeby poślubił jakąś szacowną damę, przywracając świetność nazwisku. Nic dziwnego, że znalazła mu kandydatkę idealną: swoją kuzynkę.

Nie, ostatnią rzeczą, jakiej pragnął wicehrabia Ingall, to jeszcze jedna kobieta, która będzie próbować, za pomocą kija i marchewki, wciągnąć go w matrymonialną pułapkę. Bez względu na to, jak była piękna w jego wyobraźni.

4

Barrogi wrócił z wiadomościami i, dzięki Bogu oraz nazwisku hrabiego Duchamp, kamerdynerem. Dżentelmen ów był wielki jak kanadyjski łos i najwyraźniej czerpał dumę ze swojego powołania. Przedstawivszy się, obszedł wicehrabiego dookoła i oświadczył, że dzięki lordowi Ingall jego, Larsena, reputacja znacznie zyska. Opalenizna zblednie, oznajmił, trzeba też będzie zamówić stosowną garderobę, która przystoi wicehrabiemu, a nie włóczędze.

Niezdarna próba zawiązania fularu przez Wynna została zastąpiona czymś, co Larsen nazwał potrójną koroną, która, jak twierdził, miała zadowolić najwybredniejsze oko. Wynn z przykrością powiadomił Larsena, że będą jadać w ciemnym szynku w towarzystwie kupców, a nie w Carlton House z księciem. Larsen obojętnie wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Pub dzisiaj, pałac jutro”, i natychmiast zaczął przeglądać skromną garderobę Wynna i przestawiać wszystko w sypialni. Wynn chętnie go tam zostawił, a sam zamknął się z Bar-rogim w salonie, by wysłuchać wieści. Jego totumfacki trzymał w lewej dłoni butelkę najlepszego porto Ingallów, rozpierając się w najlepszym w pokoju skórzanym fotelu.

Wicehrabia nalał sobie kieliszek wina i unióśł brwi.

- Dziwne, myślałem, że jesteś tutaj służącym, a nie gościem - zauważył.

- Chce pan nowin czy nie, *padrone*? Wydawało się, że dyszy pan jak pies, żeby się tylko dowiedzieć czegoś o... jak to się mówi? Trupach w szafie.

Wynn usiadł na kanapie, a Homer wskoczył obok niego, żeby go podrapać za uszami.

- Mówimy o damie, przyjacielu.

Fotel i alkohol to jedno, a szlachetnie urodzona dama zupełnie co innego.

Barrogi skinął głową, przyjmując ostrzeżenie.

- Musiałem wyłożyć dużo pieniędzy, żeby się tak szybko czegoś dowiedzieć. Nie było czasu na zaprzyjaźnienie się ze służbą.

Wynn kiwnął głową.

- Zwrócę ci je, jak zwykle.

- Tylko się upewniam, *padrone*. Teraz, kiedy jest pan opakowany jak prezent i pachnie słodko różami, po prostu chciałem się upewnić.

Wynn poluzował fular. Potrójna korona stała się podwójną, bardziej stosowną na obiad z kupcami.

- Mów.

Informacje Barrogiego potwierdziły tylko to, co już wiedział albo czego się domyślał: lady Victoria Ann Keyes była królową sezonu, podobnie jak przez poprzednie trzy lata. Śliczna jak obrazek, otrzymała staranne wykształcenie i piękny spadek po irlandzkim dziadku, nie wspominając już o świetnym posagu, który zapewnił jej ojciec. Po śmierci ojca tytuł hrabiowski nie miałby dziedzica, ale ziemie i majątek nie były z tym związane, a zatem lady Torrie, jak ją nazywano, należała do najzamożniejszych dziedziczek w królestwie. Wniosłaby w małżeństwo więcej pieniędzy, niż mężczyzna mógłby wydać w ciągu życia i więcej niż ktokolwiek na to zasługiwał. Poza majątkiem i urodzeniem, urodą i wpływami ojca panna potrafiła jeździć konno, śpiewać, tańczyła jak marzenie i cieszyła się dobrą opinią wśród starszych dam.

Nazywano ją Diamentem Keyesów, ciągnął Barrogi, zwłaszcza w księgach zakładów w męskich klubach, w których jej nazwisko pojawiało się często.

- Mówią, że jest wybredna - dodał - chociaż nikt nie powiedział tego wprost. Młoda dama ma się za nie wiadomo co. Nie przyjęła dotąd żadnego starającego się, choć nie brakowało jej propozycji małżeństwa.

W zakładach często padało nazwisko Boyce'a w zestawieniu z nazwiskiem damy, ale jego szans na zdobycie jej ręki nie oceniano wysoko. Miał większe szanse na więzienie

za długi, jeśli wierzyciele nie wybiorą jakiejś skuteczniejszej drogi, żeby odzyskać swoje pieniądze.

- Stąpa po cienkim lodzie, prawda?

- Raczej pływa w rzece z rekinami. I nikt nie podejrzewa, że będzie tak szybki, żeby im uciec.

- Wielu arystokratów żyje ponad stan, w nadziei na spadek albo szczęśliwy zakład. Czy Boyce grywa?

- Chodzi panu o to, czy oszukuje w kartach? Nawet jeśli tak, to jeszcze go nie przyłapano. Pańscy eleganci mogą grać z **UH oumo**, człowiekiem, który bije lokajów i śpi z po-sługaczkami, ale nie zniosą oszusta.

Wynn upił łyk wina.

- A co z Madame Michaelą?

- Krawcową? No cóż, to **una femmina**, kobieta, która nagina prawdę jak wierzbową witkę. Była... jak to się mówi... upadłą damą i nazywała się Dora Mickles, póki jakiś bogaty mieszczuch nie dał jej w prezencie zakładu. Wszyscy bogacze do niej chodzą, bo można się tam wygadać i wyklócić.

- Trzyma coś w magazynie? Barrogi się skrzywił.

- Koronki i takie rzeczy.

- Czyli głupstwa.

- Mówię przecież. Szmugiel. Dorrie nie daje niczego za darmo.

- Czy ktoś mógł próbować pozbyć się jej z interesu? Jakiś konkurent, skoro odnosi takie sukcesy, czy inny gang przemytników?

Barrogi wzruszył ramionami.

- Kto to wie? A może jakaś bogata arystokratka nie była zadowolona z sukni, hę?

- Przyjrzyj się temu, dobrze?

Po spotkaniu z kilkoma ludźmi, z którymi łączyły go interesy, Wynn postanowił osobiście przeprowadzić dochodzenie. Poprowadził Homera tą samą drogą, którą szedł tamtego popołudnia, aż do zaułka, gdzie znajdował się zakład krawiecki. Przerzucił osmalone resztki pozostawione przez strażaków i przyklęknął, wachając wilgotną plamę w pobliżu tylnych drzwi. Wkrótce rękawiczki wicehrabiego pobrudziły się jakąś oleistą substancją, kolana spodni podarły się na ostrych drzazgach, a kubrak zabłocił się, kiedy podniósł psa, zanim wdepnął w gorący popiół.

Pożar wybuchł z powodu podpalenia. Na półeczce nad kominkiem czekało na Wynna zaproszenie od lady Victorii Ann Keyes. A nowy kamerdyner odszedł.

Torrie także nie spędzała wieczoru w radosnym nastroju. Głowa bolała ją od laudanum, gardło piekło od dymu. Rodzice zaś nie mogli dojść do zgody.

Żyła, nie mogła więc zanadto narzekać. Tak głośno, jak pozwalało jej obolałe gardło, zaprotestowała przeciwko kłótni rodziców.

- Powtarzam, ona nie może poślubić tego człowieka -oznajmiła lady Duchamp, stojąca po prawej stronie łóżka Torrie.

- A ja powtarzam, że dała słowo - odparł lord Duchamp z lewej.

- Sam ci przecież powiedział, że nie była w pełni przy zdrowych zmysłach. Nie będzie się domagał dotrzymania obietnicy.

27 - Diamentowy klucz

- Wiedziałam dokładnie, co mówię, mamó - szepnęła Torrie spośród poduszek. Rodzice nie zwrócili na nią uwagi.

Hrabia uderzył się pięścią w kolano. W obolałej głowie Torrie dźwięk ten zabrzmiał jak uderzenie młota.

- Ślubowała to, na Boga. Powiedziałem jej, że może wyjść za człowieka, którego sama wybierze, i oto właśnie mężczyzna, jakiego wybrała.

- Los go wybrał - usiłowała wtrącić Torrie, ale jej słowa zagłuszył głos hrabiny besztającej męża. Torrie uniosła się na poduszkach, żeby rodzice nie mogli dłużej ignorować jej obecności. - Uratował mi życie, mamó - powiedziała.

Hrabina ujęła Torrie za rękę.

- Wiem, kochanie, i będę mu za to dozgonnie wdzięczna. Ale nie tak wdzięczna, żeby oddać mu swój najcenniejszy skarb. - Odwróciła się znów do męża. - Powiedziałam już, daj mu jakąś nagrodę, ziemię, majątek, irlandzkiego ogiera.

- Mojego irlandzkiego ogiera? - Lord Duchamp zdumiał się. Przez chwilę pomyślał o wspaniałych koniach, które dostał wraz ze wspaniałą irlandzką żoną. Potem jednak odzyskał panowanie nad sobą. - Słyszałaś, co mówi. Uratował jej życie.

- I jej to życie zrujnuje. Tego chcesz dla córki?

- Maggie, nie wiesz przecież, czy to nicpoń. Margaret lady Duchamp nie dysponowała wprawdzie międzynarodową siatką szpiegowską, ale miała pod ręką coś równie skutecznego: własną służbę.

Wiedziała wszystko o Wynnie Ingramie, który ostatnio został lordem Ingall.

- Ten człowiek to wyrzutek. Ma tak zszarganą reputację, że nie jest przyjmowany w towarzystwie.

Daniel lord Duchamp nie uznał za stosowne się tym przejąć.

- Z moimi wpływami i twoją pozycją będą go wszędzie zapraszać.

- Nie, kiedy się rozniesie, że walczył w pojedynku.

- Phi - parsknął małżonek. - Młodzi ludzie zawsze stacali pojedynki, czy to zgodnie z prawem, czy to wbrew niemu. Niektórzy starzy szaleńcy też to robią.

- A czy wszyscy muszą później uciekać z kraju za zabicie przeciwnika?

- Lynbrook był łajdakiem, który zasługiwał na śmierć. Gdyby nie był chrześniakiem jednego z królewskich ministrów, całą sprawę by zatuszowano. Uczynili z młodego Ingrama kozła ofiarnego, i tyle.

- Wszyscy mówią, że Ingram był winny. Powinien wystrzelić w powietrze, a nie celować w lorda Lynbrook, żeby go zabić.

Hrabia przyjrzał się uważnie swoim paznokciom.

- No, no, nie możesz być pewna, co się działo tego dnia na miejscu pojedynku.

- Wiem, że nie chodziło o honor! - krzyknęła lady Duchamp. - Własna rodzina się go wyrzekła.

Mówią, że przyjaciel pomógł mu uciec z kraju i urządzić się w koloniach czy w innym pogańskim kraju.

- Gdzie dorobił się majątku. - Lord Duchamp miał własne źródła informacji w kwaterach dla służby.

Nie zamierzał oddać córki nędzaczowi, niezależnie od tego, ilu mężnych czynów by dokonał.

- Nie mówimy o pieniądzech, tylko o moralności. Czy pozwoliłbyś córce poślubić obieżyświata, który... który...

Torrie zwracała obolałą głowę raz ku matce, raz ku ojcu.

- Który co? - zapytała.

Lady Duchamp podniosła do ust koronkową chusteczkę. Ostatnio nie czuła się dobrze, a wydarzenia dnia nadszarpnęły jej siły jeszcze bardziej. Jedyne, czego chciała, to pójść się położyć, ale nie wcześniej niż uparty mąż i jeszcze bardziej uparta córka przejrzą na oczy.

- W zwykłych okolicznościach nie rozmawiałabym z tobą o takich rzeczach, Torrie. Damy wychowuje się tak, żeby udawały, że taka podłość nie istnieje.

- Nie owijaj nic w bawełnę, Maggie - odezwał się hrabia. - Dziewczyna ma dwadzieścia lat i od trzech lat obraca się w wielkim świecie. Czy naprawdę spodziewasz się, że nie ma pojęcia o... o... - Co jak co, ale lord Duchamp nie był w stanie rozmawiać o... sprawach cielesnych z żoną i z córką.

- Macie na myśli rajskie ptaki? - zapytała Torrie, śpiesząc na ratunek rodzicom. - Panie lekkich obyczajów? Królowe nocy? Wszyscy wiedzą, że mężczyźni mają utrzymania.

- Nie wszyscy mężczyźni - sprostował szybko ojciec, widząc lodowate spojrzenie poblądłej żony.

- Żaden przyzwoity mąż - dodała matka Torrie. - Żaden szanujący się, kochający mąż nie upokorzyłby własnej żony, utrzymując... kochankę.

- Czy dlatego doszło do pojedynku? Lord Ingall... wówczas, jak sędzę, pan Ingram... i lord Lynbrook walczyli z powodu kochanki? Ale wicehrabia nie był żonaty, a więc to Lynbrookowi przypadła rola czarnego charakteru, skoro on miał żonę.

Ani hrabia, ani hrabina nie spojrzeli jej w oczy.

- Aha - powiedziała po chwili zastanowienia. - Kochanka Ingalla była żoną Lynbrooka? Hrabia odchrząknął.
- To tylko plotki. Była jeszcze jedna kobieta, jakaś ha-zardzistka. Torrie musiała się napić stojącej obok łóżka wody z jęczmieniem.
- Ingall miał dwie kochanki?
- Nie miał wtedy więcej niż dwadzieścia trzy lata - odparł pośpiesznie ojciec. - Chłopak zaraz po uniwersytecie. Szumiało mu w głowie, jak to młodym. Co nie znaczy, że nie może być przyzwoitym mężem.
- Paski na tygrysie nigdy się nie zmieniają - upierała się hrabina. - Każda kobieta, która uważa, że zrobi porządnego męża z hulaki, jest głupia, a moja córka do takich nie należy.
- Cóż, moja córka nie łamie też danego słowa. Wyjdzie za tego człowieka.
- A ja mówię, że nie wyjdzie. Ile wad musi mieć lord Ingall, żebyś uznał go za niestosownego kandydata na męża dla własnego dziecka? - Zaczęła wyliczać na palcach. - Jest kobieciarzem. Jest włóczęgą. I zamordował kiedyś człowieka.

5

Maggie, skąd możesz o tym wiedzieć? Ludzie się zmieniają. Ja też w młodości nie byłem taki święty.

- Nigdy się nie pojedynkowałeś.

31

- Bo nikt nigdy nie groził mojej ukochanej.

Uspokoiło to hrabinę, podobnie jak fakt, że nazwał dawnym, pieszczotliwym imieniem ją, lady Margaret O'Neill, córkę szkockiego arystokraty.

Torrie chciała się odezwać, ale ojciec ciągnął:

- I wyzwałbym każdego mężczyznę, który śmiałyby cię obrazić, ponieważ nadal jesteś moją ukochaną i najpiękniejszą kobietą na świecie.

- Głuptasie - odparła żona z czułym uśmiechem. - Wiesz przecież, że straciłam figurę, a moje włosy zaczynają siwieć.

Duchamp zabrałby ją do sypialni natychmiast, żeby pokazać swojej pięknej żonie, jaka jest doskonała w jego oczach i ramionach, ale przypomniał sobie o obecności córki. I ojej panińskim stanie.

- Pojedynki nie są najważniejsze. Poza tym Ingall mógł się zmienić, choćby dlatego że sam musiał sobie radzić w świecie. Mówią, że ma głowę do interesów, i chodzą słuchy, że przysłużył się Koronie. A to oznacza, że jest lojalnym Anglikiem, chociaż go odrzucono. Żaden z tych pu-stogłowych fircyków, którzy uwiesili się u spódnicy Torrie, nie zrobił niczego dla kraju.

- Nie pozwolilibyś, aby żołnierz zawrócił jej w głowie, bojąc się, że poszłaby za armią!

Lord Duchamp puścił to mimo uszu.

- Wicehrabia może być zmęczony podróżowaniem po świecie i pragnąć dziedzica. Według Mallena, który lepiej zna brytyjską arystokrację niż Biblię, Ingall jest ostatnim z rodu. Wiemy przynajmniej, że nie chodzi mu o posag Torrie.

- Ale też nie zależy mu na jej sercu.

- To się może z czasem zmienić.

- A jeśli nie? Spędzą życie w nieudanym związku. Chcę dla niej czegoś lepszego. Chcę tego, co my mamy.

Hrabia obszedł łóżko, żeby objąć ukochaną, nie przejmując się już niczym.

- Ja też, tak samo. Ale czy nie wolałabyś raczej wydać ją za dzielnego chłopca, który dowiódł swojej odwagi, aniżeli w ogóle za nikogo? Nie chcesz trzymać wnuków w ramionach?

Ku zmieszaniu męża i córki lady Duchamp zaczęła szlochać.

- Nie, nie - powiedziała, kiedy chcieli już, z pomocą pokojówki, położyć ją w łóżku obok Torrie albo wezwać lekarza. - Czuję się tylko okropnie na myśl, że mogliśmy stracić córkę. Nie mogę znowu jej tracić, oddając jakiemuś libertynowi.

- Ale... ale on jest dobry dla swojego psa - podjął Duchamp ostatnią próbę.

Spojrzenie, jakie posłała mu lady Duchamp, pomimo łez i smutnej miny, mogłoby roztrzaskać dąb, a co dopiero hrabię.

- Mężczyźni! - Wyprostowała się, odzyskując stanowczość. - Cóż, jeśli wybierzesz tę drogę, Danielu Keyes, i tego człowieka, zrobisz to sam. Nie zostanę w mieście, żeby patrzeć na megalians córki, ani też nie pomogę przywrócić społeczeństwu kryminalisty. Wracam do Dubron. - Dubron w hrabstwie York było wiejską siedzibą rodziny.

- Pojedziesz do Yorku teraz, w sezonie? - Lord Duchamp nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Tak jak powiedziałam. Jestem zmęczona powinnościami towarzyskimi i koniecznością bywania od rana do nocy.

Rzeczywiście, wydawała się zmęczona, musiał przyznać hrabia.

- Możesz przyjmować mniej zaproszeń, nie bywać na każdym balu i przyjęciu.

- Nie, tęsknię za moimi różami.

- Ale nie znosisz zapachu owiec.

- Bardziej nie znoszę londyńskiego smrodu. Po prostu wyhoduję więcej róż. Jestem zdecydowana.

Wyjeżdżam na wieś.

- Pojadę z tobą, mamó - zdołała wreszcie wtrącić Tor-rie, gdy ojciec umilkł na chwilę.

- Nie! - krzyknęli oboje, zdając sobie sprawę, że dziewczyna nigdy nie wyjdzie za mąż, jeśli zakopie się na prowincji, mając za jedyne towarzystwo pastuchów owiec.

- Ale nie mogę tu zostać bez przyzwoitki - zauważyła Torrie.

- Ciotka i ojciec w zupełności wystarczą.

- To znaczy, że będę chodził na te okropne rauty i wieczorki? - zawył hrabia.

Torrie nie dorównywała mu siłą głosu, ale jej oburzenie było równie wielkie.

- Ciotka Ann nie ufa żadnemu mężczyźnie!

- I być może najlepiej się stanie, jeśli to ona wyperswaduje ci niemądry pomysł poślubienia człowieka o tak złej reputacji. Nie chcę patrzeć, jak „wybierasz” sobie kogoś na całe życie pod rozpiętym chwilowego kaprysu. To niweczy wszystko, w co wierzyłam, w co, jak sądziłam, wierzyliśmy razem, jeśli chodzi o miłość, romans i małżeństwo. Cóż,

mogłaś wrzucić wizytówki swoich adoratorów do kapelusza trzy lata temu i już dawno dokonać wyboru. Twoje szanse na szczęście byłyby nawet większe. Poglądziła córkę po policzku.

- Przyjedziecie do mnie latem. Jeśli się zdecydujesz, możesz wziąć ślub w kaplicy Duchampów, tam gdzie pobraliśmy się z twoim ojcem, jeśli jej dach się nie zawali pod ciężarem takiej hipokryzji.

Pamiętaj, będziesz przysięgała miłość, wierność i posłuszeństwo przypadkowo poznanemu człowiekowi. Zastanów się poważnie, moja droga, nie pod wpływem gorących emocji czy też żaru płonącego zakładu Madame Michaeli.

Po kolejnych dwudziestu minutach kazania Torrie udała, że jest straszliwie zmęczona. Kiedy i ojciec wreszcie odszedł, żeby poskarżyć się na kobiecą przewrotność kolegom w klubie, Torrie, czując się znowu jak dziecko, zakradła się na paluszkach do pokojów matki. Lekarz polecił jej zostać w łóżku przez co najmniej trzy dni i każdy dobrze jej życzący służący doniósłby o jej nieposłuszeństwie.

Lady Duchamp nadzorowała dwie pokojówki, które pakowały jej kufry podróżne.

- Naprawdę nas opuszczasz, mamó? Hrabina odprawiła służące.

- Dokończymy później. Większości tych wspaniałych strojów nie będę potrzebowała w hrabstwie York. - To, że nie kazała córce natychmiast wracać do łóżka, świadczyło o jej wzburzeniu. - Tak, naprawdę wyjeżdżam. Myślę z przyjemnością o samotnych spacerach, książkach, pracy w ogrodzie. Wiesz, że nie czułam się najlepiej przez ostatnich parę tygodni. Pobyt na wsi z pewnością poprawi mi humor.

- Bo ja tego nie potrafię. - Torrie poczuła się winna na myśl o tym, ile czasu zmarnowała matka, prowadząc swoją wybredną córkę na weneckie śniadania i wieczory taneczne. Nie podejrzewała nigdy, że tak nie lubi życia towarzyskiego. Cóż, poświęcała się po to, żeby Torrie mogła zdzierać pantofle w tańcu. - Ty i papa macie rację. Powinnam była... wyjść za mąż lata temu. Sir Erie...
 - Byłby okropnym mężem, choć jest przystojny i gładki w obejściu. Jest za młody, żeby wiedzieć, czego chce. Co sezon ugania się za inną panną.
 - Zatem lord Brondale.
 - Wydałby twój posag w ciągu roku.
 - Major St. Leger?
 - Zanudziłby cię w tydzień, wspominając swoje przeżycia wojenne i wyliczając rany. Nie, dobrze się stało, że odmówiłaś im wszystkim.
 - Za twoją radą. Czy teraz nie możesz zostać i pomóc mi, mamó? Naprawdę potrzebna mi twoja mądrość. Nie musisz mi towarzyszyć tam, dokąd nie masz ochoty chodzić. Ciocia Ann... - Torrie usiłowała powstrzymać dreszcz na myśl o tym, że obdarzona ostrym językiem stara panna ma odgrywać rolę jej przyzwoitki.
 - Małżeństwo to decyzja, którą musisz podjąć sama, moja droga. Odwołaj się do swojego serca, nie tylko do upartej głowy, którą odziedziczyłaś po ojcu.
- Torrie chciała się uśmiechnąć, ale nie mogła.
- Jak sobie damy radę bez ciebie?
 - Tak samo, jak wtedy, kiedy będziesz miała własny dom na głowie. To dla ciebie dobre ćwiczenie.
 - Papa będzie za tobą tęsknić.

- A ja za nim. Nie rozdzielaliśmy się na dłużej niż tydzień, odkąd wzięliśmy ślub ponad dwadzieścia lat temu.

- To nie wyjeżdżaj, mamó - powiedziała Torrie błagalnie. Jej głos brzmiał chrapliwie bardziej z powodu łez niż wskutek działania dymu. - Potrzebuję cię. Nie wiem, co robić!

- Niemądra gąsko, jesteś trzy lata starsza niż ja, kiedy wychodziłam za mąż za twojego ojca. Pamiętam dokładnie, jaka byłam. Serce odpowie ci na wszystkie pytania. A ja muszę wyjechać.

- ...musisz?

Lady Duchamp poprowadziła Torrie do fotela i posadziła ją, przykrywając jej kocem nogi i wciskając filiżankę herbaty w zimne ręce.

- Tak, i powiem ci, dlaczego, jeśli obiecasz, że nie powtórzysz tego ojcu.

Przez głowę Torrie przebiegały rozmaite myśli. Czy lady Duchamp szantażowano? Czy miała na wsi kochanka? Czy przegrała pieniądze? Nie, niczego takiego matka nie zrobiłaby. Skinęła głową.

- Obiecuję.

Hrabina się uśmiechnęła.

- Spodziewam się dziecka. Czułam się tak inaczej, że porozumiałam się z lekarzem, a on potwierdził moje przypuszczenia. Nie patrz tak na mnie, najdroższa. Herbata kapie na koc.

- Dzie... dziecko?

- Tak, i nie bądź taka zdumiona. Nie mam jeszcze czterdziestu lat, niektóre kobiety rodzą dzieci o wiele później. Myślałam z żalem, że szanse na zapewnienie twojemu ojcu dziedzica tytułu dawno się rozwiały, ale teraz

pojawiła się taka możliwość. Albo przynajmniej szansa na kolejną córkę, którą będzie mógł psuć i rozpieszczać.

- Braciszek albo siostrzyczka. - Torrie nie mogła dojąć do siebie. Skoczyła na równe nogi i zmusiła matkę, żeby usiadła na jej miejscu. - Musisz odpoczywać i naturalnie, że wolisz być w domu na wsi. Papa będzie uszczęśliwiony. - Nagle jej podniecenie opadło. Matka przyglądała się frędzłom przy szalu. - Nie zamierzasz mu powiedzieć, czy tak?

- Jeszcze nie. Nie mogę. Wiesz, jaką opieką by mnie otoczył, jak wata. Ty już to robisz. I nalegałby, żeby jechać ze mną do Dubron.

- Bo powinien jechać. Wszyscy pojedziemy.

- Nie. Dlatego nie chcę mu nic mówić przed latem. Musicie zostać w Londynie, żebyś mogła znaleźć odpowiedniego męża.

- Mamo, czym jest mąż w porównaniu z dzieckiem? Zawsze mogę znaleźć kogoś w hrabstwie York.

- Wśród dzierżawców ojca? To wspaniali mężczyźni, nie wątpię, ale nie są w stanie ofiarować ci takiego stylu życia, do jakiego przywykłaś. I nie chcę, żebyś została wieczną ciotką, jak lady Ann. Myśl o tym, że mogłaby stać się repliką groźnej ciotki nie odpowiadała także Torrie.

- Zatem za rok. Znajdę doskonałą partię w przyszłym roku.

- Wtedy jeszcze trudniej będzie mi towarzyszyć ci do miasta, nie, musisz wyjść za mąż w tym roku i to zanim towarzystwo odkryje mój stan. Pomyśl, najmilsza, jeśli to syn, nie będziesz już zamożną dziedziczką.

- Głupstwo. Mam majątek dziadka.

- Ale nie jeszcze większy majątek ojca.

- To dobrze, nie będę miała do czynienia z łowcami posagów.
 - Nie będzie tylu dżentelmenów, spośród których mogłabyś wybierać. Biedniejsi mężczyźni mogą być znakomitymi mężami, ale nie ośmielą się do ciebie podejść, nie mogą zapewnić ci odpowiedniego majątku. W każdym razie nie zrobi tego żaden przyzwoity człowiek.
- Torrie dostrzegła sens w rozumowaniu matki.
- A jednak wolałabym być z tobą!
 - I zabrać ze sobą swoich kawalerów? Zapełnić dom zakochanymi głupcami, którzy nie dorównują ci pozycją społeczną? Nie, najdroższa. Pragnę ciszy i spokoju swoich ogrodów. Chciałam trzymać w swoich ramionach twoje dzieci, nie swoje. Potrzebuję czasu, żeby się z tym oswoić. Ty i ojciec dacie sobie radę przez parę miesięcy. A twoja ciotka zna świat. Pomoże ci wybrać męża.
 - Ciocia Ann uważa, że każdy mężczyzna to rozpustnik, łowca posagu albo głupiec.
 - To dobrze, bo zrównoważy przekonanie twojego ojca, że każdy mężczyzna nadaje się na zięcia.

6

Torrie posłała więc lordowi Ingallowi liścik, prosząc, aby odwiedził ją rano. Chciała mu podziękować, jak powiedziała sobie i Mallenowi, polecając mu dostarczyć list wieczorem. Oczywiście, tak było. Ten człowiek uratował jej życie. Ale chciała także dobrze mu się przyjrzeć. Pamiętała ciemne

włosy i cerę, ale to mogły być sadza i dym. Przypominała sobie twardą pierś oraz silny uścisk i nie mógł to być skutek wywatowania stroju. Pamiętała, że czuła się bezpieczna -a tak nie czułaby się w ramionach zwykłego awanturnika.

Czy zatem lord Ingall był bohaterem, wyrzutkiem z piekła rodem, czy też jedno i drugie? Czy był mężczyzną, którego dobrze mieć przy sobie w trudnej sytuacji, a źle za towarzysza życia? Mogła wybaczyć mu jego przeszłość, ponieważ, jak powiedział ojciec, lata dzieliły już wicehrabiego od niespokojnej młodości. Była w stanie pogodzić się z ostracyzmem wielkiego świata, wielkiego świata, jeśli wysiłki ojca, żeby uzyskać dla niego wybaczenie księcia, nie zdołają oczyścić nazwiska Ingalla. Wobec jego bogactwa wszystkie inne kręgi społeczne stały przed nim otworem, a Torrie lubiła wiejskie życie. Sądziła, że polubiłaby także podróże, gdyby interesy czy też zwykłe pragnienie przygód kazały mu znowu wyjechać za granicę, a więc i to nie stanowiło przeszkody. Ale kochanki... Ach, te jego kochanki.

Konkubiny, odaliski, dziewczki portowe - podróżnik musiał widzieć je wszystkie i ze wszystkimi mieć do czynienia. Czy zadowoli się jedną kobietą, żoną, towarzyszką? Torrie nie mogła zgodzić się na co innego. A jeśli go pokocha? Czy będzie musiała patrzeć, jak rozdziela swoje uczucia między damy z półświatka albo jej własne znajome, żony innych arystokratów? To byłoby zaiste piekło za życia. Znała panie z towarzystwa, które udawały, że nie widzą, jak ich mężowie odbywają w parku przejażdżkę z wyzywająco umalowanymi kobietami. Widywała, jak te same panie wymykały się z tańców, żeby spotkać się z kochankiem w jakimś ciemnym kącie. Żal jej było wszystkich i przysięgła sobie nie iść w ich ślady.

Jej przeznaczeniem wydawało się małżeństwo bez miłości, ale Torrie nie zamierzała poślubić nikogo bez wzajemnego zaufania i szacunku, a to oznaczało dochowanie przysięgi małżeńskiej. Matka miała rację: Torrie nie mogła wyjść za kobieciarza.

Ale musiała znaleźć męża, i to szybko. Po pierwsze, ślubowała to w obliczu śmierci, po drugie, zaraz po ogłoszeniu zaręczyn ojciec będzie mógł pojechać do matki, do Yorkshire. Po trzecie, o ile w ogóle potrzebowała trzeciego powodu, rozmowa o dzieciach sprawiła, że Torrie pozazdrościła własnej matce. Chciała mieć własne dziecko, a nie braciszka czy siostrzyczkę.

Poprosiła już jednak Wynna Ingrama, lorda Ingalla, żeby się z nią ożenił. Wicehrabia mógł nie potraktować tego poważnie, jak powiedział papa, ponieważ propozycja została złożona in extremis. Ale on uratował jej życie...

Agencja, którą polecił hrabia, działała wyjątkowo sprawnie. Nowy pokojowiec podawał Wynnowi poranną czekoladę. Nazywał się Clemson i miał doskonałe referencje, a także wyższą pensję niż poprzedni. Ogolił Wynna pewną ręką i umiał dobrać strój odpowiedni na wizytę u córki hrabiego. Na nieszczęście, a tego nie dało się wybaczyć, rzucił butelką wody kolońskiej w Homera. Przysięgał, że to przypadek, że to szczekanie psa sprawiło, iż butelka wyśliznęła mu się z dłoni, ale rzut był zbyt celny. Pies zyskał ranę nad okiem, a Wynn stracił kamerdynera.

- A żeby to! - zaklął. - Teraz muszę sam zawiązać ten piekielny fular. Niemal połowę czasu spędzonego za granicą nie nosił fularu. Wykrochmalona biała chusta była równie bezużyteczna wśród dzikiej przyrody, w dżungli, jak na

poładzie kupieckiego statku. Wystarczała zwykła, zawiązana na supeł chustka. Przez pozostałą połowę czasu miał kogoś, kto mu ją wiązał. Potrafił zawiązać po ciemku każdy węzeł żeglarski, upleść rakiety śnieżne z gałązek i pnączy, ale prędzej poleciałby na Księżyc, aniżeli zawiązał właściwy „wodospad” czy też *trône d'amour*.

- Proszę - powiedział, wręczając chustę swojemu jak dotąd mało pomocnemu totumfackiemu - ty to zawiąż.

- Ja? - zdziwił się Barrogi. - Nie jestem *valetto*, służą.

- Cóż, ja nie umiem i Homer też nie. Pozostałeś ty.

Barrogi podniósł do góry ręce o opuchniętych w kostkach palcach, co przed laty zmusiło go do porzucenia zawodu kieszonkowca. Na szyi miał jedynie brudny sznurek z wysadzonym drogimi kamieniami krzyżykiem, o którego pochodzenie Wynn zawsze wahał się pytać.

- Niech pan po prostu zawiąże węzeł i przesunie go przez głowę, *padrone*, jak sznur na szubienicy - zaproponował. - I tak wygląda pan, jakby miał się spotkać z katem.

Wynn zastanawiał się, czy najpierw nie odwiedzić Rosie. W końcu to jej odmienny stan był jednym z powodów, dla których wrócił do Anglii. Wysłał pieniądze, ale odkładał osobistą wizytę, podejrzewając, że stanie się zbyt osobista. Rosie Peters na pewno wiedziała, jak zawiązać fular, skoro tyle ich rozwiązała w swojej znakomitej karierze. Wątpił jednak, by okazała się chętna do pomocy, gdyby wiedziała, jaki jest jego cel. Raczej założyłaby mu kolczyk w nosie, niż zawiązała kokardę na szyi.

Lady Lynbrook mogła, ale nie musiała wiedzieć, jak zawiązać fular dżentelmenowi. Bogu wiadomo, że wdowa po baronie nie potrafiła radzić sobie z rachunkiem w banku. Wynn wysłał Bette kolejny czek, wiedział jednak, że będzie

musiał złożyć jej wizytę, kiedy uzna, że jest w stanie znieść jej łyzy i wybuchy hysterii, to znaczy za kolejnych sześć lat.

Pozostawała Marissa, bratowa. Wynn wątpił, żeby wyniosła dama dostrzegająca coś takiego, jak męski fular, tak wysoko zadzierająca nosa. Gdyby zresztą pojawił się w jej, a właściwie swoim domu, w niekompletnym stroju, rzuciłaby my swoją kuzynkę w ramiona, po czym ożeniłaby go przed zachodem słońca. Prawdopodobnie miała w szufladzie pozwolenie na ślub, które tylko na niego czekało. Prędzej złożyłby wizytę Belzebubowi. Albo hrabiowskiej córce. Musiał przyznać, że lady Torrie wydawała się najlepsza z nich wszystkich, choć trochę zwariowana. To zresztą zrozumiałe, była bliska śmierci. Dzisiaj z pewnością okaże się doskonale wychowaną młodą damą, nudną jak rosół z wołowiny i sztywną jak... jak przeklęty kawałek wykrochmalonego płótna, który usiłował sobie zawiązać na szyi.

Wczoraj, w jego ramionach, wcale się nie wydawała sztywna. W gruncie rzeczy pasowała do niego jak ulał. Zastanawiał się, czy jest tak ładna, jak mówiono, i czy ma rude włosy po matce. Boże, musiał tam pójść, po prostu po to żeby się przekonać, czy nie odniosła jakichś obrażeń i czy nie było innych prób zamachu na jej życie. Pozwoli Barro-giemu przesłuchać pokojówkę i pozostałą służbę, kiedy on będzie udawał dandysa w salonie, trudno.

Może powinien podzielić się z hrabią swoimi podejrzeniami. Przypomniał sobie jednak jego serdeczne powitanie i toast, i uznał, że lepiej, by lord Duchamp był w klubie czy w parlamencie, byle nie w domu. Spotkanie z lady Duchamp, lady Victorią i podobną do wrony ciotką było wystarczającym wyzwaniem.

43 - Diamentowy klucz

Trudno.

Chwycił inny kawał materiału, ostatni, jakiego nie przymierzał, jeszcze niepognieciony, i szybko zawiązał go na szyi. Potrójna korona? Do licha, jego dzieło nie przypominało nawet diadememu.

- Jak to się nazywa? - zapytał Barrogi od drzwi.

- Ogon bobra. Z pewnością zrobi furorę.

Wynn przyjrzał się sobie w lustrze i pokręcił głową. Trudno.

- Niech pan nie zapomni o kwiatach! - zawołał za nim Barrogi.

Wynn się odwrócił.

- O kwiatach?

- *Si*, kobiety to lubią.

Ostatnią rzeczą, jakiej Wynn pragnął, było to, żeby lady Victoria widziała w nim zalotnika, ale nie wychował się na ulicy i wiedział, że wypada przynieść drobny upominek na znak szacunku.

- Jakie kwiaty?

Barrogi wzruszył ramionami.

- Takie, co ładnie pachną. Wie pan, na wypadek, gdyby pies...

- Pies nie...

Homer podbiegł do jego nóg, machając ogonem.

- W porządku. To wszystko twoja wina. Możesz sam nieść ten bukiet - powiedział Wynn do psa.

Majordomus nie otwierał drzwi, kiedy Wynn przyszedł do rezydencji Duchampów. Powitał go lokaj w peruce. Spojrzał na ociekającego wodą psa - na jeziorze Serpentine było dużo kaczek - oraz spryskanego wodą dżentelmena i usiłował zamknąć im drzwi przed nosem.

- Rodzina nie przyjmuje gości.

Cały Grosvenor Square usłyszał zapewne westchnienie ulgi Wynna. Wręczył lokajowi bukietik fiołków, które, jak przekonała go kwiaciarka w parku, uwielbiają młode panny, i wyciągnął wizytówkę.

- Och, to pan jest tym dżentelmenem. Czeka ją na pana. Tędy, panie. Czy mogę wziąć, hm...

Wynn nie miał kapelusza ani laski. Zniszczone rękawiczki zostały w parku.

- .. pańskiego psa?

Homer był już jednak w środku i biegł truchtem w stronę salonu, gdzie poprzedniego dnia podejmowano go niczym członka rodziny królewskiej. Wynn westchnął głęboko i ruszył za nim. Majordomus, który ustawiał właśnie filiżanki do herbaty i talerzyki na stoliku, podniósł głowę i skinął z aprobatą, kiedy lokaj wprowadził Wynna do pokoju. Nie było ani hrabiego, ani hrabiny, ale salon i tak wydawał się Wynnowi pełen ludzi. Lady Ann lekko skrzywiła kąciki ust. Odłożyła robótkę i podała Wynnowi palce na powitanie. Lady Victoria rozpromieniła się w uśmiechu. Plotki na temat jej urody nie przesadzały. W różowej jedwabnej sukni, z różową wstążką wplecioną w rudozłote włosy wyglądała jak uosobienie doskonałości. Wczoraj pod popiołem rzeczywiście znalazł diament. Jej uśmiech jaśniał jak klejnot - promienny wzrok prześliznął się po Wynn, żeby spocząć na psie.

- Homer! - zawołała, zapraszając wilgotnego psa, żeby usiadł koło niej na kanapie, bliżej talerza z herbatnikami.

Lady Ann chrząknęła.

- Lordzie Ingall.

Córka hrabiego w końcu na niego spojrzała. Wynn zauważył, że jej oczy są błękitne jak tropikalny ocean, a jej usta... Nie. Zamiast tego zajął się studiowaniem dłoni, którą mu podała. Zgrabnie ukształtowana, o długich palcach i skórze, która była w dotyku jak... Nie. Pocałował uprzejmie powietrze dwa cale nad jej ręką i puścił ją, jak płonącą... Nie.

Usiadł i przyjął filiżankę herbaty. I makaronik. I mały kawałek makowca. Lady Ann wróciła do swojej robótki.

Wynn zapytał o zdrowie lady Victorii.

Wyraziła nadzieję, że i jego zdrowie nie szwankowało.

Zapytał o rodziców.

Zapytała o Homera.

Podziękował za kolejny makaronik.

Podziękowała za fiołki, jej ulubione kwiaty.

Poczytał parę uwag na temat pogody.

Zainteresowała się, czy napotkał morskie burze, kiedy wracał do Anglii.

Rozmowa stawała się tak mało znacząca, że wkrótce Homer mógłby się włączyć do konwersacji.

Wydarzenia poprzedniego dnia i propozycja małżeństwa wisiały nad nimi niczym śpiący smok, którego bali się obudzić. Smok nie zamierzał jednak odlecieć, nie wypaliwszy przedtem dziury w dywanie z Aubusson lady Duchamp.

- Myślę, że Homer z przyjemnością pobiegałby po naszych ogrodach - powiedziała w końcu lady Victoria, wskazując głową szklane drzwi na taras. - A ja chętnie zażyję świeżego powietrza. Zechce mi pan towarzyszyć, lordzie Ingall?

Zerknął na lady Ann z nadzieją, że rzuci linę ratunkową tonącemu, ale dama stwierdziła tylko:

- Nie, dobrze mi tutaj. Idźcie we dwoje. Mogę patrzeć z pokoju.

Będzie patrzeć, jak tonę, pomyślał Wynn z rozpaczą.

7

Torrie wzięła barwny szal dla ochrony przed wiosennym chłodem i poprowadziła gościa przez szklane drzwi na taras, w dół po schodach do ogrodu. Tak wczesną wiosną nie było jeszcze wielu kwiatów, ale zieleniące się krzewy tworzyły przyjemną oprawę spokojnej rozmowy. Pies ruszył, żeby zbadać różne zakamarki, a wicehrabia wyglądał, jakby miał ochotę zrobić to samo. Cóż, dla Torrie rozmowa także nie zapowiadała się łatwo.

Wskazała najbliższą ławkę i jego lordowska mość skinął głową. Nie podał jej ramienia, jak zrobiłaby większość dżentelmenów na jego miejscu, ale czuła jego obecność niemal namacalnie. Coś utkwiło jej najbardziej w pamięci z dramatycznej przygody: poczucie bezpieczeństwa, jakie dał jej ten mężczyzna. Przy nim miała wrażenie, że nic nie może jej się stać, kiedy jest obok. Nadal się tak czuła, mimo wszystkiego, czego dowiedziała się o swoim wybawicielu. Postawiłaby cały swój majątek w zakładzie, że Wynn Ingram, lord Ingall, nigdy świadomie nie skrzywdzi kobiety ani nie podniesie ręki na słabszego.

Nie wyglądał na awanturnika. W gruncie rzeczy wydawał się interesującym, pociągającym dżentelmenem, do tego ulepionym jakby z innej gliny niż dżentelmeni,

53

których znała. W trakcie tej okropnej herbaty z ciotką Ann Torrie przyjrzała się uważnie mężczyźnie, którego powinna poślubić. Jego strój był uszyty z najlepszych materiałów, choć fason nie należał do najmodniejszych. Krój i kolory były raczej konserwatywne, poza fularem zawiązanym w nieznanym Torrie sposób. Podobało jej się to - mężczyzna, który nie słucha ślepo nakazów mody, ale wybiera własny styl. Lekki wiaterek wzburzył mu ciemne włosy. To także jej się podobało - brak pomady i naturalność. Skórę miał istotnie tak ciemną, jak zapamiętała; była to zatem sprawka słońca, a nie dymu. Miała wrażenie, że czułby się jak w domu na pokładzie statku albo gdzieś w tropikach, albo na wyścigach rasowych koni. Byłby Adonisem, uznała, gdyby nie miał tak wydatnego nosa. Według ojca nos stanowił cechę rodzinną Ingramów. Poprzedni wicehrabia, podsekretarz w gabinecie ministerialnym, miał prawdziwy dziób, zdaniem papy, który przypominał orła w herbie rodziny. Zmarł przed rokiem, ale Torrie nie pamiętała, żeby kiedykolwiek spotkała go na jakimś balu, koncercie czy przedstawieniu, na których bywała. Zapamiętałaby na pewno obecnego wicehrabiego. Ten lord Ingall zwróciłby uwagę każdej kobiety.

Nie miał oczu awanturnika. Mogła się spodziewać, że zatwardziały libertyn, bezwzględny kupiec, mężczyzna skłonny do przemocy będzie miał ciemne, zimne, błyszczące oczy albo oczy gada. Oczy lorda Ingalla miały piękny zielony kolor, niemal taki, jak mech porastający pobliską fontannę - delfina, ale o żywszym odcieniu, z tańczącymi w nich pomarańczowożółtymi drobinkami.

Nie zachowywał się jak awanturnik. Zachowywał rezerwę, nie próbując dotykać jej pod byle pretekstem. Usiadł na

kamiennej ławce tak daleko, jak się dało, żeby nie spaść na ziemię. Torrie to odpowiadało, nie czuła się przytłoczona. Oddychała swobodnie, powietrzem o delikatnym i przyjemnym, korzenno-cytrynowym zapachu jego wody ko-łońskiej.

Nie mówił jak awanturnik, nie częstował jej fałszywymi pochlebstwami i dwuznacznymi aluzjami. Żadna z tych rzeczy, oczywiście, nie dowodziła, że nie był awanturnikiem. Torrie westchnęła. Po trzech sezonach, podczas których nie odstępowała jej wszyscy możliwi dobrze urodzeni pretendenci do ręki, sądziła, że potrafi rozpoznać jednego z nich. Lord Ingall nie pasował do tego obrazu. Znowu westchnęła.

- Czy jest pani pewna, że czuje się na tyle dobrze, by spacerować po ogrodzie? - zaniepokoił się. - Pani płuca wciąż mogą cierpieć z powodu zatrucia dymem.

- Nie, czuję się dobrze, naprawdę. Najtrwalszą szkodę odniosła moja stopa, a i to niewielką. - Uniosła lekko skraj spódnicy, żeby mógł zobaczyć bandaż na jej kostce. Nie chciała go kokietować, ale ciekawiła ją jego reakcja.

Wydawał się zmartwiony, nie podniecony.

- Naprawdę przykro mi. Pozwoliła spódnicy opaść.

- Dlaczego miałoby być panu przykro? Ta półka nie spadła przez pana.

- Nie, ale powinienem pojawić się szybciej albo ostrożniej usuwać to, co na panią spadło.

- Nonsens. Równie dobrze mógłby pan pojawić się później... chwilę za późno. Cały budynek mógłby się na mnie zwalić. Przybył pan jednak na czas w odpowiedzi na moje modlitwy. Dlatego zaproponowałam małżeństwo.

No i proszę. Powiedziała to. Tutaj, na dworze. Wicehrabia skoczył na równe nogi i zaczął chodzić tam i z powrotem.

- To nic. Nie była pani sobą. Majaczyła pani. Byłoby lepiej dla nas obojga, gdybyśmy zapomnieli o tej nieszczęsnej rozmowie. Zapewniam panią, że chętnie zapomnę, iż kiedykolwiek padła wzmianka o małżeństwie.

Torrie dotknęła łańcuszka z wysadzonym diamentami kluczykiem, który nosiła na szyi.

- Ja nie mogę zapomnieć.

Wicehrabia popatrzył na nią, zaciskając wargi z gniewem.

- Nie wiem, jaką grę pani prowadzi, lady Victorio, aleja nie będę w nią grać.

- To nie gra. To moje życie, moja przyszłość. Widzi pan, złożyłam ślub.

- Wobec kogo? Jeśli to coś pomiędzy panią a Bogiem, to przysięgam, że od lat nie byłem w jego łaskach. Wątpię, czy nawet pamięta o moim istnieniu.

Torrie nie zamierzała wdawać się w dyskusję o wierze.

- Zatem wobec losu. Albo samej siebie. Przyrzekłam, że jeśli zostanę uratowana, wyjdę za mąż, żeby uszczęśliwić rodziców i spełnić swoje przeznaczenie.

- Być może małżeństwo jest pani przeznaczeniem, ale nie moim. Jeśli chce pani hołdować takim przesądom, proszę wyjść za mąż, z moim błogosławieństwem, cokolwiek jest ono warte. Przyślę pani nawet srebrny świecznik. Jestem pewien, że wielu dżentelmenów ustawi się na ścieżce pod pani drzwiami, żeby zapalić świeczkę, to znaczy... żeby pomóc wypełnić pani zobowiązanie. Przypomina mi się lord Boyce.

- Nie spełnia moich oczekiwań. - Torrie wyjęła kluczyk zza dekoltu i trzymała go teraz w dłoni. - On nie... To jest... - Jak wyjaśnić obcemu mężczyźnie o surowej twarzy, że lord Boyce nie poruszył jej serca? - Nie wyobrażam sobie, żebym mogła spędzić życie z człowiekiem, który...
- Nosi fioletową kamizelkę? - odpowiedział kpiąco lord Ingall, tak jakby zły gust był jedynym powodem, dla którego odrzucała pełnego zapału zalotnika. Torrie zwróciła uwagę, że on sam miał na sobie jasnoszarą kamizelkę w wąskie, ciemnoniebieskie prążki, które świetnie pasowały do kaftana z Bath.
- Nie - odparła. - Mam inne powody, by uważać, że lord Boyce nie jest mężczyzną dla mnie. - Był głupi, nudny i ograniczony, żeby wymienić tylko kilka cech, ale przede wszystkim: nie kochała go.
- No cóż, ja także nie jestem mężczyzną dla pani. Torrie nie ustępowała.
- Prosiłam o łaskę i pan się zjawił.
- Czyli nie zawierała pani układu ze Stwórcą, ale raczej z szatanem. - Wyciągnął ramiona. - Proszę spojrzeć, co ten niemądry układ na panią sprowadził. Trzeba było domagać się lepszych warunków, jeśli chodziło o pani duszę.
- Miałam nadzieję, że przeżyję - powiedziała cicho. - A teraz myślę, że mam przed sobą dżentelmena lepszego niż inni. Wielu mężczyzn skakałoby z radości na myśl o bogactwach mojego ojca.
- Nie, widzi pani człowieka gorszego niż inni, ledwie zasługującego na miano dżentelmena. Proszę zapomnieć o swoich zrodzonych w dymie pożaru fantazjach, bo to były

tylko fantazje. W pani świecie nie jestem nawet przyjmowany.

- Będzie pan, dzięki pomocy mojego ojca.

- Sam dam sobie radę. - Odwrócił się, przywołując psa, żeby odejść. - A pani nic o mnie nie wie.

- Podobno zabił pan człowieka w pojedynku.

- Mówi się tyle rzeczy.

Zauważyła, że nie odrzucił oskarżenia wprost. Nie miała innego sposobu, żeby dowiedzieć się tego, co ją interesowało, jak zadawać pytania, i nie do stracenia, poza pierwiosnkiem, który pies właśnie wykopywał.

- Czy zamordował pan lorda Lynbrook?

- Strzeliłem do niego. Umarł. Czy to odpowiedź na pani pytanie?

Niezupełnie. Torrie nie ustępowała. Chociaż wicehrabia wciąż stał do niej plecami, nie odchodził.

- Nikt nie wie, czy doszło do pojedynku z powodu jego żony czy kochanki.

- Dlaczego nie obu? Towarzystwo z pewnością uważa mnie za zdolnego do wszystkiego.

- Jeśli wina leżała po pana stronie, powinien pan strzelić w ziemię.

- I pozwolić łotrowi, żeby mnie zabił? To największe głupstwo, jakie pani powiedziała, moja panno.

Strzeliłby mi w serce i zostawił na polu, żeby mnie kruki rozdziobały. Nawet mój późniejszy los był od tego lepszy.

- Ale to pana oskarżano.

- Lynbrook i jego brat mieli posłuch u królewskich ministrów, którzy postanowili dać przykład innym niesfornym młodzieńcom. Jako drugi syn w oczach prawa byłem zbędny. Ponieważ moja rodzina uwierzyła w najgorsze, ucieszyli

się z tego, że odpłynąłem, zamiast stanąć przed sądem, gdzie mógłbym się bronić. W ten sposób plotki szybciej ucichły - dodał z goryczą.

- A zatem miał pan podstawy, żeby się bronić.

Nie odpowiedział, ale Torrie widziała, jak wyprostował ramiona i podniósł głowę. Oto stał przed nią człowiek dumny, niewstydzający się własnych czynów. Albo był całkowicie pozbawiony skrupułów, ale wierzył, że postąpił słusznie. Wdzięczna cioci Ann za to, że została w domu, Torrie odważyła się zapytać:

- Proszę mi powiedzieć, czy aprobeuje pan sytuację, gdy żonaty mężczyzna ma kochankę?

Odwrócił się.

- Dobry Boże, czy odkąd wyjechałem, czasy zmieniły się tak bardzo, że dobrze urodzone panny rozmawiają o takich sprawach?

Torrie czuła, jak policzki zaczynają jej płonąć.

- Nie rozmawiamy publicznie.

- Gdzie jest ten piekielny pies? - mruknął Ingall. Homer przybiegł i wskoczył lady Victorii na kolana, zostawiając brudne ślady łap na różowym jedwabiu. - A niech to, przepraszam. Proszę pozwolić...

Przytuliła psa, chcąc zatrzymać go jako zakładnika, póki nie uzyska odpowiedzi.

- Jakaż więc jest pana opinia w tej kwestii?

- Czy aprobeuję to, że żonaty mężczyzna ma utrzymankę? Nie wierzę, żeby mężczyzna miał prawo czynić żonę brzemienną co roku, przez cały czas trwania małżeństwa, aż zestarzeje się i zwiędnie przed czasem. Nie sądzę, że kobieta powinna poślubić mężczyznę dla jego pieniędzy, a potem nie odpłacić mu miłością. Nie aprobeuję tego, że ojcowie sprze-

dają własne córki, skazując je, dla własnych korzyści, na nieszczęśliwe związki. Nie widzę powodu, żeby ziemia, tytuły i bogactwo stanowiły podstawę małżeństw, zamiast wzajemnego uczucia i szacunku. Mógłbym mówić dalej o domach schadzek, w których trzyma się dziewczynki, o dzieciach bez ojców porzuconych w rynsztoku, żeby umarły z głodu, o kobietach, żebraczkach o pustych oczach, umierających na ospę. Widzi pani, że nie aprobuję wielu rzeczy, które przyjmuje się za naturalne w pani świecie. Jeśli jednak pyta pani, czy byłbym wiernym mężem, moja odpowiedź nie ma znaczenia, ponieważ nie zamierzam poddać się takiej próbie.

- Nie zamierza się pan ożenić?

- W końcu zaczyna mówić rozsądnie - powiedział jakby do psa.

- To nie jest rozsądne. A pański tytuł? Sukcesja? Roześmiał się.

- Mojego ojca nigdy nie obchodziło, czy żyję, czy umarłem. Ani też jego dziedzica, mojego brata Rogera. Najbliższym żyjącym członkiem mojej rodziny jest wdowa po Rogerze, która pozostaje w nieutulonym żalu z tego powodu, że on umarł, a ja żyję. Do kata z sukcesją... sam niemal do niego nie trafiłem.

- Ale przeżył pan. Skinał głowę.

- I doszedł pan do majątku. Powiadają, że zbił pan fortunę na handlu futrami.

- Fortuna ta pójdzie na cele dobroczynne, kiedy ja odejdę. Mój pomocnik ma listę instytucji.

- I kolejną fortunę na korzeniach lub herbacie. Papa nie był pewien.

- Na jednym i drugim. Na szczęście albo też na nieszczęście biednych istot, których to dotyczy, jest wiele szczytnych celów, na które można łożyć.
- Nie potrzebuje pan zatem pieniędzy mojego ojca.
- Nie potrzebuję niczego od żadnego mężczyzny. Ani kobiety. - Spojrzał gniewnie na Homera, odwracając się na pięcie. - Ani psa.

8

Torrie wypuściła Homera. Nie należał do niej, nie miała prawa go zatrzymać.

Pozwoliła odejść lordowi Ingall. On także do niej nie należał.

Pozwoliła odejść swoim marzeniom o prawdziwej miłości, doskonałym związku i kochankach, którym przeznaczone było się spotkać wbrew wszystkiemu.

Ale nie mogła się pozbyć uczucia wdzięczności. Wicehrabia nie był odpowiedzią na jej modlitwy ani nawet łatwym towarzyszem rozmowy, ale uratował jej życie.

- Proszę zaczekać!

Odwrócił się na stopniach tarasu, unosząc ciemne brwi, jakby spodziewał się kolejnego bezczelnego pytania albo dziwacznej propozycji. Jego podwładni dobrze by się zastanowili nad słowami, widząc to spojrzenie. Torrie, jak zwykle, rzuciła się głową naprzód.

- Chcę tylko jeszcze raz panu podziękować. Pana bohaterski czyn może się panu wydawać niczym, ale

61

zapewniam, że dla mnie jest bardzo ważny. Inni mężczyźni staliby z boku, czekając, aż uratują mnie strażacy, a kto wie, czy zdążyliby na czas. Inny mężczyzna może by mnie zostawił na zewnątrz budynku drżącą w samej koszuli. Mógł pan mnie przekazać lordowi Boyce, żeby mnie odwiózł do domu, a ja musiałabym wysłuchiwać jego bredzenia w takim stanie. Zamiast tego uratował mi pan życie oraz godność i nie spoczął, póki nie znalazłam się bezpieczna w domu. Wiem, że nie mogę nic zrobić, by okazać wdzięczność, podobnie jak mój ojciec. Nie przychodzi mi do głowy żadna nagroda, którą mógłby pan przyjąć, ale... ale chciałabym zostać pana przyjaciółką.

A teraz chciała się z nim zaprzyjaźnić? Wynn pokręcił głową. Po co mu rozpieszczona panna z towarzystwa? No dobrze, ustąpił, lady Victoria wydawała się przyzwoitą dziewczyną, nie wpadała we wściekłość, kiedy nie mogła postawić na swoim, ani nie zamieniała się w konewkę z wodą. I miałby ochotę zobaczyć, jak się uśmiecha, tym razem do niego, nie do psa. Nigdy jednak nie przyjaźnił się z kobietą. Rosie się nie liczyła, płacił za jej afekty. Lady Lynbrook nie była prawdziwą przyjaciółką, chociaż znali się od wieków. Wynn był dla niej jak lokaj, którego wzywała, kiedy coś wymagało naprawy. Obie zawsze czegoś od niego chciały. Lady Victoria nie chciała niczego poza tym, o co prosiła: przyjaźnią. Ale o czym mieliby rozmawiać we dwójkę - o najnowszych plotkach, o fasonach czepków, jej następnych oświadczeniach? A może dziewczyna chciała z nim wszędzie bywać jak Homer?

Z drugiej strony, miał w Anglii pracowników i podwładnych, ale nie miał prawdziwych przyjaciół. Ci z dzieciństwa, ze szkoły, odwrócili się od niego szybko, kiedy

popadł w niełaskę. Jedyńy, który tego nie zrobił, przyjaciel, który pomógł mu rozpocząć nowe życie w nowym świecie, zginął bohaterską śmiercią w Hiszpanii. W dodatku, wbrew sobie, poczuł jakąś więź z lady Victorią. Uratowawszy ją raz, nie mógł teraz pozostawić jej własnemu losowi, zwłaszcza że być może nadal groziło jej niebezpieczeństwo. Jako przyjacielowi łatwiej byłoby mu mieć na nią oko, strzec jej. Wynn poczuł się o wiele lepiej, myśląc o tym, ale to było niemożliwe.

- Obawiam się, że nie będziemy mieli okazji lepiej się poznać - powiedział z prawdziwym żalem. - Nie obracamy się w tych samych kręgach.

- Nigdy nie sądziłam, żeby odwiedzał pan Almacka, jeśli to miał pan na myśli. Nie mogę nawet przekonać papy, żeby mnie tam zabrał. Myślę jednak, że wkrótce otworzą się przed panem inne drzwi. Moje zawsze będą otwarte.

Skłonił się lekko, wzruszony jej dobrocią i szczerością.

- Dziękuję. I skoro już o tym mowa, muszę przeprosić za swoje niegrzeczne zachowanie. Zamiast zbywać panią przedtem, powinien powiedzieć, że jestem bardzo zaszczycony pani propozycją, i podziękować. To właściwy sposób, żeby odmówić ofercie małżeństwa, prawda? Ale ponieważ nigdy nie otrzymałem takiej oferty ani też żadnej nie składałem, nie jestem pewien co do odpowiedniej formy.

Uśmiechnęła się, tak jak się spodziewał.

- Tego właśnie nas uczono w Akademii lady Castangle. Ja także muszę przeprosić. Przede wszystkim nie powinnam była występować ze swoją propozycją tak pośpiesznie. Miał pan rację. To widocznie przez dym. Wybaczę panu, jeśli pan wybaczy mnie.

- Oczywiście.

- Przyjaźń?-Wyciągnęła rękę.

Tym razem wziął ją i potrząsnął, tak jak zrobiłby to z dżentelmenem.

- Przyjaźń. - Uśmiechała się tak czarująco i cieszyła się tak szczerze, że Wynn natychmiast zapomniał, że mieli być przyjaciółmi. Podniósł jej rękę do ust i pocałował ją.

Lord Duchamp był rozczarowany, ale nie zaskoczony. Czekał na Wynna w bibliotece - obszernym, ale przytulnym pokoju - z podniszczonymi skórzanymi fotelami, zapachem starych książek i dymu z fajki. Miał nadzieję na formalną prośbę o rękę córki. Zamiast tego zobaczył plecy gościa zmierzającego korytarzem ku drzwiom frontowym i wolności.

- Mówiłem Maggie, że ten ptaszek nie da się zaobrączkować - mruknął do siebie hrabia, kiedy posłał lokaja za Wynnem, żeby go zaprosić na kieliszek. - Ale ona musiała wyjechać i zrobić zamieszanie z powodu drobiazgu. Takie są kobiety. - Skinął głową na powitanie, kiedy Wynn wszedł do biblioteki, a potem wskazał mu fotel i sięgnął po karafkę z koniakiem. Pies znalazł sobie wygodne miejsce na niedźwiedziej skórze przed kominkiem.

- Widzę, że nie rozwiązał pan jeszcze sprawy kamerdynera - powiedział lord Duchamp, nalewając alkohol i wskazując kieliszkiem na fular Wynna. - Porozmawiam z braćmi Day w tej ich agencji pośrednictwa. Będzie pan wyglądał jak z obrazka w pół chwili.

Wynn wypił łyk koniaku i podziękował, z trudem powstrzymując się, żeby nie zerwać z szyi nieszczęsnego fularu albo nie przyłożyć hrabiemu w zęby. Co mu pozosta-

ło, poza uprzejmością, skoro właśnie odrzucił rękę jego córki?

O tym także myślał lord Duchamp, który nie zwykł niczego owijać w bawełnę.

- Nie sądzę, żeby podwojenie posagu wpłynęło na zmianę pana decyzji?

Cały Bank Anglii nie miał dość pieniędzy, żeby zmienić decyzję Wynna. Podziwiał jednak otwartość lorda Duchamp, podobnie jak sięgające od podłogi po sufit regały w bibliotece i szerokie okna, wpuszczające do środka światło dnia. Ucieszyłby się z takiego pokoju, gdyby miał go dla siebie.

Pokręcił głową.

- Nie, mam więcej pieniędzy, niż potrzebuję.

- Nie chodzi też o to, że moja mała jest nie dość ładna?

- Boże drogi, skąd. Lady Victoria jest niezwykle piękna.

- Niemal tak piękna jak jej matka; zawsze tak uważałem, ale mogę być odrobinę stronniczy. Ale także inteligentna i wykształcona. Posłaliśmy ją do Akademii lady Castan-gle, żeby się pozbyła akcentu z Yorkshire. Ja nie widziałem w tym nic złego, ale Maggie powiedziała, że trzeba to zmienić, i Torrie wyjechała do szkoły. Boże, jak mi jej brakowało. Nigdy pan nie zgadnie, ile sobie kazała płacić ta pani Castangle.

- Nie, nie mam pojęcia. - Z pewnością nakłonienie upartej dziewczyny, żeby dostosowała się do cudzych standardów, musiało drogo kosztować.

- A może spotkał pan inną kobietę? Przypuszczam, że poznał pan wiele pięknych kobiet podczas swoich podróży, piękniejszych nawet niż Torrie. Nie zdziwiłbym się, gdyby wszystkie miały w zwyczaju upuszczać chusteczkę, żeby zwrócić pana uwagę, nie mówiąc już o zdobyciu pańskiego

59 - Diamentowy klucz

65

majątku. Nie chcę przez to powiedzieć, że czegoś panu brakuje, ma pan tytuł i tak dalej, ale kobiety najpierw przyglądają się rachunkowi w banku, prawda?

Przekłety fular dusił Wynna. Równie dobrze mógł być skórą niedźwiedzia rozpiętą, żeby wyschła - hrabia tak bez ogródek mówił o jego prywatnym życiu. Przełknął z trudem łyk koniaku.

- Nie, nie, nie zwróciłem uwagi na żadną kobietę.

- Nie jest pan przypadkiem z tych...? To jest, czy nie woli pan...?

- Dobry Boże, nie! Zapewniam pana, że gdybym chciał dać się zakuć... to jest, ożenić, nie szukałbym nikogo poza pańską śliczną córką. Ja po prostu nie... nie jestem na rynku matrymonialnym. Zdaje się, że tak to się nazywa.

- Cóż, nie można otworzyć wina, zanim nie dojrzeje. -Hrabia odstawił kieliszek i westchnął z rezygnacją. - A więc jakie ma pan plany, jeśli wybaczy pan wścibstwo staremu człowiekowi, skoro nie zamierza pan się ustatkować? Podróże?

Wynn nie tęsknił za tłoczną kajutą i wstrząsanymi burzą statkami. Nie miał też ochoty zakopywać się w wiejskiej posiadłości rodzinnej w Hertfordshire. Zatrzymał się tam w drodze do Bristolu, żeby sprawdzić, czy zarządca nie upiększał sprawozdań i czy posiadłość jest w dobrym stanie, a także by spróbować przywołać przyjemne wspomnienia. Było ich niewiele, ponieważ wysłano go do szkoły bardzo wcześnie i nigdy nie zachęcano, żeby poznał majątek, który pewnego dnia miał przypaść jego bratu. Zarządca, Bimm, przypominał przywiedłą rzepę wczepioną korzeniami w ziemię i był zachwycony, kiedy Wynn dał mu carte blanche na ulepszenia i nowoczesne narzędzia. Wydawało się,

że

66

poprzedni posiadacze tytułu, ojciec Wynna i jego brat, nigdy nie łożyli wystarczająco na własną posiadłość czy dzierżawców, co powiększało listę ich grzechów. Kiedy jednak staruszek zaczął się zastanawiać, jakie wieprzki kupić, Wynn wyjechał.

Sądził, że skoro zarzucił podróże i postanowił nie za-grzebywać się na wsi, mógłby otworzyć biuro w Londynie i dorobić się kolejnego majątku. Ale po co? Ta myśl dręczyła go od miesięcy, odkąd zaczął rozważać powrót do Anglii. Był młody, nie miał jeszcze trzydziestki. Co, do diabła, miał zrobić z resztą życia?

- Nie zdecydowałem jeszcze, czym się zajmę - oznajmił głośno. - Mam pewne interesy i sprawy osobiste do załatwienia, potem przemyślę różne możliwości.

- Pytam dlatego, że przydaliby nam się jacyś dobrzy ludzie w partii. Rząd wywiozą do diabła na taczkach, do tego wojna, zamieszki, ustawa w sprawie regencji. Pański brat...

- Nie jestem swoim bratem.

- Oczywiście. To niemożliwe, on nie żyje. Ale jeśli chce pan powiedzieć, że nie ma jego ambicji, jest wiele do zrobienia, i to wcale nie będąc na świeczniku. W czwartek przyjdzie do mnie na kolację paru przyjaciół. Może pan...

- Nie, dziękuję. Ja...

Hrabia uniósł rękę, błyskając ciężkim sygnetem. To przypominało Wynnowi, że on sam nie zabrał jeszcze swojego z sejfu w rezydencji Ingramów. Jego bratowa strzegła go zapewne jak smok swoich skarbów.

- Proszę posłuchać - powiedział Duchamp. - Nie miałbym do pana pretensji, gdyby pan przypuszczał, że to banda starych nudziarzy. Większość tak. Ale proszę przez chwilę

zastanowić się nad zaproszeniem. Nawet jeśli nie chce pan wejść do władz, ludzie ci tworzą prawa, które wpłyną na pana interesy. Są to arystokraci o głębokich kieszeniach, zainteresowani inwestycjami, jak na przykład pański transport morski. Będą spijać słowa z pańskich ust. A jeśli pan podejrzewa, że ktoś potraktuje pana z góry, proszę pomyśleć jeszcze raz. Nie przy moim stole. Nikt nie ośmieli się obrazić jednego z moich gości, zwłaszcza człowieka, który uratował moją córkę. To będzie dobry wstęp do pańskiego powrotu na łono socjety.

- A gdybym powiedział, że nie dbam o to, by wejść z powrotem w szeregi dziesięciu tysięcy stojących na górze, to co wówczas?

- Byłby pan głupcem. Ale pana nie potępiam. Sam czuję się szczęśliwszy w Yorkshire, przy piwie z dzierzawcami. Tyle że człowiek nie zawsze może wybierać, gdzie zje swój kawałek baraniny, a ta z reguły smakuje lepiej wśród przyjaciół. Pewnego dnia może zechce pan wystąpić na dworze. Do diabła, pewnego dnia może zechce pan przedstawić dworowi swoją córkę albo zabrać syna do Tat-tersalla. Niech pan teraz nie zamyka im drzwi przed nosem, kiedy może je pan otworzyć za pomocą partyjki wista i butelki porto. Nie musi pan przechodzić przez te drzwi, a tylko się upewnić, że są otwarte dla pana i pańskiej rodziny.

Tego dnia już po raz drugi ktoś wspominał o otwieraniu drzwi, a tyle ich pozostawało dla niego zamkniętych przez tak długo. Wicehrabia nie zbił fortuny, odrzucając dobre rady, kiedy mu je podsuwano, a Duchamp zdawał się życzyć mu jak najlepiej. Poza tym Wynn uznał, że może miałby znowu ochotę obejrzeć klub White'a od środka albo pomó-

więc z kimś ważnym z ministerstwa wojny, bez konieczności obracania się wśród płotek.

- Dziękuję panu. Jeśli jest pan pewien, że nie postawię pańskich gości w kłopotliwej sytuacji, z przyjemnością przyjmę pańskie zaproszenie na kolację.

- Dobrze, dobrze. Przyda się jakieś żywsze towarzystwo na tych nudnych kolacjach, a Torrie będzie szczęśliwa, mając obok siebie kogoś w zbliżonym wieku.

- Torrie? To znaczy, że lady Victoria też tam będzie?

- Oczywiście. Jako pani domu, gdyż moja żona uciekła, eee... postanowiła wrócić wcześniej do naszej wiejskiej posiadłości. Prace remontowe, takie rzeczy. Torrie sobie poradzi. Mógłby pan jej i mojej siostrze pomóc zabawiać stare czarownice, eee... żony moich współpracowników.

- Żony? Nie wspominał pan, że na kolacji będą kobiety. Wino, kobiety i wigowie, o do diabła.

9

Nowy kamerdyner Wynna został przyłapany na kradzieży. Barrogi przyparł go do ściany, przytykając mu do szyi długi wąski nóż, kiedy szmaragdowa zapinka wypadła mu z kieszeni na podłogę.

Wicehrabia nie zdążył nawet zapamiętać nazwiska złoczyńcy - Randall czy jakoś tak - tym bardziej że w dodatku nie umiał porządnie czyścić butów. Mężczyzna miał łzy w oczach, wiedział, że za to przestępstwo grozi mu szubienica. Barrogi chciał go oddać w ręce władz - tyle że nie chciał pokazać swojej zniszczonej twarzy na Bow

69

Street. Wynn postanowił wysłać złodzieja do Botany Bay, ale tylko za jego zgodą.

Co on do diabła wyprawia - siada do stołu z gromadą politycznych głupców, nadętych kanciarzy... i ich nieciekawymi żonami? Niezależnie od tego, co myślał Duchamp, kobiety odwrócą się do niego plecami, a mężczyźni odmówią gry w karty w jego towarzystwie. Przyjęcie Torrie - to znaczy, lady Victorii - będzie katastrofą. Świetny sposób na nawiązanie przyjaźni - zniszczyć jej wiarygodność jako gospodyni. Ostrzegł zarówno ją, jak i jej ojca, jak to się skończy, ale nie chcieli słuchać. Trzymali się swoich prób przywrócenia mu poważania w społeczeństwie, jak ścigany kot trzyma się gałęzi drzewa. Sytuacja była bardzo niepewna.

- Zabierze pan tego łapserdaka, gdzie trzeba, *padrone?* -zapytał Barrogi.

- Do więzienia? Nie, nie mam czasu. - Wynnowi pozostały dwa dni, żeby zamówić nową garderobę, pozbyć się przekleństw ze swojego słownika i wynająć nowego kamerdynera. Powinien także odwiedzić Rosie i lady Lyn-brook i rozwiązać ich problemy, tak żeby jego niespokojna przeszłość pozostała w przeszłości, czyli na swoim miejscu. Stos ich listów, przekazywanych mu przez sekretarza, groził spłynięciem na podłogę z półki nad kominkiem. Musi też dopilnować, żeby jego bratowa wyniosła się z rezydencji Ingramów. Gdyby jakimś niezwykle przypadkiem dobre towarzystwo znowu uznało go za jednego ze swoich, będzie potrzebował odpowiedniej dla dżentelmena siedziby i modnego adresu. Obecna nora, w której się gnieździł, nie wystarczy, podobnie jak służba składająca się z bandyty i pół-Cygana, który właśnie trzymał nóż na gardle nieuczciwego kamerdynera. No i musiał jeszcze złapać podpalacza.

- A więc chce pan, żebym mu uciął rękę, tak jak to robią w pogańskich krajach? - zaproponował Barrogi.

Kamerdyner zaszlochał.

- I zniszczyć dywan? Pamiętaj, że to wynajęte pokoje. Poza tym to dość drastyczna kara, bo przecież Randolph nie wyszedł za drzwi z biżuterią. Może po prostu wpadła mu do kieszeni, kiedy sprzątał. Mężczyzna pokiwał energicznie głową czy też tak energicznie, na ile pozwalało przytknięte do jego gardła ostrze noża.

- Tak jest, wasza lordowska mość. Właśnie sprzątałem. Barrogi był zde gustowany.

- Chce pan go puścić, *padrone*?

- Chcę zamienić słowo z panem Day i jego bratem. Naprawdę muszą się lepiej postarać. Spodziewam się, że obecny tu Rudolph nie dostanie już referencji ani też nie będzie miał możliwości zatrudnienia. Oczywiście może dalej prowadzić życie przestępcy, ale to nie byłoby korzystne dla społeczeństwa. Nie, sądzę, że trzeba go wsadzić na statek.

- Tylko nie do Nowej Zelandii, wasza lordowska mość - powiedział błagalnie służący. - Tylko nie to! Wynn przyjrzał się szczupłemu, ale żylastemu lokajowi.

- Nie, to strata czasu, nawet gdybyś przeżył podróż. Ale zawsze przyda się nowy majtek na moich statkach. Co powiesz na pryczę na kliperze i pensję? Oczywiście, jeśli kapitan stwierdzi, że kradniesz, wyrzuci cię za burtę. Albo to, albo zdaj się na sprawiedliwość Jego Wysokości. Decyduj szybko, Rupercie, bo się śpieszę. Muszę się do czwartku nauczyć, jak być dżentelmenem.

Ktoś inny także miał kłopot z fularem, ale być może dlatego, że wynajęty zbir trzymał go za kołnierz. Co gorsza, zbir wynajęty przez niego samego. Najgorsze ze wszystkiego, że zbir spodziewał się dostać zapłatę.

- Co pan ma na myśli, mówiąc, że nie wykonałem roboty? Podłożyłem ogień, jak było planowane.

- Podłożyłeś ogień trzy razy, głupcze! - krzyknął dżentelmen. - Spaliłeś pół zakładu, zamiast wywołać zamieszanie.

Bandyta przestał dusić pracodawcę, żeby podrapać się po głowie. Dżentelmen cofnął się poza zasięg długich, cienkich niczym u małpy ramion i małpiego smrodu. Poprawił ubranie i zadrżał na myśl o tym, jakie stworzenia mogą wypełznąć z tych sztywnych, podobnych do słomy włosów. Wysoki, chudy jak patyk, ubrany w wyblakłą czerń zbir do wynajęcia nazywał się Scarecrow i był wszystkim, na co dżentelmen mógł sobie pozwolić. Gdyby był w stanie rozstać się z jedną ze swoich tabakierok, może mógłby zatrudnić kogoś bardziej kompetentnego, ale jak wtedy poradziłby sobie z resztą?

Scarecrow splunął na podłogę, o włos omijając ozdobione cekinami zapięcia butów dżentelmena.

- Za pierwszym razem nic się nie zajęło. Za drugim było tylko dużo dymu. Dopiero za trzecim się udało.

- Chodziło o to, żeby nie zabić dziewczyny, na Jowisza! Jaki pożytek z martwej dla któregokolwiek z nas?

- Jaki z niej teraz pożytek, chciałbym wiedzieć? Miały być z tego pieniądze, jak tylko pan ją wyciągnie.

- Wygrałbym los na loterii, gdybym mógł ogłosić zaręczyny. Zamiast tego przez twoją nieudolność wpadła prosto w ramiona innego, do wszystkich diabłów!

- To chce pan, żebym usunął tego durnia, który ją wyciągnął?

- Co? Nie, Ingalla nie warto zabijać. Nie zagraża moim planom. Nie jest przyjmowany w dobrym towarzystwie, jak może wiesz.

Jedynym dobrym towarzystwem, jakie znał Scarecrow, był dom schadzek Mamy Johnstone, gdzie nigdy nie było go stać na dziewczyny. I tak zostanie, jeśli nie dostanie pieniędzy.

- Nie, Ingall mi nie zagraża. Hrabia rzuci mu sakiewkę, a jego samego wyrzuci za drzwi. Nie jest godzien przebywać w towarzystwie damy, a kochający ojciec świetnie zdaje sobie z tego sprawę. Dopilnuję, żeby nie było inaczej.

- No więc?

- Potrzebujemy lepszego planu i tyle. Muszę mieć Vic-torię Keyes, klucz do fortuny jej ojca! Trzeba się zastanowić.

A Scarecrow mógł sobie pomyśleć o ladacznicach Mamy Johnstone. Żaden z nich nie był bliższy swoich celów. Znowu splunął na podłogę, wydając opinię o zdolnościach umysłowych pracodawcy.

- A ja się zastanowię, ile wziąć, kiedy sprzedam pańskie zimne ciało do szkoły chirurgów, jak nie dostanę zapłaty.

Matka Torrie miała, jak zwykle, rację: nie należało składać propozycji małżeńskiej pierwszemu obcemu człowiekowi spotkanemu na ulicy. Kobieta powinna starannie rozważyć, komu chce oddać rękę, ponieważ tym samym dawała dżentelmenowi niezbywalne prawa do swojego majątku, ciała i być może także serca. Musiała znać jego charakter, zasady moralne, stosunek do dzieci, jeśli miał być ojcem jej potomstwa. Ostatecznie ślub zawiera się na całe życie - to samo życie, które uratował Wynn Ingram.

Po namyśle Torrie postanowiła nie rezygnować całkiem z wicehrabiego Ingall jako kandydata do ręki. Niezależnie od tego, co sądził o jej przysiędze, wciąż pragnęła w niedługim czasie znaleźć męża, choć nie jakiegokolwiek. Przynęła to sobie i ojcu. Oboje chcieli z tym skończyć możliwie szybko, żeby znów się połączyć z lady Duchamp. Wicehrabia nadal pozostawał faworytem Torrie, choć sam lord Ingall nie uważał się za konkurenta.

Ojcu się podobał, co świadczyło dobrze o jego umiejętności dawania sobie rady w trudnych sytuacjach, a może o determinacji papy, żeby wrócić do Yorkshire.

Ciotka Ann nie czuła do niego antypatii, co tym bardziej przemawiało na jego korzyść.

A Torrie sądziła, że mogłaby go bardzo polubić.

Lord Ingall różnił się od wszystkich mężczyzn, jakich znała, i to nie tylko dlatego, że wiele podróżował. Odnosił sukcesy jako handlowiec, a zatem zajmował się czymś innym poza hazardem i piciem, w przeciwieństwie do większości kawalerów z dobrego towarzystwa. Co więcej, wicehrabia nie pragnął uznania w wyższych kręgach społeczeństwa, nie interesował się pieniędzmi Torrie i prawie nie interesował się samą Torrie. Nie, zdecydowanie różnił się od znanych jej dżentelmenów. Miała nadzieję, że nie jest tak płytką, by uraził ją jego brak zainteresowania. Nie chciała też dążyć do zdobycia tego, co nieosiągalne. Takie cele postawiłaby może sobie jakaś głupia gęś, narażając się na rozczarowanie. Nie, naprawdę uważała, że jej wybawca mógłby być dobrym mężem, gdyby dało się go przekonać, że potrzebuje żony.

Odsuwając na bok niemądre fantazje czy przesady, Torrie uznała, że ma naturalną skłonność do człowieka, który

ją uratował. Ingall to zrobił, nie Boyce czy jakiś inny głupiec piszący dla niej peany. Czym był wiersz na jej cześć w porównaniu z wyciągnięciem z płonącego domu? Torrie nie zamierzała brać do łóżka czterowersza, prawda? Chciała silnego, dzielnego... męskiego męża.

Poczuła, że się czerwieni, myśląc w ten sposób o lordzie Ingall, którego ledwie знаła. Była przecież dobrze wychowaną panną, która nie powinna wspominać bez przerwy mrowienia w palcach po tym, jak je pocałował.

Ale była także dziewczyną, która spędzała długie wieczory w Akademii lady Castangle, chichocząc wraz z innymi uczennicami nad albumami sztuki włoskiej. Ile kobiet mogłoby patrzeć na szerokie ramiona lorda Ingalla, jego wąską talię i twardą linię szczęk i nie mieć niespokojnych myśli?

Może tylko ciocia Ann.

- Nie mówię, że nie jest przystojny ani że nie jest przyzwoitym człowiekiem. - Ciotka Torrie przerwała, żeby ponownie nawlec igłę, zanim w przerośni przebiła nią bańkę złudzeń Torrie. - Mówię tylko, że nie będzie dla ciebie dobrym mężem, jeśli zdołasz go w ogóle zwabić do ołtarza, jak to wulgarnie ujmuje twój ojciec. Takiego człowieka nie da się owinąć wokół palca.

- Ale dlaczego miałabym chcieć męża o słabej woli, ciociu Ann, takiego, którego mogłabym trzymać pod pantoflem? Nie chciałabym poślubić nieznośnego tyrana ani człowieka, który sądzi, że kobiety nie mają między uszami nic poza piórami i puchem. Ale dlaczego nie poślubić kogoś, kto będzie mnie traktował jak równą sobie, jak przyjaciela i kochankę?

- Znowu czytałaś powieści z wypożyczalni, tak? Pożyczanie kłopotów, ot co.

Torrie pomyślała, że zaproszenie wicehrabiego na przyjęcie ojca to doskonały pomysł. Utrzymując tę przyjaźń, będzie mogła dowiedzieć się czegoś więcej o jego charakterze, a on odzyska należne mu miejsce w społeczeństwie. Bez względu na wszystko, zarówno Torrie, jak i jej ojciec postanowili wynagrodzić wicehrabiego, przywracając mu właściwą rangę wśród równych urodzeniem.

Kiedy przekona się, że jest mile widziany w Londynie, może zostanie w Anglii. A jeśli tak, to może przywiąże się do swojego dziedzictwa i pomyśli o następcy. Albo po prostu zmęczy go stan kawalerski. Kto to wie? A może nawet odkryje, że zdarzają się i udane małżeństwa.

Czwartkowe przyjęcie musiało być doskonałe i Torrie godzinami zastanawiała się nad usadowieniem gości przy stole. Za pośrednictwem służby dopilnowała, żeby wszyscy goście usłyszeli o bohaterstwie Ingrama. Musi przekonać lorda Ingalla, że nie wszyscy są tacy ograniczeni i pełni uprzedzeń i że nie wszyscy mają mu za złe jego przeszłość. Musi także pokazać, jaką jest dobrą gospodynią, spędziła więc godziny z kucharką i majordomusem, marnując czas obojga. Oczywiście, chciała wyglądać jak najlepiej, tak więc kolejne godziny poświęciła na przejrzenie garderoby, przyjrzenie się swojej cerze, dobranie odpowiedniej fryzury. Pokojówka, Ruthie Cobb, wciąż trochę słaba, gotowa była opuścić dom.

Torrie znalazła czas na jeszcze jedno zadanie. Dodała do listy starego zręde, lorda Cooperstone oraz jego piękną, młodą i - według najnowszych plotek - niezadowoloną żonę.

Przyjęcie miało być kształcące dla wszystkich.

Tak się jakoś złożyło, że Wynn nie znalazł czasu, by odwiedzić swoje dawne erynie, trzy kobiety Furie, które przed sześcioma laty pomogły zniszczyć jego życie. Dzięki nim porzucił beztroską, próżniaczą młodość, żeby stać się... człowiekiem majątnym i potężnym, ceniącym prawdziwe wartości. Być może był im coś winien, jakąś grzeczność poza spłaceniem bieżących rachunków. Zajmie się tym. Po obiedzie. Z całą pewnością.

Teraz był zbyt zajęty, musiał umieścić Rufusa na statku, zamówić nowy mundur, przepłacając sześć razy, żeby był gotowy na czas. Nie chciał zawstydzić lady Victorii bardziej niż to nieuniknione. Nie chciał też, jak sam przed sobą przyznał, by uznała go za barbarzyńcę.

Spotkał się z kilkoma przedstawicielami wzbogaconej klasy kupieckiej, którzy jak najchętniej widzieliby go w swoich domach. Niezależnie od stanu jego garderoby czy reputacji, zawsze tak się składało, że mieli jakąś córkę czy siostrzenicę. Odrzucał zaproszenia na kolacje i podwieczorki i stwierdził, że powinien mieć biuro na podobne spotkania.

Widział się także z panem Dayem, starszym z braci. Młodszy uciekł tylnymi drzwiami, kiedy usłyszał w holu gniewny głos Wynna. Otrzymał zapewnienie, że tym razem agencja go nie zawiedzie, ponieważ jego patronat był dla niej zaszczytem, podobnie jak lorda Duchamp. Mieli akurat kogoś dla niego, Hiszpana, który służył u wysoko postawionych osobistości, zanim jego kariery nie ucięło poparcie, jakie okazał dla wojsk francuskich. Miał się pojawić przed drzwiami Wynna w czwartek, w dniu przyjęcia.

Pan Viera przysiągł, po hiszpańsku, że będzie najlepszym kamerdynerem, jakiego *señor* kiedykolwiek zatrudnił. Potem powtórzył to po angielsku. *Si*, lubi *los perros*, psy. Nie, nie miał nic przeciwko temu, by mieszkać w El Kensington.

- A co z fularami? - zapytał Wynn, chcąc się podwójnie upewnić, czy zatrudnia właściwego człowieka.

Viera dał słowo, po hiszpańsku i po angielsku, że zawiązuje najbardziej *magnífica corbata*, wspaniałą fular. Wykrzywił usta z pogardą, mówiąc o *idiotas*, którzy potrzebowali nieprawdopodobnie wielu prób, by zawiązać znośny węzeł. Cóż, on, Viera, mógł przysiąc na święty grób własnej matki, że potrafi zawiązać skomplikowany Wodospad, używając zaledwie czterech długości materiału.

- Nie, nie, nie chcę niczego tak wymyślnego.

W takim razie Viera będzie potrzebować tylko trzech długości. Jedna więcej i uzna sam siebie za błazna, *un malogro*. Oświadczył, że jeśli nie zadowoli *señora* Ingall w *tres* podejściach, zrezygnuje. *Sin dinero*. Bez zapłaty.

Wynn zatrudnił go i Viera wprowadził się następnego dnia, w dniu przyjęcia u Duchampa. Kąpiel Wynna miała właściwą temperaturę, włosy zostały przycięte na odpowiednią długość. Nowe ubranie zostało wyczyszczone i wyprasowane, błękitny kaftan, białe satynowe bryczesy, białe pończochy. Nowe skórzane pantofle uciskały lekko, ale *Dios*, jakże lśniły.

Wynn wstrzymał oddech, kiedy Viera sięgnął po pierwsze, leżące na górze pasmo materiału. Barrogi wstrzymał oddech. Homer wstrzymał oddech. Viera uśmiechnął się przelotnie i zabrał z zapalem do pracy. Stał przed wicehrabią. Cofnął się. Zbliżył. Cofnął, poruszając dłońmi szybciej, niż oko było w stanie nadążyć.

Potem odsunął się i klasnął w dłonie.

- **Perfecto**, nie? Nie.

Barrogi chichotał, zakrywając usta dłonią. Wynn spojrział w lustro, na ogromną kokardę, która spływała mu na piersi. Wyglądał jak prezent urodzinowy. Zaklął - po hindu-sku - żeby nie urazić uczuć gorliwego Hiszpana.

Viera rozumiał język wystarczająco dobrze, żeby się zorientować, że jego dzieło nie odpowiada Wynnowi.

- Za nisko, **SÍ**? Nie szkodzi. Poprawię.

Rozwiązał nieszczęsną kokardę i sięgnął po drugą chustę. Pracował nad nią dwa razy dłużej, zastanawiając się nad każdym zagięciem i fałdą. W końcu poprosił Wynna, by opuścił brodę. Wynn nie mógł tego zrobić. Odwrócił się, żeby spojrzeć w lustro, ale nie mógł zobaczyć podłogi i potknął się na Homerze, który zaskowyczał. Wynn też miał na to ochotę, kiedy ujrzał swoje odbicie: nos zadarty niemal pionowo do góry, broda wysuwała się ze śnieżnej góry.

- Za wysoko, **señor**?

Zdecydowanie za wysoko. Wynn miał jeść kolację u Du-champów, a nie przyglądać się zyrandolom. Dla uspokojenia nerwów łyknął wina, które podał mu Barrogi.

Nikt się nie odzywał, kiedy Viera sięgnął po trzeci, ostatni kawałek materiału. Kamerdyner przyglądał się materiałowi, Wynnowi, parę razy pokręcił głową, a potem skinął potakująco.

- **Si. Elegante**. - I zabrał się do pracy.

Tym razem był wspaniały. Ani zbyt krzykliwy, ani za spokojny.

- **Perfecto, amigo** - powiedział Wynn do uśmiechniętego kamerdynera. - Nalej sobie kieliszek wina. Zasłużyłeś.

Viera posłuchał i stuknął kieliszkiem o kieliszek Wynna. Kropla madery przysła z jego kieliszka na fular Wynna, który teraz nie wyglądał już tak elegancko.

Kamerdyner szlochał, wychodząc za drzwi. Wynn także chętnie by zapłakał, ale nie przy Barrogim, który usiłował okazać się pomocny.

- Niech pan im powie, że myślał pan, iż to maskarada - powiedział. - Może pan włożyć coś innego, *padrone*. Togę, burnus, coś takiego.

- Burnus?

Barrogi kiwnął głową.

- Mężczyzna, który nie potrafi się golić, powinien zapuścić brodę - oznajmił.

Wynn westchnął. Znowu musiał sobie radzić sam.

Większość gości już się zgromadziła, kiedy Wynn pojawił się w rezydencji Duchampów. Powitanie okazało się niejednoznaczne. Lady Victoria najwyraźniej odczuła ulgę, że w ogóle przyszedł. Ubodło go, że mogła wątpić w jego słowo - czy odwagę.

Jedna z kobiet przywitała się z nim nieco lodowato. Większość zachowała się obojętnie. Jedno tylko powitanie było entuzjastyczne. Wynn znał ten wyraz, jaki pojawił się na pięknej twarzy młodej baronowej Cooperstone. Widział go przedtem u córki gubernatora prowincji, u żony jednego z oficerów, *squaw* pewnego wojownika, konkubiny indyjskiego kacyka. Pod każdą szerokością geograficzną wyraz ten oznaczał to samo: kłopoty. Przysiągł trzymać się z daleka od żony starego lorda, co nie wymagało wysiłku, ponieważ był zajęty przyglądaniem się lady Victorii.

Lady Torrie, jak ją nazywano, w sukni wieczorowej była jeszcze elegantsza, wspanialsza niż kiedy widział ją ostatnio. Może dlatego, że tym razem było mniej różowej, jedwabnej sukni do podziwiania, a więcej samej córki hrabiego. Ledwie mógł oderwać oczy od tego, czego jako dżentelmen - i to zajęty pożarem - nie pozwolił sobie zauważyć w dniu wypadku. Miękkie, kremowe wzgórza wznosiły się nad koronkowym dekoltem, niczym poduszki, na których mężczyzna mógłby złożyć głowę, jak śnieżne góry, na które mógłby się wspiąć, jak przykryte białą pianą fale, w których nieostrożny żeglarz mógłby zatonać.

Nic dziwnego, że połowa kawalerów w Londynie chciała ją poślubić. Druga połowa musiała być ślepa, zaręczona albo zdecydowana, jak Wynn, pozostać w stanie bezzennym.

Jak miał prowadzić konwersację na obojętne tematy, skoro wszystko kojarzyło mu się tylko z jednym? Zmusił się, żeby ponownie spojrzeć na lady Cooper-stone, ale nie zdołał zatrzymać na niej uwagi, chociaż jej dekolt schodził niżej, suknia z czerwonobrazowego jedwabiu była ozdobniejsza, zmysłowy uśmiech bardziej zachęcający. Dla niego mogła być nawet naga. Już po chwili znowu wpa-trywał się w lady Torrie i diamentowy klucz, który nosiła tam, gdzie jego oczy nie powinny błądzić. Od popełnienia jeszcze gorszej gafy towarzyskiej niż zabicie lorda Lynbrook uratował go sam hrabia, odciągając na bok. Chciał przedstawić bohatera swoim politycznym poplecznikom. Ponieważ lady Torrie od dziecka była ulubienicą starych dżentelmenów, przyjęli go bardzo ciepło. Myśl, że on i jego pełne kufry mogłyby przyłączyć się do ich partii, dodała siły uściskom ich dłoni. Po ilości pochwał

75 - Diamentowy klucz

dostatecznej, żeby wywołać rumieniec na ogorzałych policzkach Wynna, jeden z siwowłosych lordów podniósł monokl do oka, przyglądając się jego fularowi.

- Ustanawia pan już nową modę, Ingall? Daję głowę, że cała młodzież w mieście zacznie teraz naśladować pana styl. Przy okazji, jak ten węzeł się nazywa?

Rozpaczliwy? Ostatnia Nadzieja?

- Och, nazywam go Węzełkiem - powiedział Wynn.

- Przypuszczam, że to jakiś dziwaczny kolonialny obyczaj. Sprytne, chłopcze, sprytne to jak zetknięcie końce, rozdzielając je jednak perłą.

Czasami Wynn wykazywał tyle sprytu, że sam się sobie dziwił. Udało mu się przeżyć kolację, nie gapiąc się na dekolt gospodyni. Nic w tym dziwnego, skoro siedziała w końcu długiego stołu, a on w środku, z ogromną paterą obok? Uznał, że zachowywał się godnie, gawędząc początkowo z siedzącą po lewej lady Bernard, która знаła jego matkę, a następnie z żoną sir Spencera, której brat służył w Indiach. Nie pamiętał, co jadł, ale zapamiętał liczne organizacje dobroczynne, na których rzecz zobowiązał się łożyć. Obie damy były z niego bardzo zadowolone i wyszły z pokoju za lady Torrie i ciotką Ann, chwając go pod niebiosa i opowiadając innym paniom o jego niezwykłej hojności. Nigdy by nie zgadły, ile więcej mógłby im obiecać, gdyby zaproponowały, że usuną przed niego przekłętą paterę.

Po wyjściu gospodyni Wynn mógł większą uwagę zwrócić na dżentelmenów. Zrobiłby to w każdym razie, gdyby nie bekali, nie chełpili się wygranymi w karty i najnowszymi podbojami. Przypuszczał, że rozmowa o władzy i pieniądzu nastąpi później, kiedy wypiją jeszcze więcej. O nie,

myślał w duchu, to życie nie jest dla niego, chociaż mógł do niego wrócić. Jeden z gości zaprosił Wynna na wyścigi, inny na wieczór gry w karty, paru obiecało wprowadzić go do swoich klubów. Nie bardziej go to interesowało niż zaproszenie na przyjęcie lorda Cooperstone i jego żony w ich domu w Richmond.

Nie grał o wysokie stawki. Pracował zbyt ciężko i zbyt długo, żeby zaryzykować utratę majątku w karty czy na wyścigach. Raczej gotów był dać więcej na sierociniec niż stroicielowi fortepianów. Nie pił przesadnie. Człowiek, który utrzymywał się dzięki pracy umysłu, nie mógł sobie pozwolić na to, by się ogłupiać alkoholem.

Nie uwodził zamężnych kobiet. Bette, lady Lynbrook, skutecznie go tego oduczyla.

Co do klubów, męskie towarzystwo sprawiłoby mu przyjemność, gdyby zajmowało się czymś innym niż plotkami, jak obecni tu pijący porto starcy. Wynn zbyt długo służył za temat *on dis*, żeby cieszyć się obgadywaniem bliźnich. Przynajmniej nikt nie wspomniał o pojedynku.

Kiedy panowie znów przyłączyli się do pań, kilku z nich zniknęło w bibliotece lorda Duchamp. Być może, pomyślał Wynn, zaczęli wreszcie dyskutować o sprawach stanu, a nie o sprawkach znajomych. Albo też kilku starszych poszło uciąć sobie drzemkę. Pozostali przygotowywali stoły do gry w karty. Wynn zauważył, że lady Cooperstone ma go na oku, i szybko zaproponował, że zagra z lady Ann. Uzdolniony do rachunków, okazał się dobrym graczem, co nader spodobało się damie. Wygrywali bez trudu, póki nie nadeszła lady Torrie, żeby pochylając się nad ramieniem ciotki, przyglądać się grze.

Lady Ann rzuciła karty z niesmakiem, kiedy przegrali kolejne trzy rozdania, a inni przy stole zaczęli wspominać o wyjściu. Wynn niemal się odprężył. Jeszcze parę minut i będzie mógł pójść do domu, nie zrobiwszy z siebie głupca. A potem nastąpiła katastrofa.

Malutka staruszka w fioletowym turbanie postukała go lornetką po palcach. Nosila nazwisko Reese, jak sobie przypominał, i była dość stara, żeby pamiętać matkę jego matki. Przypuszczał, że chce zwrócić uwagę na swoją ulubioną organizację charytatywną i był gotów dodać kolejny punkt do listy, którą miał następnego dnia wręczyć swojemu sekretarzowi. Ale nie. Stary nietoperz w przyszłym tygodniu wydawał bal, na który on został zaproszony. Oszołomiony zupełnie nie mógł wymyślić jakiegoś kłamstwa, żeby się wymówić.

- I cóż? - zaskrzeczała staruszka. Ledwie zdążył usunąć rękę, zanim znowu go stuknęła.

- Nie mogę. To jest, będę zajęty w...

Lady Torrie stanęła obok niego, przerywając mu z uśmiechem. Właściwie był to uśmiech triumfu, pomyślał Wynn, skoro miała rację. Rzeczywiście przyjmowano go z powrotem na łono socjety, gdzie wcale nie miał ochoty się znaleźć.

- Sądziłam, że zechce pan przyjść - powiedziała lady Torrie. - Bal pani Reese to bal subskrypcyjny. Cały dochód pójdzie na utworzenie szkoły dla biednych londyńskich dzieci. Wiem, jak bardzo leży panu na sercu ich dobro.

Wynn zapragnął, żeby ta kobieta nie wydostała się z płonącego budynku.

- Papa jest tego wieczoru zajęty, przyjacielu - ciągnęła - miałam więc nadzieję, że będziesz towarzyszyć ciotce i mnie.

Przyjaciółka? Ona nazywała siebie jego przyjaciółką?

11

Jakiż świetny dżentelmen! Jakim byłby doskonałym mężem! Torrie była zachwycona i to nie tylko przyjęciem. Odprawiła Ruthie, gdy tylko poluźniła jej wiązania sukni i gorsetu, tak żeby móc przeżywać ponownie sukces wieczoru, nie słuchając żalosnych westchnień służącej. Mówiła niedomagającej Ruthie, żeby na nią nie czekała, że któraś z pokojówek pomoże jej się rozebrać, ale Ruthie się uparła. Torrie nalegała też, żeby dziewczyna porozmawiała jak najszybciej z lekarzem, jeśli jej zdrowie nie ulegnie poprawie. Cieszyła się teraz, że jest sama i może w ciszy i spokoju, czesząc włosy, przemyśleć najważniejsze chwile wieczoru.

Ojciec stwierdził, że jest z niej dumny, a ciotka Ann uznała wieczór za umiarkowanie przyjemny. Umiarkowanie? Był niesamowity!

Lord Ingall, na szczęście, nie był pijakiem. Torrie zwróciła uwagę, jak niewiele razy jego kieliszek wymagał, aby go napełnić i że nie miał zaczerwienionej twarzy, nie plątały mu się język ani nogi, kiedy panowie wrócili do dam w salonie. Torrie nie znosiła zapachu alkoholu ani mężczyzn, którzy pod jego wpływem robili z siebie głupców czy wszczynali kłótnie.

Wicehrabia nie był także, wbrew plotkom na temat jego młodości, hazardzistą. Ciotka Ann przed pójściem do łóżka żaliła się gorzko na jego brak umiejętności w grze. Z tak marną koncentracją Ingall dawno straciłby majątek, gdyby grywał regularnie. Był zaś dostatecznie bogaty, na szczęście, żeby spłacić straty cioci Ann i własne. Inaczej

Torrie nasłuchałaby się przy porannej czekoladzie o tym, jaki z niego niezdara. A przede wszystkim lord Ingall nie był awanturnikiem ani rozpustnikiem. Torrie uśmiechała się radośnie, zaplatając włosy na noc. Nie gapił się wcale na lady Cooperstone i jej obfite, ledwie skrywane wdzięki. Cóż, może spojrział na nią, ponieważ żaden mężczyzna z krwi i kości nie zignorowałby takiego widoku, ale jego wzrok nie zatrzymywał się na niej długo, tego była pewna. Wziąwszy to wszystko pod uwagę, Wynn Ingram okazał się doskonałym gościem, jadł wszystko, co przed nim postawiono, rozmawiał uprzejmie z sąsiadkami, nie wdając się w polityczne dyskusje z niektórymi dogmatycznymi dyplomatami z kręgu ojca. Jeden z gości, wychodząc, zauważył przy ojcu Torrie, że nowy wicehrabia Ingall mógłby zająć daleko w ministerstwie spraw zagranicznych. W dodatku okazał się niezmiernie hojny. Jego sekretarz zorientuje się z pewnością, że co najmniej jedna z organizacji dobroczynnych stanowiła w rzeczywistości fundusz na pokrycie ekstrawaganckich wydatków bratanka jednej z dam. Mallen, majordomus, przekazał jej, że wicehrabia był także hojny dla służby, wręczając złote monety lokajowi, który podawał mu kapelusz i wezwał fiakra. Nikt inny tego nie widział, a zatem hojność Ingalla nie miała na celu jedynie wywarcia wrażenia na ludziach z towarzystwa. Torrie wątpiła, by lord Ingall zadawał sobie w ogóle trud wywierania wrażenia. Sądząc z jego stroju, nie starał się robić z siebie widowiska. Nie sądziła, rzecz jasna, żeby musiał ubierać się jaskrawo czy nosić ogromne węzły pod szyją. Nie, wyróżniał się raczej spokojnym umiarem ubioru, nie

mówiąc już o szerokich ramionach i muskularnych udach w obcisłych pantalonach.

Tak. Byłby z niego doskonały mąż! Ojciec wąpił, by dał się łatwo doprowadzić do ołtarza, bo czyż nie przyjął zaproszenia z wahaniem i czy nie przekazał próśb o donacje na cele dobroczynne swojemu sekretarzowi? Nie, wicehrabiego nie da się zaprowadzić tam, dokąd nie zechce pójść, jak stwierdził lord Duchamp.

Ciotka ostrzegała, że chłopak jest tak roztargniony, że mógł zapomnieć, że ma żonę w Indiach. Poza tym, zrzędziła, mógł starać się zachowywać jak najlepiej, skrywając dziką naturę pod płaszczykiem dobrych manier.

Torrie nie sądziła, aby tak było. Przyznawała, oczywiście, że niewiele o nim wie i trudno jej wydać na tej podstawie osąd: jeden czyn bohaterski, jedna kolacja. Wierzyła jednak mocno, że to dobry człowiek. Była niemal gotowa dać za to życie i majątek - taki też był jej pogląd na małżeństwo. Ale wicehrabia, z czego zdawała sobie sprawę, patrzył nieco inaczej na tę świętą instytucję.

Torrie mogła dowiedzieć się czegoś więcej o jego charakterze, ale nie posunęła się ani o krok, jeśli chodzi o podbój jego serca. Poza jednym, ciepłym uśmiechem na powitanie, przez cały wieczór tylko się krzywił, patrząc na nią. A ściśle mówiąc, na jej dekolt. Miała nadzieję, że nie stał się purytaninem, to byłaby szkoda. Jak mawiał ojciec, odrobina diabelstwa ratuje człowieka od nudy. Być może po prostu uważał, że niezamężna kobieta nie powinna nosić diamentów, chociaż z kluczykiem nie obnosiła się ostentacyjnie.

Mroczna mina zamieniła się w wyraz wściekłości, kiedy Torrie skłoniła go do przyjęcia zaproszenia pani Reese.

Może była zbyt śmiała, ale to dla jego dobra. Kiedy rozejdzie się, że ktoś tak wybredny, jak pani Reese, przyjmuje go u siebie, wszystkie drzwi staną przed nim otworem. Może nawet będzie się dobrze bawić. Dzięki muzyce, tańcom, wspaniałemu jedzeniu, o które zamożna pani Reese zawsze bardzo dbała, przekona się, jakiej rozrywki dostarcza londyński sezon.

Torrie zakręciła się tanecznie po drodze do osłoniętego baldachimem łóżka. Dziewczyna powinna zatańczyć z mężczyzną, którego chciałyby poślubić, czyż nie? A jeśli on tylko będzie jej deptać po nogach i narzekać, jak papa? Torrie nie sądziła, żeby była zadowolona z mężczyzny, który nie tańczy albo jest tak niezręczny w tańcu, że musiałyby przesiedzieć połowę własnego balu zaręczynowego. Jak na człowieka wysokiego wzrostu i atletycznej budowy ciała, lord Ingall poruszał się z wyjątkowym wdziękiem. Jest z pewnością znakomitym tancerzem, chyba że lata spędzone za granicą uniemożliwiły mu poznanie najnowszych kroków tanecznych. Być może mogłaby zaproponować wspólne ćwiczenia - ale nie, to byłoby zbyt śmiałe, nawet jak na nią.

Obraz jej spódnic wirujących przy jego nogach w walcu był pociągający, tak pociągający, że Torrie zachowała go pod powiekami, podciągając kołdrę po szyję. Będą tańczyć i kołysać się, a on przyciągnie ją do siebie nieco bliżej, niż jest to przyjęte, twierdząc, że nie zna obecnie panujących zasad. Ona się nie poskarży. Potem poprowadzi ją w walcu ku oknom, żeby odetchnąć chłodnym powietrzem. Marzenie było tak wyraźne, że Torrie musiała odrzucić jeden koc na podłogę.

Zapytałby, czy chciałyby wyjść na balkon. Nie, nawet Torrie nie potrafiła sobie wyobrazić, by lord Ingall propo-

nował sam na sam młodej, niezamężnej kobiecie. To ona by go poprosiła, twierdząc, że jest jej gorąco. Następny koc spadł na podłogę.

Wyjdzie z nią na balkon, jest przecież dżentelmenem. I Torrie jakimś sposobem znajdzie się w jego ramionach. Zwykle zręcznie radziła sobie z unikaniem niechcianych pocałunków, ale tym razem sama by go pocałowała, gdyby nie było innego wyjścia. Dziewczyna powinna wiedzieć, czy ona i przyszły mąż pasują do siebie w tańcu, musi także wiedzieć, czy odpowiadają jej jego pocałunki.

Trzeci koc sfrunął na ziemię.

Torrie sądziła, że pocałunki Wynna bardzo by jej odpowiadały, pod warunkiem że nie zje przedtem chili.

Tydzień. Tyle potrwa załatwienie interesów, odbycie przekłętogo balu i opuszczenie miasta. Wynn nie wiedział, dokąd ma się udać ani też co ma robić po dotarciu na miejsce, ale zdecydował się na wyjazd. Pójdzie do pani Reese, ponieważ cel balu był zbożny, a on dał słowo, ale to wszystko. Londyn nie był miejscem dla niego. Jeszcze trochę, a zatańczy walca! Pojawiły się już znaki, stopy zaproszeń od nieznanych mu ludzi albo ludzi, którzy nie chcieli go znać sześć lat temu. Teraz widocznie stwierdzili, że jest rodzajem bohatera, kimś, kogo chcieli pokazać u siebie jak cyrkowego konia, liczącą świnie, wzbogaconego awanturника. Ten sam pędzel, który zamalował go kiedyś, jako najgorszego złoczyńcę, na czarno, teraz, zanurzony w złocie, wybielił go gruntownie. Wielki świat postanowił zapomnieć, że uznał go za mordercę, nie umożliwiając mu obrony.

Ale Wynn pamiętał.

Wiedział dokładnie, komu dziękować za swoją nagłą popularność: lady Victorii Ann Keyes, tej samej syrenie, której uśmiech nie pozwolił mu zmrużyć oka przez całą noc. Wiedział doskonale, jakie miała zamiary, ta jego niby-przy-jaciółka.

Pragnęła mu się odwdziaczyć za skromną przysługę, jaką jej oddał.

Pragnęła wprowadzić go w kręgi towarzyskie.

Pragnęła, aby wszedł na rynek matrymonialny, niech diabli porwą ją i jej niebieskie oczy.

Wcale nie chciał, aby go uznano za odpowiednią partię, na Jowisza, ponieważ nie zamierzał dać się usidlić. Boże, to nie do łona socjety pragnął się przytulić! Jego nowa przyjaciółka, jeśli dobrze mu życzy, powinna zasłonić dekolt chustką. Dzięki temu nie rzucałby się w łóżku całą noc, nękany niezbyt przyjacielskimi myślami o niej, w łóżku, w nocy. Ha.

- Co pan taki zły, *padrone*? Chyba nie gotuje się pan nadal z powodu tego kamerdynera?

- Gotuje?

Barrogi pokręcił głową i odstawił tacę.

- Byłem w piekarni.

Wynn poczęstował się słodką bułeczką.

- Gotuje się we mnie. To chyba miałeś na myśli. Nie, nie jestem zły dlatego, że nie mogę znaleźć odpowiedniego człowieka, który utrzymywałby w porządku moją garderobę, czyścił buty i pilnował, żebym był ubrany bez zarzutu. Dlaczego mam się irytować, skoro zaoferowałem królewską gażę za całkiem prostą pracę?

- Cieszę się, że pan się nie martwi, bo bracia Day zamknęli zakład i zrobili sobie święto, tak było napisane na ta-

blicy. Aleja myślę, że schowali się na zapleczu na wypadek, gdybym szedł tą drogą.

Wynn wzruszył ramionami i ugryzł bułkę, ale najpierw rzucił kawałek Homerowi.

- Muszą być jakieś inne agencje. Do licha, bezrobotni żołnierze żebrzą na ulicach. Któryś z nich z pewnością umie czyścić buty.

Barrogi się przeraził.

- Wziąłby pan żebraka z ulicy?

- Przyjąłem ciebie, czyż nie? I Homera. Poza tym mam prawie tydzień na znalezienie odpowiedniego człowieka. Nie muszę być nienagannie ubrany na wizyty, jakie mnie teraz czekają.

- Co, odwiedzi pan hrabiowską córkę ubrany nagannie?

- Tylko tak się... Nieważne. Nie idę w odwiedziny do lady Torrie. Muszę odwiedzić trzy inne kobiety, zanim wyjadę z miasta.

Barrogi sięgnął po stosy listów nad kominkiem.

Jedna paczuszka składała się z listów napisanych na tanim papierze, niewprawną ręką, poplamionych atramentem i zalakowanych tanim czerwonym woskiem. Wynn czuł zapach perfum z drugiego końca pokoju. To listy od Rosie Peters, kurtyzany, która spodziewała się dziecka.

Drugi stos składał się z listów napisanych na papierze lepszej jakości, ale wymyślne, pełne zawijasów litery były rozmazane, jakby przez łyżę. Listy zapieczętowano różowym woskiem i ozdobiono różą.

Zapach tych kwiatów płynął z listów od Bette Field, lady Lynbrook, wdowy po baronie.

Listy w trzecim stosiku miały czarne obwódki i staranne czarne litery. Żadne perfumy czy plamy nie śmiały się

pojawić na najwyższej jakości welinie czy też odwracać uwagę od treści, zapieczętowanej czarnym woskiem z herbem Ingallów. Do licha, bratowa Wynn przywłaszczyła sobie jego sygnet!

- Myślałem, że *un perfetto signore* powinien odwiedzić gospodynię następnego dnia - powiedział Barrogi, wręczając mu korespondencję.

Wynn ani myślał pobierać lekcji dobrych manier od światowej klasy awanturnika. Nawet pies patrzył na niego oskarżycielsko. Nie, Homer chciał tylko więcej bułki. Wynn rzucił z niesmakiem całą na podłogę. Wszyscy usiłowali przerobić go na kogoś, kim nie był, doskonałego londyńskiego dandysa. Ale on na to nie pójdzie.

- Nie, nie zamierzam odwiedzać tej przedsiębiorczej panny. Ani się obejrzę, a będę dreptać za nią po parku. Możesz jednak zrobić to za mnie i zanieść jej kwiaty. To powinno wystarczyć, jeśli chodzi o konwenanse. Lubi fiołki. - Strzepnął okruchy. - A kiedy już tam trafisz, możesz pokręcić się w pobliżu, dyskretnie, ale tak żebyś widział, kto wchodzi i wychodzi. Masz mieć oko na damę, na wszelki wypadek.

Barrogi uśmiechnął się, ukazując szczerbę między zębami. Wiedział. Fiołki? *Per Dio*, zanieś róże. Wynn zaś musiał zdecydować, którą z kłopotliwych kobiet odwiedzić najpierw. Postanowił rzucać monetą. Orzeł, odwiedzi Rosie; reszka - lady Lynbrook. Jeśli moneta stanie na krawędzi, zobaczy się z bratową.

Wygrała Rosie, ponieważ jej problem wydawał się najbardziej palący, a w każdym razie rzucał się w oczy. Ładna kiedyś, grywająca namiętnie w faraona, wesoła jak konik polny, gotowa na każdą psotę dziewczyna była w siódmym miesiącu ciąży i wyglądała okropnie. Miała ziemistą cerę, matowe włosy, oczy czerwone od płaczu. Kostki nóg, opartych na stołku, były bardzo spuchnięte.

- Co ci jest, moja droga? - zapytał, kiedy podała mu rękę omdlałym gestem. - Źle się czujesz? Pamiętam, że miałaś skonsultować się z akuszerką i przysłać mi rachunek. Zrobiłaś to? Może powinnaś poradzić się jeszcze kogoś innego. Sądziłem, że kobiety w twoim stanie powinny tryskać zdrowiem.

Rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

- Spróbuj nosić taki ciężar, a przekonamy się, jak będziesz tryskać zdrowiem. Poza tym siedzę w tych dwóch paskudnych pokojach od tygodni.

Wynn sam dostałby białej gorączki, gdyby musiał patrzeć na różową tapetę i tandetną tapicerkę dzień w dzień, nawet gdyby nie martwił się, że wyda na świat bękarta.

- Dlaczego nie wyjdiesz choć trochę na świeże powietrze?

- Bo kiedy wychodzę, sąsiedzi zabierają swoje dzieci na drugą stronę ulicy albo chichoczą po cichu. Nikt tu nie przychodzi, poza służącą na dzień i dostawców, a wszyscy patrzą na mnie, jakbym była ladaczną.

Wynn powstrzymał się od komentarza. Istniała, jak się wydawało, cienka granica między kurtyzaną a dziewczyną

z Covent Garden. Rosie znała te granice. Jej sąsiedzi najwyraźniej nie zdawali sobie z nich sprawy. Cóż, niech będzie przeklęty, jeśli pozwoli komukolwiek wytykać palcem Rosie.

- Chodź, moja droga. Włóż czepek. Jest piękny dzień i możemy równie dobrze porozmawiać w parku, jak tutaj. Wsiądziemy do powozu, żeby być daleko od twoich wścib-skich sąsiadów, i pospacerujemy z psem, zanim park się zapełni. Odzyskasz rumieńce, dziewczyno. A potem pójdziemy na lody do Guntera.

- Ale jeszcze nie ma południa.

- No to co? Wieki nie jadłem lodów malinowych. Marzyłem o nich w Indiach.

- Wolę cytrynowe.

Rosie już zakładała słomkowy, ozdobiony wiśniami kapelusz na głowę i wiązała pod szyją różową wstążkę - z godną podziwu prędkością i elegancją, jak zauważył Wynn, i to nawet nie patrząc w lustro. Jego fular zdążył przyklapnąć.

Ujął ją pod ramię, mówiąc:

- Dobrze, zostanie więcej malinowych dla mnie i Homera.

Widział, jak poruszają się zasłonki w oknach, kiedy sprowadzał Rosie po schodach do czekającego powozu. Odwrócił się i pomachał. Rosie zachichotała - jak młoda, czarująca dziewczyna, którą pamiętał. Może uda mu się przejść przez tę rozmowę, nie narażając się na burzę łez.

W parku dostosował swój krok do jej powolnego, ociężałego chodu i podtrzymał ją ramieniem, kiedy ścieżka stawała się nierówna. Homer, zniecierpliwiony, nęcony mnóstwem nowych zapachów, odbiegł gdzieś na bok. O tak wczesnej porze w parku było niewiele space-

rowiczów: starszy dżentelmen karmiący wiewiórki, które Homer wystraszył, kilka niań ze swoimi podopiecznymi, którym Homer ukradł piłkę. Wynn ruszył z Rosie nieco szybciej.

Paru jeźdźców ćwiczyło konie na drodze dla powozów; Wynn uznał, że to nudne zajęcie w porównaniu z galopadą na łeb na szyję w otwartym terenie. Brakowało mu tego -porządnej jazdy konnej - odkąd wrócił do Londynu. Zastanawiał się leniwie, jak rozwinie się farma hodowlana w jego posiadłości w Hertfordshire, czy też wolałby założyć stadninę koni, jak lord Duchamp.

Rosie uniosła twarz ku słońcu.

- Miałaś rację, kochanie. Czuję się bosko.

- Czy chciałabyś, żebym ci coś znalazł na wsi? Mały domek z dala od ciekawskich sąsiadów?

- O Boże, nie. Co bym tam robiła? Z kim bym rozmawiała? Z pewnością nie byłoby tam pracy dla profesjonalistki takiej, jak ja.

Znowu ugryzł się w język.

- Nie miałem na myśli tego, żebyś pracowała. Kupiłbym dom, oczywiście, gdyby nie było jakiegoś w moich włościach. I płaciłbym, naturalnie, za jego utrzymanie. Nie żądając niczego w zamian - dodał pośpiesznie, żeby nie pomyślała, że chce ubić z nią interes.

- O, byłeś już dotąd więcej niż hojny. - Poklepała się po wystającym brzuchu. - Nie mając ku temu słusznego powodu.

- Jeśli nie chcesz, żebym cię utrzymywał, może poszukam ci domu dla dziecka, tak żebyś mogła wrócić do, eee..., pracy. Któryś z moich dzierżawców z pewnością przyjąłby dziecko, gdybym...

- Oddać dziecko? - Głos Rosie zabrzmiał tak przenikliwie, że jedna z niań zgarnęła pośpiesznie do siebie gromadkę dzieci znad stawu z kaczkami. Homer skoczył w tę stronę, żeby dojeść okruchy chleba. - Nigdy! Mogłam zrobić to, co robią niektóre dziewczyny, ale to moje dziecko!
- Tak, tak. Oczywiście, że nikt ci go nie odbierze. - Wynn starał się mówić uspokajająco, nie zdradzając paniki. Sądząc z krzyku Rosie, można by pomyśleć, że dostał się pomiędzy matkę niedźwiedzicę a jej młode. - Ale co innego mogę zrobić, żeby ci pomóc?
- Wiesz, czego chcę, Wynn. Choć przypuszczam, że teraz powinnam się do ciebie zwracać Ingall albo wasza lor-dowska mość.

Odsunął na bok pompatyczny tytuł wraz z Homerem, który próbował obetrzeć mokry pysk o jasnobrązowe spodnie Wynna. Pies znowu puścił się pędem za wiewiórkami.

- Wynn wystarczy. Mów dalej.
- Nie czytałeś moich listów?
- Oczywiście, że czytałem - skłamał, jako że przeczytał tylko pierwsze dwa albo trzy. - Twoje listy były jednym z powodów, dla których wróciłem do Anglii. Żeby ci pomóc. Powiedz mi jeszcze raz, w jaki sposób mogę to zrobić, teraz, kiedy rozmawiamy w cztery oczy.
- Chcę imienia dla mojego dziecka.

Alan? Albert? Aleksander? Nie, nie o to chodziło. Wiedział o tym. Do diabła, całkiem nie o to!

Rosie, nieświadoma jego zakłopotania, ciągnęła dalej:

- Chcę, żeby moje dziecko miało życie lepsze ode mnie, a do tego on czy ona potrzebuje nazwiska. Mogę zno-

wu pracować, kiedy odzyskam figurę po położu i utrzymywać nas wszystkich, razem z mamką. Ale bez względu na to, jak ciężko będę pracować, nie kupię dla mojego dziecka szacunku. Będzie się całe życie wstydził tego, że nie nosi nazwiska ojca, i tego, kim jest jego matka.

- A co z ojcem? Czy on...? - Wynn był zbyt uprzejmy, żeby zapytać, czy Rosie w ogóle wiedziała, kto jest ojcem. Przysiągł się nigdy nie pojedynkować, ale to by mu nie przeszkodziło stłuc fagasa na kwaśne jabłko, zostawiając z niego tylko tyle, żeby mógł stanąć przed proboszczem.

- Wyjechał na miesiąc miodowy, łajdak.

- Ach, rozumiem. - Zauważył przed nimi jakieś damy, skierował więc Rosie w inną dróżkę.

- I pomyślałam, że ty się ze mną ożenisz zamiast niego.

- Ale nikt nie uwierzy, że jestem ojcem dziecka. Nie było mnie w kraju we właściwym czasie.

- To bez znaczenia, o ile nie powiesz tego głośno. Pytałam adwokata. Ponieważ nie masz bliskich krewnych, którzy by to podważyli, nikt nie może twierdzić, że dziecko nie jest twoje.

Wynn wiedział już, jak się czują ścigane wiewiórki.

- Ale przecież nigdy nie dawałem ci do zrozumienia, że...

Usiadła ostrożnie na pobliskiej ławce.

- Nie, nigdy nie robiłeś mi fałszywych nadziei, jak jeden taki, którego mogłabym wymienić, oby zgnił w piekle. Ale nie ożeniłeś się przez te wszystkie lata. Przeczytałabym o tym, kiedy odziedziczyłeś tytuł. Pomyślałam, że nie masz ochoty się ustatkować, a ja wcale nie chcę, żebyś coś zmieniał w swoim życiu. Nie będziesz prawdziwym mężem,

91 - Diamentowy klucz

97

tylko w rejestrze parafialnym. Nie chodzi mi o twoje pieniądze, nie myśl sobie, że tak jest, ani przez chwilę. I tak byś mi pomógł. Możesz dalej podróżować i nigdy nie zobaczyć dziecka, jeśli taka twoja wola, bylebyś tylko dał mu nazwisko.

Ale on nie nazywał się już Wynn Ingram, był obecnie wicehrabią Ingall. Gdyby poślubił Rosie, a ona powiłaby syna, chłopiec mógłby wystąpić o dziedzictwo po nim. Mógłby to być dobry kawał w stosunku do jego zmarłych ojca i brata, ale Wynn żył i nie było mu do śmiechu.

Pomijając sukcesję, myśl, że miałby zostać ojcem niechcianego dziecka innego mężczyzny, nie bardzo mu odpowiadała. Wspomaganie sierocińców to jedno, nazywanie cudzego potomka „synem” to co innego, zwłaszcza że byłby to pierwszy syn. Może jedyny. Wynn zaczął chodzić tam i z powrotem przed ławką Rosie.

- Dlaczego, na wszystko co święte i połowę tego co nie jest święte, uważasz, że cię poślubię i uznam twoje dziecko za swoje?

- Cóż, przeżyliśmy razem coś miłego.

Nie było aż tak miło! Wynn wydeptywał ścieżkę od ławki do najbliższego drzewa. Tam i z powrotem. Tam i z powrotem. Zaniepokojone wiewiórki wbiegły na drzewo.

- To trwało krótko i było dawno temu.

- Ale zawsze byłeś dla mnie dobry. Okazywałeś mi hojność, kiedy tylko poprosiłam, i to zanim sam się wzbogaciłeś.

- Robiłem to z przyjemnością za przyjemność, jaką dzieliliśmy, ale nie obiecywałem utrzymywać ciebie i twoich dzieci po wsze czasy!

Rosie poprawiła czepek.

- Wiem. Ale kosztowałaś mnie Lynbrooka. Od tamtego czasu nie miałam dżentelmena z tak głębokimi kieszeniami. Myślę, że coś mi jesteś winien.

- Winien tobie? - Wynn powstrzymał się od skrzeku, jaki wydawały kaczki, na które znowu rzucił się Homer. Kaczki, wiewiórki, co za różnica, kiedy on sam stawał się zwierzyną łowną? - Jak możesz tak myśleć? Lynbrook traktował cię z takim okrucieństwem, że nie mogłaś się doczekać, żeby pozbyć się jego protekcji.

- Ale był bogaty.

- I żonaty.

- A jego żona nie powiła dziecka w ciągu pięciu lat małżeństwa. Nie znalazłabym się w takiej sytuacji, gdybyś go nie zabił.

- Do diabła, myślałem, że wiesz...

- Oj, powinnam wiedzieć, tak. - Rosie zaczęła pociągać nosem, broda jej zadrżała, a brązowe oczy wypełniły się łzami.

A niech to. Wynn usiadł obok i poklepał ją po ręce.

- Nie mogłaś być pewna. - Mówił o pojedynku. Nie była.

- Powinnam wiedzieć, że nigdy się ze mną nie ożenisz, taki świetny pan jak ty, wicehrabia i w ogóle. Byłam dobra do zabawy, kiedy byłeś młodym szczeniakiem, nowym w mieście, ale teraz jestem zużytą zabawką. Nikt się nie ożeni z taką jak ja - zawyła.

A niech to, teraz Wynn poczuł się winny kolejnej zbrodni, jakiej nie popełnił.

- Nie płacz, Rosie - powiedział błagalnie, choć za późno. - Nigdy tak o tobie nie myślałem. Dobra z ciebie dziewczyna i z pewnością będziesz dobrą matką. Ale gdybym cię

poślubił, nigdy nie mógłbym ożenić się z kobietą, którą bym wybrał. A ostatnio...

Rosie, zachwycona, klasnęła w dłonie, zapominając o łzach.

- Chcesz powiedzieć, że znalazłeś damę swego serca? No dobrze, nie chciałam stanąć na drodze twojego szczęścia.

- Nie, ja...

- Jeszcze jej nie pytałeś. - Teraz to ona poklepała go po ręce. - Rozumiem. Komu zresztą miałabym się skarżyć? - Z jego pomocą podniosła się z ławki, żeby ruszyć w stronę wyjścia. Po chwili jednak jej ciało zwiotczało, twarz się wykrzywiła. - O Boże, Wynn! - zawołała. - Byłeś moją ostatnią nadzieją. Co się teraz stanie ze mną i z moim dzieckiem?

Złapał ją i podtrzymał, myśląc intensywnie, podczas gdy ona szlochała. Myślał o nieszczęsnych weteranach na rogach ulic. Jeśli któryś z nich mógł udawać kamerdynera, to równie dobrze mógłby zostać mężem. Potem przypomniał sobie lokaja, którego załadował na statek. Powinien kazać mu poślubić Rosie, ale za szybko odpłynął. Do diabła, może spłaci długi jakiegoś hazardzisty i wyciągnie go z więzienia na Fleet Street, żeby zaprowadzić przed oblicze proboszcza. Ale wtedy Rosie i jej dziecko staliby się własnością jakiegoś łajdaka, brutala, który by ją okradał, bił, sprzedał jej syna kominiarzom, a córkę uczynił białą niewolnicą.

A niech to, nie wyzwiał Lynbrooka na pojedynek po to, żeby jakiś inny drań znęcał się nad Rosie.

- Coś wymyślę, moja droga. Przysięgam, a wiesz, że zawsze dotrzymuję słowa.

Rosie objęła go mocniej, łkając na jego piersi.

- Zawsze wiedziałam, że z ciebie porządny chłop.

Usiłował sięgnąć po chusteczkę, żeby wytarła oczy. Podniósł wzrok - i spojrzał wprost w nieprzytomne ze zdumienia, błękitne oczy tuż za plecami Rosie. Homer czekał wesoło na powitanie. W pewnej odległości Barrogi kręcił głową, ale reszta świata, włącznie z mózgiem Wynna, zdawała się stać w miejscu.

Nie mógł sobie wyobrazić, że lady Victoria Ann Keyes ich nie widziała.

Nie umiałby jej wyjaśnić, dlaczego obejmował ciężarną dziewczynę lekkich obyczajów.

A już na pewno nie mógł ich sobie przedstawić.

Zresztą i tak nie zdołałby tego zrobić, ponieważ lady Torrie określiła się na pięcie, wzięła pod rękę ubraną na szaro pokojówkę i szybkim krokiem poszła inną ścieżką.

- Widzisz? - zawyła Rosie na tyle głośno, że dwie kobiety musiały ją usłyszeć, podobnie jak wszyscy inni spacerowicze, którzy tego ranka wybrali się do parku. - Przyzwoite damy zawsze odwrócą się do nas plecami!

- Do nas?

13

Był ciekaw, co Rosie miała na myśli, mówiąc „do nas”. Siostry w potrzebie? Siebie i dziecko? Upadłe kobiety i tych, którzy je utrzymywali?

Może dobrze się stało. Teraz lady Torrie będzie przekonana, że nie jest dla niej właściwym towarzyszem, i o to chodziło. Nie miał ochoty być jej przyjacielem w sytuacji,

95

kiedy okazała się jeszcze jedną dobrze urodzoną kobietą, gotową uwierzyć we wszystko co najgorsze o mężczyźnie. Oczywiście, przyznawał, że przy najlepszej woli trudno byłoby wyjaśnić, co robi zapłakana Rosie w jego ramionach. Mógł próbować pobiec za Torrie, czego, jak sobie przysiągł, miał nigdy nie robić, ale obiecał Rosie lody. Nie zamierzał łamać danego słowa. Był człowiekiem honoru niezależnie od tego, co sądziło towarzystwo czy lady Victoria Ann Keyes.

Zastanowił się. Gdzie był jej ojciec? Lokaj czy choćby stajenny? Obie ze służącą były same w parku. Później, kiedy park się zapęłni i nikt nie będzie podpalał zakładów krawieckich z nią w środku, nie byłoby w tym nic niepokojącego. Czyżby hrabia nie dbał o dobro córki i dlatego zostawił ją bez ochrony, czy też miał takie zaufanie do bliźnich, że puścił mimo uszu wzmianki Wynna o podpaleniu? Nie, Wynn musi ją ostrzec.

Zawołał Barrogiego i przedstawił go Rosie.

- Zabierz pannę Peters do Guntera i kup jej lody - polecił, wręczając mu garść monet. Potem, przypominając sobie stan Rosie, dodał jeszcze kilka monet. - Kup jej dwa. I co jeszcze chcesz. Potem odwieź ją do domu fiakrem i dopilnuj, żeby dobrze się czuła, jasne?

Barrogi kiwnął głową, a Wynn zapewnił Rosie, że wkrótce ją odwiedzi.

- I staraj się nie martwić, bo to może zaszkodzić dziecku, a ja na pewno znajdę jakieś rozwiązanie.

Mamy przed sobą dwa miesiące. Barrogi, pamiętaj, żeby obchodzić się z damą jak z kruchą porcelaną.

Barrogi skłonił się Rosie i podał jej ramię.

- Potraktuję signorę, jakby była z pajęczyny.

- Nie należało tak uciekać, nie czekając na wyjaśnienie. Może ta kobieta to jego kuzynka.

Torrie nie знаła w Londynie osoby, której kuzynka nosiłaby tak dziwaczne kapelusze z jaskrawą różową wstążką. Poza tym żadna szanująca się kobieta, kuzynka czy nie, nie pokazywała się publicznie w stanie tak zaawansowanego macierzyństwa.

- Może to jego kuzynka ze wsi.

- Kuzynka, akurat. - Ruthie sapała, chcąc dotrzymać kroku swojej pani. Poranne spacerowanie nigdy nie sprawiały jej szczególnej przyjemności, ale dzisiejszy bieg ją wyczerpał. -1 jest damą nie bardziej niż kuzynką lorda Ingall. Nazywa się Rose Peters. To ta panna lekkich obyczajów, z której powodu się pojedynekował.

Teraz Torrie sapnęła.

- Skąd wiesz?

- Wszyscy znają Rose. Jej portret sprzedawano w księgarniach, kiedy była młoda i piękna. Pracowała w kasynie u McGillicuddiego i powiadają, że zbiła dla niego fortunę. To jedna z tych ładnych dziewczyn, które skłaniają mężczyzn, żeby pili ponad miarę, a później stawiali więcej niż ich stać. Rose Peters była najładniejsza i miała największe powodzenie, kiedy nie stała przy stole gry. Ostatnio była na utrzymaniu lorda George'a Posta. Tego, co właśnie ożenił się z panną Goodwin.

Torrie zrobiło się żal panny Goodwin. Lord George miał niewiele włosów, jeszcze mniej brody i kochankę. Lord Ingall wrócił i chadzał dawnymi ścieżkami. Dziecko mogło nie być jego, ale kobieta zapewne tak.

Przynajmniej jedna osoba tego ranka w parku miała powody do zadowolenia. Lord Boyce gratulował sobie, że był

na tyle mądry, aby kazać Scarecrowowi śledzić dom lady Torrie i donosić o jej poczynaniach. Jeszcze większą dumę odczuwał z powodu swojego nienaganego wyglądu. Cóż, nawet niańki uśmiechały się na widok pięknego kawalera w żółtych spodniach, w kapeluszu z podwiniętym rondem i ozdobionych chwościami butach.

Zwykle lord Boyce o tej porze leżał jeszcze w łóżku, ale tego dnia wstał z nastaniem świtu. Wyrzekł się snu, żeby móc poświęcić godzinę czy więcej na toaletę i dotrzeć na czas do parku. Cóż, nie co dzień człowiek zaręczał się z bogatą dziedziczką i Boyce chciał sprawiać odpowiednie wrażenie.

Warto było, jeśli sam mógł to stwierdzić, bo efekt okazał się wspaniały.

Dzisiaj miał się zaręczyć z córką hrabiego - mniej czy bardziej uczciwym sposobem, a miało to nastąpić przed wybicciem południa.

Ruszył drogą, którą, jak doniósł Scarecrow, spacerowała razem z pokojówką w pogodne poranki.

Minął jakąś parę z niższych sfer, która, na szczęście, wychodziła z parku. Kobiety w tym stanie nie powinny rzucać się w oczy delikatnych panien z arystokracji. Potem minął młodego lokajczyka w peruce, który krzyczał coś do nędznie odzianego draba, stojącego tyłem do Boyce'a. Pies większego i starszego mężczyzny podniósł łapę i nasikał na torbę chłopca - ze zmianą ubrania dla jego pani, która spędziła noc z kochankiem. Boyce zadrżał. Nic dziwnego, że dobre towarzystwo unikało parku przed południem. Lady Torrie też nie będzie tu chodzić, kiedy się pobiorą. Dopilnuje tego.

Machając laską w sposób, jego zdaniem, zdradzający energię i pewność siebie, szedł dróżką z podniesioną głową,

udając, że przygląda się ptakom w świeżych liściach drzew. Lord Boyce nie odróżniłby gołębia od kuropatwy i rzuciłby laską w hałaśliwe stworzenia, tylko że laska mogłaby się uszkodzić. Poza tym przed nim stała lady Torrie, rozmawiając z pokojówką.

Podszedł bliżej i zatrzymał się raptownie.

- O, mój Boże, co za niespodzianka! Cudowne spotkanie, pani. Nie spodziewałem się spotkać żadnych znajomych o tej porze w parku. Nigdy bym nie zgadł, że dzieli pani ze mną upodobanie do spacerów o tej orzeźwiającej porze dnia.

- Dzień dobry, lordzie Boyce. Lubię przychodzić do parku, zanim zjawi się tłum, żeby побыć trochę w samotności ze swoimi myślami, zanim zacznie się zwykła, codzienna gonitwa.

Aluzja była tak oczywista, że drzewo by zrozumiało. Ale nie lord Boyce.

- Czuję dokładnie to samo! Pusta, eee..., przestrzeń sprzyja kontemplacji, prawda? A powietrze - pociągnął delikatnie nosem, wdychając zapach węglowego dymu, stojącej wody i końskich odchodów - jest takie ożywcze, zgodzi się pani ze mną?

- Tak, rzeczywiście. Teraz, jeśli pan wybaczy...

- Och, proszę o tym nie myśleć. Może powinniśmy spacerować razem, żeby dzielić nasz podziw dla matki Natury.

- Dziękuję, ale moja pokojówka i ja dosyć się już odświeżyliśmy. Miałyśmy właśnie wyjść z parku. - Ale nie tą samą drogą, którą weszły, to zbyt ponura sceneria.

- I stracić to piękne słońce? - Boyce modlił się, żeby kapelusz dostatecznie go zasłaniał, a nos nie nabrał

nieładnego różowego koloru. Podniósł monokl, żeby przyjrzeć się lady Torrie, i zauważył, że na twarzy głupiej dziewczyny zaczęły, o zgrozo, pojawiać się piegi. Będzie musiał położyć kres tym niemądrym porannym spacerom. Włożył szkiełko z powrotem do kieszeni i wyciągnął rękę zapraszająco.

- Z pewnością zechce pani przejść się nieco dalej?

- Proszę iść, pani - powiedziała Ruthie. Wciąż nie mogła złapać tchu, co gorsza, tempo, jakie narzuciła lady Torrie, znowu pobudziło jej nadwrażliwy żołądek. Chwila odpoczynku mogła jej pomóc. - Byłabym wdzięczna, gdybym mogła trochę posiedzieć na tej ławce, nie tracąc z oczu pani ani jego lordowskiej mości.

Torrie widziała, że pokojówka w istocie ma się znowu nie najlepiej. Myślała, że Ruthie doszła już do siebie po chorobie, inaczej wzięłaby ze sobą lokaja. Torrie obiecała sobie, że pośle po lekarza, kiedy tylko wrócą do rezydencji Duchamp, i to szybko.

- Nie, lepiej poczujesz się w domu. Pójdziemy powoli i wynajmiemy powóz przy bramie.

- Żałuję, że nie wziąłem powoziku. - Prawdę mówiąc, Boyce żałował, że nie ma pieniędzy na wynajęcie koni do powozu. Kiedy tylko ogłoszą zaręczyny... - Ale dziewczyna dojdzie do siebie, jak powiada, jeśli trochę odpocznie.

Ruthie kiwnęła głową. Torrie nie mogła się zdecydować - póki nie zauważyła wysokiego mężczyzny z gołą głową, zmierzającego ku niej za parą starszych ludzi. Zwróciła się do Boyce'a:

- Dobrze, panie, przyjmę pana asystę na krótkim spacerze.

Lordowi trudno było dotrzymać jej kroku, szła tak szybko. Jego gorset ściągnięto za mocno, buty były bardziej

modne niż wygodne. Poza tym posuwali się w niewłaściwym kierunku. Jakże mógłby mieć nadzieję na skompromitowanie kobiety, skoro nie było świadków jej upadku? Pokojówka się nie liczyła, będzie lojalna wobec chlebo-dawczyni. Boyce nie miał dość pieniędzy, żeby ją przekupić i skłonić do tego, by zeznała, iż lady Torrie oddała mu cnotę w parku.

Mógłby wciągnąć hrabiowską córkę w krzaki i zedrzeć z niej ubranie. Lady Torrie byłaby zmuszona wyjść za niego po czymś, co uznano by powszechnie za miłosną schadzkę. Ale w walce jego własne tibranie mogłoby ucierpieć. Poza tym ta kobieta o silnym charakterze mogłaby oskarżyć go o napaść. Jej ojciec kazałby go wychłostać.

Nie, pierwotny plan był lepszy: jeden pocałunek, odpowiednio namiętny, przy świadkach, potem oświadczyzny. Kiedy ona będzie zbyt oszołomiona, żeby się sprzeciwić, Boyce oznajmi, że poniosły go uczucia, gdy ukochana przyjęła oświadczyzny. Jeśli zaprzeczy, jej reputacja legnie w gruzach. Nie wolno damie pozwalać sobie na tak swobodne zachowanie w miejscu publicznym. Sądził, że powinien położyć jej rękę na piersi, żeby zapewnić jej upadek. W rękawiczce czy bez?

Torrie chciała spacerować boczną ścieżką, za ławką, na której siedziała Ruthie. Boyce chciał pójść w stronę wyjścia, gdzie zbierali się jeźdźcy i grupki ludzi, niezależnie od godziny. Pociągnął ją w lewo, ale ona pociągnęła go w prawo.

- Widziałem tam wyjątkowo pięknego ptaka - oznajmił Boyce.

Ale Torrie zobaczyła szczególnego psa w krzakach w kierunku, który wskazywał. Pociągnęła Boyce'a za ramię, dość silnie, żeby pomać rękaw.

- No dobrze, moja droga. Pójdziemy w tę stronę. - Jego lordowska mość uważał się za zbyt wielkiego dżentelmena, żeby wykręcić dziewczynie rękę, ale był w zbyt wielkich tarapatach, żeby zrezygnować z planu. Musiał po prostu mieć nadzieję, że para starszych ludzi idących w ich stronę ma dostatecznie znaczącą pozycję w społeczeństwie, żeby skutecznie oczernić imię lady Victorii, zastawszy ją na *flagrante delicto*. W sytuacji na tyle oczywistej i kompromitującej, w jakiej można znaleźć się w ubraniu, w parku, w pośpiechu.

Pozwolił jej sprowadzić się z głównej drogi, potem zatrzymał się, rzekomo podziwiając kwiatek, żeby starsza para podeszła bliżej. Oni jednak wdali się w jakąś sprzeczkę z mężczyzną, który także szedł tą ścieżką, tym samym biedakiem, którego pies tak źle się przedtem zachował. Do licha.

Grając na zwłokę, Boyce postanowił dać swojej wybrance ostatnią szansę, żeby go przyjęła.

- Lady Torrie - zaczął, a potem uznał, że sytuacja wymaga użycia bardziej formalnego tytułu zanim, w razie potrzeby, zedrze z niej suknię. - Lady Victorio, musi pani zdawać sobie sprawę z tego, jak bardzo panią podziwiam. Pani uroda i pani duch są uosobieniem kobiecości. Pani uśmiech najsilniejszego mężczyznę może rzucić na kolana. - Ale oczywiście, nie na gołą ziemię, niezależnie od tradycji. - Błagam panią po raz kolejny, aby uczyniła mnie pani najszcześniejszym z ludzi.

Torrie patrzyła w stronę pokojówki, usiłując dociec, co się dzieje. Starszy człowiek krzyczał, wymachując laską, a kobieta wskazywała parasolką na psa, który uciekał z jakąś torbą w pysku. O Boże. Mężczyzna bezskutecznie usiłował

uderzyć lorda Ingalla laską, a Torrie nie mogła powstrzymać uśmiechu. Sama miałaby ochotę przyłożyć wicehrabiemu.

- Tak!

- A zatem zgadza się pani? - Boyce niemal przewrócił się ze zdumienia.

- Na co? - zapytała Torrie, odwracając się ku niemu.

- Żeby mnie poślubić, oczywiście.

- Nie rób z siebie większego głupca, niż musisz, George. Mówiłam ci już mnóstwo razy, że nigdy za ciebie nie wyjdę. Nie zmienię zdania.

- O tak, zmienisz, moja piękna pani. - Wyciągnął rękę.

Torrie była tak zaskoczona, że przez chwilę się nie opierała. Poczowała jego usta na swoich i język, który usiłował przedrzeć się pomiędzy jej wargami. Nie mogła zdecydować, czy użyć kolana, pięści, czy maleńkiego pistoletu, który pod wpływem nalegań ojca nosiła w torebce. Kiedy poczuła jego rękę na piersi, zdecydowała się użyć wszystkich trzech, w dowolnej kolejności. Zanim jednak zdążyła odciągnąć ramię czy podnieść nogę, lord Boyce wyleciał w powietrze i wpadł w świeżo obsadzone klomby.

Boyce podniósł głowę z pierwiosnków, których nie odróżniał od pietruszki, i jęknął. Jego plan legł w gruzach. Ubranie nadawało się do wyrzucenia. A brudny kundel gryzł chwosty przy jego butach.

Boyce wypluł liść, a potem wrzasnął: -Ty!

Napastnik okazał się tym samym intrygantem, który pokrzyżował jego plany, żeby wypaść w oczach lady Torrie na bohatera: Ingall. Tym samym nikczemnikiem, którego powinno się wygnać z Londynu. Tym samym nicponiem, który...

- Tak, to ja. - Wynn szczerze żałował, że nie kupił mo-nokla, takiego jak ten, który leżał teraz potłuczony na ziemi obok Boyce'a. Mógłby go podnieść do oka i przyjrzeć się robakowi w krzakach. Jeśli kiedyś znajdzie odpowiedniego kamerdynera, każe mu kupić monokl. Na razie uniósł jedną brew i powiedział: - Nasze powtórne spotkanie sprawia mi równie małą przyjemność jak tobie.

Boyce z trudem podnosił się na nogi, Ingall pozostawał niewzruszony i doskonale opanowany.

- Jak śmiesz! Wyzwę cię za to na pojedynek, panie!

- Oszczędzaj ślinę, Boyce. Już wydajesz się bliski apopleksji. A ja nie będę się pojedynkować ani z tobą, ani z nikim innym.

Boyce zagryzł wargę.

- Oczywiście. Pojedyunki są dla dżentelmenów, a ty, jak sobie przypominam, już się do nich nie zaliczasz.

- Skoro odświeżasz sobie pamięć, przypomnij sobie także, że ostatniego człowieka, który mnie wyzwiał, jedzą teraz robaki. A moja celność tylko się, z konieczności, poprawiła od tamtego czasu.

Wilki, krokodyle, tygrysy ludo-

jady czynią cuda, jeśli chodzi o doskonalenie umiejętności strzeleckich.

Ta aluzja dotarła do Boyce'a. Wygładził kwiecistą kamizelkę i stwierdził:

- Cóż, chyba nic takiego się nie stało. Wynn zwrócił się do Torrie:

- Sądzę, że o tym zadecyduje dama.

Torrie czuła się okropnie. Zostać przyłapaną w tak upokarzającej sytuacji i to właśnie przez tego człowieka!

- Wyjaśnię to - zaczęła. Wicehrabia podniósł rękę.

- Nie muszę wysłuchiwać pani wyjaśnień. Przyjmuję, że istnieje dobry powód, dla którego młoda kobieta oddała się sama w towarzystwie odrzuconego zalotnika. - Co tu mówić ojej własnych, pośpiesznych sądach sprzed paru minut.

Boyce postanowił dokonać jeszcze jednego, ostatniego wysiłku.

- Odrzuconego? Nic podobnego! Lady Victoria przyjęła moje oświadczyzny. Boję się, że moja radość przeważała nad dobrymi manierami. Gdybyś nie wkroczył tak brutalnie...

- Przestań pleść - powiedziała Torrie, używając jednego z powiedzonek ojca. - Wiesz, że wcale tak nie było.

Wynn sięgnął w dół i wyciągnął ozdobny frędzel z pyska Homera. Rzucił nim w kierunku Boyce'a.

- Słyszałeś, co mówi dama. Nie ma zaręczyn i lepiej, żeby ten incydent się nie powtórzył. A także, żeby ani słowo na ten temat nie pojawiło się w dzisiejszym serwisie plotek.

- Nie pojawi się - zapewniła Torrie. - Proszę pomyśleć, jak niekorzystnie wyglądałby w tym świetle lord Boyce,

a tylko on mógłby o tym mówić publicznie. Ja z pewnością nie będę. A pan, lordzie Ingall? Wynn pokręcił głową. Miałby zmieszać imię damy z błotem, tak jak Homer robił to z laską Boyce'a? Czy tak niskie miała o nim mniemanie? Gwizdnął na psa.

- Powinna pani wrócić do pokojówki. Z pewnością niepokoi się zwłoką.

- Na Boga, biedna chora Ruthie. Wiedziałam, że nie powinnam jej zostawić! - Nie zaszczywszy Boyce'a spojrzeniem, odwróciła się i pośpieszyła w stronę głównej drogi, przy której stała ławka. Wynn szedł obok, bez trudu dotrzymując jej kroku.

- Nie potrzebuję pańskiej eskorty. Z pewnością pana towarzyszka...

- ...opuściła park. Odprowadzę panią do ławki, a potem razem z pokojówką do powozu czy fiakra. Torrie zauważyła, że nie jest to prośba ani propozycja. Po prostu to oznajmił.

- Nie musi się pan martwić. O ile nie sądzi pan, że w parku roi się od natrętnych zalotników.

- Sądzę, że jest w nim pełno wiewiórek, gołębi i pawic, które nie są w stanie rozpoznać niebezpieczeństwa, póki nie staną z nim oko w oko.

Cóż, przede wszystkim nie odeszłaby nigdzie z Boy-ce'em, gdyby nie chciała uniknąć spotkania z lordem Ingall, ale tego nie powiedziała. Wyjęła z torebki pistolecik o rękojeści z kości słoniowej.

- Nie jestem taka szalona, jak pan myśli. Zdaję sobie sprawę, że mam u pana kolejny dług wdzięczności, ponieważ znowu pośpieszył mi pan z pomocą, ale tym razem sy-

tuacja nie była nawet w przybliżeniu taka groźna. Dałabym sobie radę.

Spojrzał na ozdobną, ale niebezpieczną broń.

- Proszę mi powiedzieć, moja droga, czy mogłaby pani zastrzelić Boyce'a? Przyłożyć lufę pistoletu do jego serca i pociągnąć za cyngiel?

- Nie... nie jestem pewna. Być może, gdyby chciał mnie skrzywdzić. Ale za zbyt swobodne zachowanie?

Wynn sądził, że drań chciał o wiele więcej od paru całusów, ale nie widział potrzeby, żeby przerażać ją niepotrzebnie niesprawdzonymi podejrzeniami. Odebrał jej broń jednym ruchem dłoni, żeby dowieść swojej racji. Włożył go do kieszeni, sprawdzivszy, czy nie jest odbezpieczony. Mogłaby sobie odstrzelić stopę albo gorzej.

- Widzi pani, z jaką łatwością mężczyzna może rozbroić mniejszą, słabszą osobę? Co by pani zrobiła, gdyby zwrócił przeciwko pani broń, grożąc nią, jeśli by pani nie przystała na jego warunki?

- Lord Boyce? Czy pan oszalał?

- Zdesperowany mężczyzna może być niezwykle niebezpieczny. Słyszałem, że Boyce sięgnął dna. Potrzebuje pani posagu.

- Bzdura. Boyce wie doskonale, że ojciec nie dałby mi zawrzeć małżeństwa pod przymusem. Wystarczyłoby, żebym powiedziała „nie” wobec proboszcza. Poza tym lord Boyce może być niegrzeczny, ale jest dżentelmenem.

A lady Torrie naiwną gąską o oczach bardziej błękitnych od kwietniowego nieba.

Musiał jej pokazać, że nie jest bezpieczna mimo bogactwa i tytułów. Mogła być dzielna, ale i tak potrzebowała

107 - Diamentowy klucz

113

mężczyzny, który by jej bronił i zapewniał ochronę. Uznał za swój obowiązek udowodnić jej słabość, żeby na przyszłość była ostrożniejsza. Tak w każdym razie siebie przekonywał.

To dobra wymówka, żeby zrobić to, na co miał ochotę, a co zaczął Boyce.

Zaciągnął ją za kępkę drzew.

- Co pan robi? Moja pokojówka....

- Czekala już tak długo.

Podobnie jak Wynn. Przyciągnął ją bliżej.

- A teraz, moja pani, jak by się pani zachowała, gdyby Boyce zrobił to? - Przycisnął jej ramiona do boków, nie bardzo mocno, ale tak, żeby jej pokazać, że nie zdoła uciec, jeśli on jej nie puści. Wygiął lekko jej plecy, po czym położył usta na jej ustach.

Torrie wiedziała, że próbuje udzielić jej nauczki, zarozumiała nicpoń, ale ona chciała się czegoś o nim dowiedzieć - o nim i jego pocałunkach - skoro już do tego doszło. Dzięki Bogu, nie miażdżył jej warg, jak Boyce. Jego wargi były...

Nie potrafiła opisać ich dotyku - chłodnego i ciepłego jednocześnie, miękkiego i twardego. Te wargi dawały, ale i brały. W chwili gdy wydawało jej się, że jest w stanie lepiej zrozumieć tę zagadkę, odsunął się.

Torrie westchnęła.

- A gdyby zrobił to? - zapytał, całując delikatnie jej powieki, a potem muskając leciutkimi pocałunkami jej policzki i szyję.

Westchnęła ponownie.

Jedną ręką, zataczając koła, gładził ją po plecach, potem po bokach, a potem zaczął się posuwać wyżej, ku jej piersi.

- A gdyby zrobił to?

Gdyby dotyk Boyce'a był taki jak ten, gdyby sprawił, że czułaby się tak jak teraz, gdy każdy cal jej skóry, mimo żakietu, sukni i bielizny, rozpaczliwie domagał się jego pieśczoćy, poślubiłaby go trzy lata temu, kiedy po raz pierwszy ją o to poprosił. Ale to nie Boyce trzymał ją tak delikatnie, tak pieśczoćliwie.

Nie, to nie był Boyce. To Ingall, Wynn, który nigdy by jej nie skrzywdził ani nie ukradł tego, czego nie chciała dać. Przy którym czuła się jak rozkwitający kwiat, jak ptak gotów do lotu. Uratował ją dwa razy, dla siebie. Była tego pewna. Gdyby nie byli sobie przeznaczeni przez los, nie pasowaliby do siebie tak, że ich oddechy stawały się jednym. Była tam, gdzie miała być, przypadkiem czy zrządzeniem sił wyższych, i zamierzała się tym cieszyć.

Przyłgnęła mocniej do jego rąk, do twardego ciała, do warg, wydając ciche piski rozkoszy, które sprawiły, że pogłębił pocałunek.

- A co - szepnął w jej usta - gdyby zrobił to? - Jego język podążył za szeptem, leciutko muskając jej zęby, a potem jej język.

Płoneła i czuła gorąco płynące od mężczyzny, choć dzieliła ich warstwa ubrań. Z pewnością zostawią wypalone na trawie ślady tam, gdzie stali. Wszyscy się dowiedzą, ale ona o to nie dbała. Czuła, że umrze, jeśli on posunie się dalej - i umrze, jeśli przestanie.

Wtedy jednak Wynn przypomniał sobie, gdzie jest i kim jest. Bez względu na to, co gadali plotkarze i czego żądało jego ciało, był dżentelmenem. A Torrie damą. Odstąpił do tyłu, choć była to być może najtrudniejsza rzecz, jakiej w życiu dokonał.

- Widzisz? - powiedział. - Boyce mógł bez użycia siły przewrócić cię na ziemię i zadrzeć spódnicę. Jest ślepy, pomyślała Torrie, jeśli sądzi, że zamieniała się w płonący węgielek pod wpływem każdego mężczyzny. Boyce nigdy nie zdołałby oszołomić jej tak, żeby się zapomniała choć na chwilę, a cóż dopiero dała przewrócić na ziemię. Popamiętałaby ją, gdyby choć próbował zachować się jak Wynn. Musiała uczciwie przyznać sama przed sobą, że Wynn nie pozwolił sobie na tak swobodne poczynania wobec niej, lecz został do nich zachęcony. Zmieszana przypominała sobie, jak wtulała się w niego coraz mocniej, przekonując się, że jest równie podniecony jak ona.

Boże, czy sądził, że Boyce mógłby jej to zrobić? Chyba sam Boyce nie podejrzewał, że mógłby wzbudzić w niej namiętność. Nie, to potrafił tylko Wynn, choć pewnie nie spodziewał się, że na niego tak to podziała. Mogła być oszołomiona, ale wiedziała, że niezależnie od tego, co powie, on także czuł ten sam płomień.

To, co miało być nauzką, przekształciło się w coś zupełnie innego, póki się nie odezwał. Przecież nie uważała, że potrafi się obronić przez zaplutym olbrzymem z pałą w ręce. Oczywiście, że nie, ani on by tego nie potrafił, ani żaden z lokajów ojca. Gdyby trafili na złoczyńcę z nożem czy strzelbą, żadne z nich nie miało szans. Ale Wynn postanowił dowieść swego pocałunkami, wytykając jej dziecinną brawurę.

Cóż, ona także miała mu parę rzeczy do przekazania. Nie była pensjonarką, którą można ot, tak sobie pocałować.

Nie była przedmiotem z targu, którym można bawić się przez chwilę dla przyjemności, a potem odrzucić.

Nie była jedną z jego kobiet.

I wtedy kopnęła go tak, jak nauczył ją ojciec.

Kiedy Wynn się ocknął, Homer lizał go po twarzy. Lady Torrie i jej pokojówka dawno zniknęły. Może jednak powinien ożenić się z Rosie, pomyślał, bo kto wie, czy w ogóle będzie miał własne dzieci. Potem usiadł i się zastanowił.

Jak dotąd, dzisiaj obiecał znaleźć męża dla ciężarnej prostytutki.

Zapłacił majątek za szkody wyrządzone przez psa.

I zrobił sobie niebezpiecznego wroga. Może nawet dwóch, choć wątpił, żeby lady Torrie szukała zemsty w taki sposób, jak Boyce.

Nie najgorzej jak na przedpołudnie, a nie wybiła jeszcze dwunasta. Otrzepał się i ruszył w stronę domu, z psem u boku.

A, przypomniał sobie z uśmiechem, i pocałował Torrie Keyes. Nie tak źle, jak na zwykły spacer w parku, wcale nie.

15

Kopnęła mężczyznę! Dżentelmena, który zachował się wobec niej tak szlachetnie. Torrie czuła się nieszczęśliwa. Mogła przecież spoliczkować Wynnna - od dawna nie myślała o nim jako o lordzie Ingall; pocałunek był zbyt intymny, żeby pamiętać o tytułach. Tak właśnie należało postąpić, ojciec nauczył ją także, jak się posługiwać pięściami. Ale nos wicehrabiego już i tak był daleki od doskonałości. Gdyby

111

zdołała go rozbić, mógłby zacząć przypominać tego małego brzydala, którego parę razy zauważyła przy Grosvenor Square.

Boże, pocałowała mężczyznę! I to jakiego mężczyznę! Co to był za pocałunek! No tak, jak mówiła ciotka Ann, awanturnicy są wprawnymi kochankami. Gdyby lordowi Ingall zależało na tym, żeby ją uwieść, to w istocie mógł tego łatwo dokonać za pomocą rąk, kładąc dłoń na jej piersi, gładząc dłonią jej plecy. Ale nie zrobił tego. Nie był awanturnikiem.

Była absolutnie przekonana, że istniał jakiś racjonalny, przyzwoity powód, który mógłby wyjaśnić scenę z ową ciężarną kupką nieszczęścia w parku. W końcu Wynn powstrzymał się z osądem jej spotkania z Boyce'em.

Nawet ojciec, po wysłuchaniu okrojonej wersji wydarzeń, zażądał, by wszędzie zabierała ze sobą służącego. Torrie w ogóle nie wspominałaby o przejściach z Boyce'em, gdyby nie to, że Ruthie widziała, jak odchodziła w jego towarzystwie, a wróciła bez niego. Torrie była tak poruszona, kiedy wróciły do domu, że musiała coś powiedzieć. Nie powtórzyła podejrzeń Wynna co do tego, że Boyce chciał ją skompromitować, żeby ojciec nie zabronił jej wychodzić z domu, ani też nie opowiedziała o pocałunku Wynna, żeby ojciec nie zabronił zapraszać go do domu. Powiedziała jedynie, że ponownie wybawił ją z trudnej sytuacji. Hrabia miał ogromną ochotę zaprosić go znowu na kolację.

- Zeby myślał, że moja bratanica ugania się za nim jak pies gończy? - Ciotka Ann dźgnęła igłą materiał kolejnego pokrowca na stołek. - Nie bądź głupcem, bracie. W przyszłym tygodniu ma nam towarzyszyć na balu u pani Reese.

Jakiegokolwiek inne zaproszenia będą wyglądały na polowanie. A takiego mężczyznę jak Ingall nic nie skłoni szybciej do ucieczki, jak osaczenie.

- Ależ, ciociu, w twoich ustach brzmi to tak, jakbym chciała porwać biednego człowieka wbrew jego woli.

- A nie jest tak? Cała ta gadanina o losie i przeznaczeniu, za chwilę będziesz wróżyć z liści herbaty albo rzucać miłosne zaklęcia. Chociaż czego ty chcesz od tego mężczyzny, nie jestem w stanie sobie wyobrazić.

To dlatego, że ciotki Ann nigdy nie całował taki mężczyzna. Ani, być może, żaden mężczyzna. Wynn nie byłby może łatwym mężem, ale za to jakże podniecającym. Torrie dotknęła wiszącego na szyi amuletu. Pomyślała, że wrota do jej serca można było łatwo otworzyć, ale czy zdołała choćby uchylić wrota do jego serca? Czas to pokaże, czas, który zamierzała dobrze wykorzystać. Jeśli pocałunek tego nie dokonał, zrobi to suknia, którą miała zamiar zamówić na bal u pani Reese.

Potrzebowała nowej sukni. Ta z zielonego aksamitu, którą szyła u Madame Michaeli, uległa zniszczeniu podczas pożaru. Mistrzynie krawiecka miała tyle szczęścia, że znalazła pusty lokal w pobliżu i przenosiła się do niego z finansową pomocą anonimowego dobroczyńcy. Torrie uznała, że mogłaby jej pomóc, odnawiając zamówienie i składając nowe, na suknię balową. W pośpiesznie odnawianym magazynie zakładu mogło nie być dużego wyboru materiałów czy koronek, ale suknia, którą Torrie sobie wymyśliła, nie wymagała ich zbyt wiele.

Jej modna matka wiedziałaby dokładnie, co ma na myśli. Wiecznie ubrana w żałobę ciotka nie miałaby pojęcia. Ruthie mogła pomóc przy wyborze wzoru i materiału, ale

Torrie miała wrażenie, że pokojówka powinna zostać w domu i odpocząć. Wezwano doktora na skutek nalegań Torrie, ponieważ Ruthie niedomagała już zbyt długo. Kiedy lekarz Keyesów usłyszał, że ma badać zwykłą pokojówkę, wymówił się nawałem zajęć i posłał swojego asystenta. Asystent z entuzjazmem przepisał swoje ulubione proszki na żołądek, które uprzednio zalecił naczelnemu kucharzowi, zbyt często zaglądnętemu do kieliszka, oraz cierpiącemu na niestrawność pudlowi lady Wilsted.

Ruthie wydawała się w nieco lepszym stanie, ale Torrie uznała, że dla nowej sukni, nawet tak ważnej, nie warto ryzykować pogorszenia jej zdrowia. Zostawiła pokojówkę w domu pod opieką gospodyni i zabrała jednego z lokajów. Henry był bezużyteczny, jeśli chodzi o pomoc w doborze fasonu, ale jego asysta uszczęśliwiłaby ojca. Suknia, którą Torrie zamierzała obstałować, raczej nie.

Jak to się, do diabła, stało, że pocałował lady Torrie? A niech to, myślał następnego dnia Wynn, jak to się stało, że czekał z tym tak długo? Teraz będzie tylko tego pragnął i powieszą go, zanim to zrobi. Naprawdę mogliby go powiesić, gdyby lord Duchamp coś zwał. Nie był jednak dziką bestią, działającą pod wpływem odruchów - mimo incydentu w parku. Został sprowokowany: inny mężczyzna ją pocałował. Tak więc rzucił Boyce'a na ziemię, zaciągnął kobietę w krzaki i zaczął się do niej dobierać. Oto cywilizowany sposób postępowania.

Ha!

Przysiągł sobie, że to się więcej nie zdarzy. Dla pewności będzie po prostu trzymać się od niej z daleka. Bal

u pani Reese zbliżał się nieuchronnie, ale na tym koniec. Nie musi więcej widzieć córki hrabiego. Nie musi walczyć z pokusą.

Na wszelki wypadek odrzucił wszystkie zaproszenia, jakie napłynęły bardzo licznie po kolacji w rezydencji Duchampów. Dziwne, ale później nie dostał już żadnych. Zdaniem Barrogi, który spędzał czas wolny, czyli, jak podejrzewał Wynn, większość czasu, w różnych pubach odwiedzanych przez klasę pracującą, socjeta nie wiedziała, jak traktować wicehrabiego. Z jednej strony, był bogaty, utytułowany, uratował lady Torrie. Z drugiej, ciążyło na nim podejrzenie o zabójstwo człowieka z towarzystwa.

Młodzi postrzeleńcy usiłowali wiązać jego węzełek, ale plotkarze już rozpuścili języki. Ktoś, a ani Barrogi, ani Wynn nie wątpili, że był to lord Boyce, odgrzebał stary skandal. Teraz szeptano, że Wynn strzelił wówczas przed czasem. Brakowało świadków owego nieszczęsnego incydentu, jeden z jego uczestników nie żył, jeden z sekundantów także nie żył, chirurg zniknął. Nikt zatem nie mógł - albo nie chciał - zaprzeczyć szeptanym oskarżeniom.

Sekundantem Wynna był jego przyjaciel z dzieciństwa, Troy, ten który przed pójściem do wojska - nigdy już nie wrócił - oddał Wynnowi oszczędności swego życia. Sekundantem Lynbrooka był jego młodszy brat, Francis, który aż palił się, żeby zająć miejsce barona.

- Krążą jeszcze inne plotki, *padrone* - opowiadał Barrogi - o tym, że pożar był podejrzany, *si*, a pan akurat przechodził.

- Do pioruna, setki ludzi przechodziło tamtędy akurat tamtego dnia!

- *Si, padrone*, ale większość nie skorzystała z wdzięczności Duchampa.

- Skorzystała? Nigdy w życiu nikogo nie wykorzystałem!

Barrogi zgarbił się nieco.

- Kto to może wiedzieć, kiedy *signore* chce pana wciągnąć do rządu i wprowadzić do swoich klubów?

I w dodatku zaczepia pan szmaragd w parku?

- Diament. Nazywają lady Torrie Keyes diamentem, ponieważ jest bezcenna i nosi na szyi amulet, diamentowy kluczyk. A ja nigdy bym... - Cóż, zrobił to, ale pierwszy był Boyce. - Boyce. - Wymówił to słowo jakby było przekleństwem. - To podobne do tego drania, żeby niszczyć kogoś za pomocą aluzji, pomówień, zamiast pięściami, żeby rozpuszczać kłamstwa za czyimiś plecami. Powinienem złamać mu chuderlawy kark, kiedy miałem okazję.

W gruzłowatej dłoni Barrogiego pojawił się sztylet.

- Chce pan, żebym go powstrzymał? Człowiek bez języka nie może śpiewać.

- Dobry Boże, człowieku, odłóż to. Po prostu znajdź łajdaka, który podłożył ogień. Przy odrobinie perswazji powinien nas doprowadzić z powrotem do Boyce'a. Pieniądze, a nie nóż! Jesteśmy w Anglii, a nie w Arabii.

Byli w Anglii, w istocie, a tu bogaci i możni nie mieli nic innego do roboty, tylko oczerniać się nawzajem. Tak samo jak poprzednim razem, kiedy potępili go na podstawie paru pogłosek. Ale sytuacja zmieniła się w porównaniu z okresem przed sześcioma laty.

Teraz Wynn był bogaty.

I nie obchodziło go, co inni o nim myślą.

Teraz nie zamierzał uciekać.

Niech sobie myślą, co chcą, w zaciszu swoich domów. I tak nie miał ochoty wstępować w ich progi. Po co, żeby pić wino z wodą i jeść stare ciastka? Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby pani Reese cofnęła zaproszenie, dzięki temu nie musiałby się męczyć w towarzystwie słodkich panienek i ich chytrych mamusiek. Niech wykwintnisie odwrócą się do niego plecami. Było wiele miejsc, gdzie mógł się udać i gdzie go chętnie widziano.

Oczywiście, nie we własnym domu, u bratowej Marissy, zajmującej rezydencję Ingramów. Może też nie w domu Duchampów po tym, jak ośmielił się wczoraj w parku złamać etykietę. Ani u Rosie, póki nie znajdzie jej męża.

Zostawała zatem Bette, lady Lynbrook. Nie mógł jednak odwiedzić kobiety, której męża rzekomo zabił, wyglądając jak pirat. Na brodzie po goleniu miał plaster, rękaw nowego kaftana rozdarł mu się w starciu z Boyce'em, przy butach brakowało frędzli, jako że Homer znalazł nowe hobby. Potrzebował kamerdynera.

Barrogi znalazł kilku ewentualnych kandydatów w tawernie Shaya, pubie, w którym zbierali się weterani, jeśli mogli sobie pozwolić na kwartę piwa. Kilku było zbyt pijanych, żeby stawić się na rozmowę, ale trzech przyszło. Pierwszy okazał się jednoręki.

Barrogi wzruszył ramionami.

- Ma pan tylko jedną szyję, *padrone*.

Drugi nosił na wytartym kołnierzu munduru naszyjnik z kości, być może ludzkich kości dłoni. Wynn nie chciał liczyć zabitych, pozbawionych palców Francuzów. Ani też nie miał ochoty spać w pokoju obok człowieka, który zbierał takie trofea.

Trzeci mężczyzna wyglądał, jakby nie golił się od lat. Z bokobrodami i wąsami przypominał orangutana, jakiego Wynn kiedyś widział. Przy takim braku wprawy Wynn skończyłby z poderżniętym gardłem.

Żaden się nie nadawał. Pierwszych dwóch wysłał do zarządcy swoich dóbr w Hertfordshire, gdzie poczciwy Bimm był gotów przyjąć każdą parę rąk, nawet jeśli jednej parze brakowało pary.

Kolekcjoner kości mógł znaleźć zatrudnienie u rzeźnika. Zarośniętego mężczyznę wynajął, by pomógł Barrogiemu obserwować lady Torrie, kiedy totumfacki miał inne zajęcie.

Kazał więc Barrogiemu postawić innym weteranom u Shaya kolejkę. To znaczy, kolejkę sera oraz steków i pasztetów kupionych u pasztetnika na rogu. Rząd najwyraźniej nie zamierzał żywić nieszczęsnych durniów, którzy z takim oddaniem walczyli za kraj.

- Chce pan, żebym znalazł podpalacza, *padrone*, czy *un servitore*, do pudrowania panu tyłka?

- Nie mogę poradzić sobie gorzej od ciebie w poszukiwaniu przyzwoitego kamerdynera - powiedział Wynn jadowitym tonem, czuły na aluzję, że nie potrafi się sam ubierać. Potrafił, robił to latami, ale nie tak, jak oczekiwała lady Torrie: jak ubierano się w Londynie. - Pracuj nad pożarem. I zajrzyj do Rosie. Sprawdź, czyjej czegoś nie brakuje. Przyda się jej towarzystwo.

Barrogi skinął głową.

- *Signora* jest samotna. Wynn westchnął.

- Obawiam się, że to *signorina*. Na tym polega kłopot. -I miała o jednego towarzysza za wiele.

Starszy mężczyzna pokręcił głową, nalegając na tytuł *signora*.

- To przez szacunek, nawet jeśli oszukuje w kartach. Wynn nie zdziwił się, że Rosie zaprosiła Barrogię do

siebie po wyprawie do Guntera - nudziła się okropnie. Nie zdziwił się także, że oszukiwała.

- Zna wszystkie sztuczki karciane. To dlatego tak daleko zaszła. Wiesz, gospodarze zawsze wygrywają.

Barrogi błysnął niekompletnym uśmiechem w uśmiechu, prezentując własną talię zniszczonych, znaczonych kart.

- Nie dzisiaj. Dzisiaj gospodarze przegrywają.

- Przegrywają?

- Oczywiście.

16

Przyszedłeś! Przyszedłeś, Wynn! - Bette, lady Lynbrook, rzuciła się mu w ramiona, gniotąc jego ostatnią przyzwoitą koszulę. Zatopiła twarz tak głęboko w jego piersi, że nie mógł jej się nawet dobrze przyjrzeć, żeby stwierdzić, czy jego dawna towarzyszka zabaw bardzo się zmieniła w ciągu tych sześciu lat, odkąd wyjechał. Z niezbitą pewnością pozostała nadal tą samą egzaltowaną, skłoną do hysterii istotą, jaką zawsze była.

- Daj spokój, Bette. Napisałem i uprzedziłem cię, że przyjdę.

Pociągnęła nosem przy jego pasiastej kamizelce.

- To było tygodnie temu.

- Kilka dni temu. I przyszedłem, przestań więc płakać i powiedz, jak się miewasz. W twoich listach było tyle plam od łez, że ledwie mogłem je przeczytać. - Poddał się przy trzeciej wzmiance o „małżeństwie”.

- Och, Wynn, wszystko było takie okropne. Nie możesz sobie wyobrazić.

Rozejrzał się po eleganckim, pełnym cennych przedmiotów wnętrzu rezydencji Lynbrooków, zadowolony, że zostawił Homera w Kensington, i nie mógł sobie wyobrazić, co ją tak unieszczęśliwiało - mając w pamięci wszystkie te miejsca, które był zmuszony nazywać domem.

Sądząc po puszystej miękkości ciała, które trzymał w ramionach, na jedzeniu jej nie zbywało.

Dostatek żywności i dach nad głową wydawałyby mu się rajem w pewnych momentach jego podróży.

- Może usiądziesz i wszystko opowiesz.

Puściła go w końcu, prowadząc do słonecznego porannego salonu, gdzie kazała przynieść herbatę i ciastka. Podczas gdy służba podawała lekki posiłek, Wynn miał czas, żeby dobrze się przyjrzeć Bette, która była młodszą lady Lynbrook, jako że matka jej zmarłego męża nadal żyła, a obecny baron miał własną lady Lynbrook.

Bette poznał, kiedy spędzał letnie wakacje w domu swojego przyjaciela, Troya, w Lake District, jako Bette Dodge, najstarszą córkę zamożnej rodziny. Majątek jej rodziców leżał tuż obok i troje młodych ludzi spędzało razem długie godziny. Bette nie pozwalano towarzyszyć chłopcom, kiedy ci strzelali, łowili ryby albo pływali, ale wiele spacerowali, rysowali na dworze i bawili się wesoło w salonie u niej w domu - tego wszystkiego Wynn nie zaznał w swojej ro-

dzinie. Przyjmował każde zaproszenie na wakacje u Troya Campe'a, skoro jego rodzice nie wydawali się za nim tęsknić.

Bette i Troy znali się od kołyski i oboje, wraz z Wyn-nem, przyjęli, że pewnego dnia się pobiorą. Ale rodzice Bette mieli większe ambicje. Nie wystarczał im drugi syn zwykłego ziemianina, któremu przeznaczono karierę wojskową. Przyrzekli dziewczynę Frederickowi, lordowi Lynbrook, dziwnemu człowiekowi, ale baronowi. Bette zyskała tytuł, Troy barwy sztandarów, a Wynn ruszył do Londynu, żeby zdobyć miejską ogładę.

Potem nastąpiły pijackie wybryki Lynbrooka, pojedynki i Ciudad Rodrigo. Ich życie uległo zmianie. Parę lat przed trzydziestką - ale więcej po dwudziestce - Bette nadal była ponętym kwiatuszkiem, choć Wynn podejrzewał, że jej jasne włosy zawdzięczały kolor butelce esencji rumiankowej. Od czasu, kiedy owdowiała, przybyło jej kilkanaście funtów, ale to oraz koronkowy czepek stanowiły jedyne sygnały przemijającej młodości. Wciąż miała dołek w brodzie i dąsała się, kiedy łyzy nie sprawiły, że może postawić na swoim. Teraz się dąsała.

- Pisałam ci, jak to jest, jak mi brak Fredericka. Francis trzyma mnie niemal w nędzy. Nie stać mnie na podróże, nawet do Bath czy Brighton. Nie mogłabym podejmować tutaj gości, gdybym miała przyjaciół, bo dom niszczeje, ale Francis nie da pieniędzy na odnowę, ponieważ siedzi głównie na wsi. Mówi, że potrzebuje pieniędzy na Three Brooks, ale wiem, że utrzymuje w pobliżu willę dla swoich kochanek. Założę się, że tamta willa jest w lepszym stanie niż ta rudera.

Dom robił na Wynn timer dobre wrażenie, zwłaszcza w porównaniu z jego kwaterą w Kensington, ale przyznał, że niewiele wiedział o obecnej modzie urządzenia domu. Bette ciągnęła listę żalów: jej garderoba jest stara i niemodna; Francis chce odebrać jej biżuterię i dać swojej żonie, Angeli; wszystkie powozy i większość służby pojechały na północ do Three Brooks, razem z rodziną, w związku z ostatnim położeniem Angeli.

- Dlaczego z nimi nie pojechałaś? - zapytał Wynn, sądząc, że to rozsądne pytanie, a nie powód do ponownego zalewania się łzami. - Byłoby ci wygodniej bez wydawania pieniędzy i miałabyś towarzystwo.

Jej chusteczka zdążyła już przemoknąć, podał jej swoją.

- Francis nie chce mnie widzieć w moim własnym domu, za jedyne towarzystwo miałabym matkę Fredericka w jej domu, a ona mnie nienawidzi! Wini mnie... i ciebie, oczywiście, za śmierć Fredericka. Nie mogę tam jechać! Do mojego rodzinnego domu też nie. Rodzice uważają, że miałabym zły wpływ na młodsze siostry po tym skandalu. One jeszcze nie wyszły za mąż.

- Z pewnością masz w mieście przyjaciółki, damy, które debiutowały z tobą i nie wyszły za mąż. Albo jakąś wdowę, która żyje w podobnych warunkach. Jeśli się porozumiecie...

- Nie mam przyjaciół! - krzyknęła przez chusteczkę. - Nikt mnie nie przyjmuje, poza hazardzistami, a mnie nie stać na ich towarzystwo. Francis nie chce płacić moich długów karcianych.

- Nie mogę powiedzieć, że bym mu się dziwił, Bette. Rodzina mu się powiększa...

- To skąpiec, mówię ci. Dusigrosz, chytrus i oszust. Przysięgam, że na mocy umowy przedślubnej powinnam dostawać więcej pieniędzy, ale on twierdzi, że zainwestował w fundusze i stracił. Wiem, że wydaje bez pamięci na swoje zachcianki, bo rachunki czasami przychodzą tutaj przez pomyłkę.

- A tyje, oczywiście, otwierasz.

- Skąd inaczej miałabym wiedzieć, na co wydaje moje pieniądze?

Wynn nigdy nie ufał młodszemu bratu Lynbrooka. Teraz zyskał kolejny dowód.

- Każę mojemu sekretarzowi się temu przyjrzeć.

- Co mi to dobrego przyniesie? Nadal będę stara, brzydka i samotna na tym świecie. Co się ze mną stanie? -Podniosła rękę do czoła i załkała.

- Przy twoich zdolnościach dramatycznych mogłabyś podjąć karierę na scenie. A teraz wytrzymaj nos jak grzeczna dziewczynka i powiedz, czego naprawdę ode mnie chcesz.

- Nie chcę być wdową, Wynn.

- To proste. Wyjdź ponownie za mąż.

- Właśnie takie rozwiązanie przyszło mi do głowy. Kłopot w tym, że nie mam posagu. W czasie małżeństwa nigdy nie poczęłam, mogę więc być bezpłodna i - w tym momencie w jej zawodzeniu dała się słyszeć oskarżycielska nutka - ten pojedynek zrujnował moją reputację.

Nie tak, jak reputację Wynna, mógłby się o to założyć.

- Ale wciąż jesteś niezrównana, Bette. Z pewnością znajdzie się jakiś mężczyzna, którego uszczęśliwisz, dzieląc z nim łó... to jest, stół.

- A ty?

123 - Diamentowy klucz

129

Temperatura w pokoju podniosła się nagle o pięć stopni. Wynn żałował, że oddał chusteczkę i nie ma czym obetrzeć czoła.

- Ja, eee..., ja...

- Pomogłeś mi przedtem.

Postanowili razem, że to Wynn wyzwie Lynbrooka. Troy zaprzepaściłby karierę w wojsku, gdyby złamał jedną z najważniejszych zasad Wellesleya - zakaz pojedynków dla oficerów. Poza tym Wynn celniej strzelał.

- Tak, byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Nie mogliśmy pozwolić tej świni, żeby się nad tobą znęcała. Ale to nie oznacza... małżeństwa.

- Czemu nie? Świetnie byśmy do siebie pasowali. I dzięki temu uratowałabym reputację, ponieważ romantyczne zakończenie zadowoliłoby starych plotkarzy. Poza tym i tak wszyscy wiedzą, że byłeś moim kochankiem.

- Ale nigdy nim nie byłem, gąsko. Wiedziałaś, że flirtuję z tobą tylko po to, żeby Frederick się wściekł i przyjął wyzwanie.

- Bardziej się wściekał, że ukradłeś mu Rosie Peters.

- Nie ukradłem Rosie. Kupiłem ją. Wynająłem ją na jakiś czas, za cenę, jaką mi podała, i to po to, żeby odwrócić uwagę plotkarzy od ciebie.

Bette machnęła chusteczką.

- Nikt nie uwierzył w tę bajeczkę. Wszyscy uważali, że zabiłeś Fredericka z miłości do mnie.

- Nie zabiłem Fredericka.

- Oczywiście, że tak. Strzeliłeś mu w serce, choć Troy wcale tego nie planował.

- Trafiłem go w ramię.

130

- Boże. Nie umarłby od kuli w ramieniu. Przynajmniej nie tak szybko, nawet gdyby rana się zanieczyściła.

Wynn zaczął postukiwać palcami w ramię fotela, żeby rozładować własne, tłumione uczucia.

- Bette, powtarzam, celowałem draniowi w ramię. -Przerwał. -1 nie chybiłem.

- Ale mnie powiedziano... Widziałam...

- Poszedł na własnych nogach do tego przekłętego powozu! Śmiertelnie ranny nie mógłby tego dokonać, prawda? Nie mam pojęcia, co się stało, ale mam pewne podejrzenia. Jeśli ty go nie zabiłaś...

- Ja?! - krzyknęła piskliwie. - Sądysz, że zabiłam swojego męża?

Wynn spojrział na drzwi, upewniając się, czy są dobrze zamknięte.

- Czemu nie? Był niewierny i brutalny wobec ciebie. Mój strzał, nie, cały pojedynek, był ostrzeżeniem, ale Lynbrook miał żyć. Mogłaś bez trudu skorzystać z okazji na trwałe rozwiązanie sytuacji, kiedy był nieprzytomny.

- Przez sześć lat myślałeś, że zabiłam Lynbrooka? Nic dziwnego, że nie chciałeś się ze mną ożenić. Ale teraz...

- Przez te same sześć lat myślałaś, że zabiłem człowieka niemal z zimną krwią, a więc można się zastanawiać, dlaczego miałabyś za mnie wyjść. Mój majątek nie ma nic wspólnego z moją nagłą atrakcyjnością, prawda?

- Jesteś wstrętny. - Znowu zaczęła płakać. - Zawsze wiedziałam, że powinnam wyjść za Troya.

- I podążyc za wojskiem? - Wynn nie znał kobiety, która mniej by się nadawała do rygorów życia u boku wojskowego. Lady Torrie, przy jej dowcipie i inteligencji, dałaby

sobie radę, ale Bette? Nie wytrzymałaby tygodnia, a i to tylko wtedy, gdyby nikt jej nie udusił za ciągłe narzekania. -Twoi rodzice nigdy by się na to nie zgodzili.

- Moglibyśmy uciec. Troy nie chciał, ale mogłam go przekonać.

- Ślub w Gretna Green i tak wywołałby skandal, a ty i tak byłabyś wdową.

- Ale miałabym piękne wspomnienia, którymi pocieszałabym się, kiedy wypadną mi zęby, zawiedzie słuch i opadnie podbródek. Zaznałabym miłości w życiu.

Słowa Bette wywołały u Wynna ból w okolicy serca. To pewnie te migdałowe ciasteczka.

Odchrząknął.

- Nadal jesteś młoda. Masz jeszcze czas.

- Nie, nie mam - zawyła. - Zaczynam tyć i przysięgam, że widziałam siwy włos. Nikt mnie już nie zechce.

Mówiąc to, wykonała skok z kanapy na jego kolana, skok, który wprawiłby w dumę Homera. Wynn znowu zerknął na drzwi. Nie mógł pozwolić, aby schwytano go w pułapkę, żeby uznano, że skompromitował damę. Gdyby usłyszał najłżejsze kroki za drzwiami, rzuciłby Bette na podłogę tak szybko, że jej włosy rzeczywiście by posiwiały. Przynajmniej dodatkowe wałeczki tłuszczu złagodziłyby upadek. Kiedy ona łkała w kłębek materiału, który on nazywał fularem, myślał o tym, że nie czuje najmniejszej ochoty, żeby ją przytulić, scałować jej łzy, dotknąć gładkiej skóry na karku. Inaczej niż w towarzystwie lady Torrie, nie czuł nic poza bólem mięśni zmęczonych ciężarem Bette. Jednak pewien pomysł przyszedł mu do głowy.

- Bette, moja droga, chcę ci zadać pytanie. Westchnęła, powstrzymała płacz i poprawiła koronkowy czepek na głowie.

- Wiedziałam, że mnie nie zawiedziesz, Wynn. Zawsze byłeś dobrym, oddanym przyjacielem. Tak.
- Co, tak?
- Tak, w odpowiedzi na twoje pytanie.
- Aha, wiesz zatem, gdzie znajdę kamerdynera Fredericka.

17

W końcu poszli na zakupy. To był najszybszy, najpewniejszy sposób, jaki znał Wynn, żeby przerwać potok łez Bette - poza złożeniem jej oferty małżeńskiej. Wpierw wykupiłby wszystkie sklepy w Londynie. I do licha, zrobił to.

Po drodze wyjaśnił lady Lynbrook, że próbuje odzyskać swoją pozycję w towarzystwie. Bogatemu, utytułowanemu kawalerowi nie powinno to przyjść z takim trudem, jak trzpiotowatej młodej wdowie o nie najlepszej reputacji. Wynnowi nie zależało na tym ze względu na siebie, ale gdy tylko zacznie bywać w towarzystwie, postara się o zaproszenia dla Bette. Mógłby jej nawet towarzyszyć w niektórych wizytach w lepszych domach, gdzie zachowywaliby się tak rozważnie względem siebie, że plotkarze nie mieliby o czym gdać. Bette znalazłaby męża w mgnieniu oka, gdyby wystąpiła odpowiednio ubrana. Nic nie rujnuje jej szans bardziej niż frywolność - a tylko takie stroje podobały się baronowej - czy zaniedbany wygląd, a takie właśnie wrażenie wywierało na Wynnii jej niemodne i lekko pogniecione ubranie.

W pewnym sensie Wynn czuł się zdrajcą wobec własnej płci, kiedy próbował wystroić wdowę po Lynbrookowi tak, by mogła zwabić kogoś do ołtarza. Ale do licha, jeśli nie znajdzie jej męża, zawsze będzie ją miał na karku, na kolanach, płaczącą w jego koszulę. Niech to będzie ktokolwiek, byle nie on.

Nikt, rzecz jasna, nie mógł się dowiedzieć, że to Wynn płacił jej rachunki. Wdowa straciłaby szansę na cokolwiek innego poza niestosownymi propozycjami i zaproszeniami na przyjęcia o złej sławie. Te ostatnie mogłyby dostarczyć sporo rozrywki, ale nie męża.

Na szczęście wiedział, dokąd zabrać Bette, żeby ją ubrać - do zakładu, który niedawno otwarto, nie mógł więc mieć zbyt wielu klientów. Właścicielka z wdzięczności nie będzie zadawała kłopotliwych pytań ani rozpowiadała jego sekretów. Musiał tylko przekazać lady Lynbrook w zręczne dłonie Madame Michaeli, a potem odejść na godzinę czy dwie. Albo trzy. Jeśli Michaela ubierała lady Torrie, była najodpowiedniejszą osobą, żeby wystroić Bette, chociaż lady Torrie wyglądałaby wspaniale we wszystkim. A jeszcze lepiej bez niczego.

- Wynn, omal mnie nie przewróciłeś - poskarżyła się Bette. - Uważaj, jak chodzisz.

W przymierzalni była Torrie z podręczną Madame, Tiną. Wszystkie notatki z przymiarek zginęły w ogniu, trzeba więc było zrobić je od nowa. Nudne zajęcie, w dodatku Torrie nie była zdecydowana co do dekoltu nowej sukni. Za płytki - i będzie wyglądała jak każda młoda kobieta na rynku matrymonialnym. Za głęboki - i będzie przypominać damę z półświatka. Gdzieś pośrodku znajdował się do-

skonały punkt, żeby przyciągnąć czyjeś oko, jeśli nie zwróci jego uwagi złocisty materiał, który wybrała.

Na szczęście przysłał liścik z kolejnym bukietem fiołków, przepraszając za swoją śmiałość w parku i błagając, by zapomniała o całym incydencie. Odpowiedziała, przepraszając za swoje zachowanie i prosząc, żeby on także o nim zapomniał. Pewnie całkiem zapomniał i o niej, gdyż od tamtego czasu przepadł jak kamień w wodę. Przyrzekła sobie, że nie zapomni jej w sukni, którą miała włożyć na bal dobroczynny pani Reese.

- Odrobinę niżej - poleciła Tinie.

Zabrzączał dzwonek przy drzwiach frontowych i Torrie usłyszała, jak Madame Michaela wita nowego klienta. Słyszała każde słowo.

- **Monsieur**, co za przyjemność. Miałam nadzieję, że pan przyjdzie, żebyśmy mogła panu raz jeszcze podziękować. Co bym zrobiła, gdyby nie pana hojność i dobroć? Powiadam panu, moje dziewczęta i ja trafiłybyśmy na ulicę i obszywały chusteczki za pół pensa. Pan jest moim zbawcą, moim **chevalier très galant**, szarmanckim rycerzem. - Na wypadek, gdyby nie zrozumiał jej francuskiego akcentu, dodała: - Moim bohaterem. Pan...

- Proszę, **madame**, wystarczy - usłyszała znajomy głos. A więc to on pomógł krawcowej!

Uśmiechnęła się do siebie, wzruszona jego szlachetnością. Potem powiedział: - Przyszedłem, aby prosić o przysługę.

- Dla pana, **monsieur**, wszystko.

- Moja przyjaciółka potrzebuje nowej garderoby. Uśmiech zbladł na ustach Torrie. Przyjaciółka?

- Widzę. To znaczy, **oui**. Z największą przyjemnością.

- Paru sukienek będzie potrzebowała możliwie szybko.

- Dla pańskiej przyjaciółki nic nie jest niemożliwe.

Torrie wiedziała, że musi zapłacić za nową suknię dodatkową sumę, chcąc, żeby była gotowa na czas, ponieważ szwaczki na nowo wykonywały połowę poprzednich zamówień.

- Zapłacę, oczywiście, za pośpiech.

On zapłaci? Nie wspomniał, że to jego siostra czy kuzynka potrzebuje nowej garderoby, tylko przyjaciółka. Żaden mężczyzna nie kupował przyjaciółce ubrań. Na Boga, mógł kupić książkę albo wachlarz. A żadna szanująca się kobieta nie przyjęłaby od dżentelmena nic więcej niż parę rękawiczek. Ale on mówił o sukniach, o tym, że mają być skromne, ale nie bezbarwne, modne, ale niezbyt śmiałe. Innymi słowy, przyzwoite. Torrie żałowała, że nie może się przyjrzeć owej kobiecie, która chichotała cicho, ale nie chciała zdradzić przed Tiną zbytniego zainteresowania, a już z pewnością nie marzyła o tym, aby zobaczyli ją lord Ingall i jego *chere amie*, drogi przyjaciel.

- Świetnie - odparł Wynn. - Widzę, że doskonale mnie pani rozumie. Mogę spokojnie powierzyć lady Lynbrook pani doświadczonej ręką.

Lady Lynbrook? Torrie odwróciła się tak szybko, że miara wypadła Tinie z ręki. Jego dawna kochanka? Jego kolejna, dawna kochanka? Nic dziwnego, że był zbyt zajęty, żeby do niej zajrzeć, skoro dzielił czas między baronową a dziewczyną z kasyna! Baronowej właśnie kupował nową suknię. Nie, całą garderobę. A w parku pocałował Torrie, lubieżny rozpustnik. Żałowała, że nie kopnęła go mocniej.

Potem usłyszała brzęk dzwonka, kiedy wychodził, i wciągnęła głęboko powietrze. Robiła to znowu - wyciągała pospieszne wnioski, nie znając wszystkich faktów. Może

było jakieś wyjaśnienie, tak jak wtedy, kiedy sama znalazła się w ramionach Boyce'a. Wszelkie wątpliwości powinna policzyć na korzyść lorda Ingall, uznała, ale owe wątpliwości żłobiły bruzdy na jej czole. Nie mogła sobie wyobrazić przyzwoitego powodu, dla którego samotny mężczyzna miałby wyposażać kobietę w stroje, chyba że byli zaręczeni i mieli się pobrać.

Może Wynn przez te lata szczerze kochał ową damę. Zabiwszy jej męża, musiał uznać, że nie jest jej godzien. Podczas gdy ona pograżała się w biedzie, on zwlekał z powrotem, póki nie dowiódł swojej wartości, a teraz chciał złożyć serce i majątek u jej stóp. Teraz wreszcie mogli się połączyć. Nie, to była intryga z powieści, którą Torrie kazała służącemu oddać do wypożyczalni, kiedy sama udała się na przymiarę. Poza tym nie zauważyła w gazetach żadnego ogłoszenia o zaręczynach.

- Obniż dekolt jeszcze o cal, Tino. Kiedy Wynn wrócił do swojej kwatery w Kensington, czekał na niego nie list, ale posłaniec w liberii. Jej barwy wydawały się mu znajome, a niech to. Bratowa, jak można sądzić, znudziła się czekaniem na jego oficjalną wizytę.

Lady Ingall, jak wyrecytował starannie służący, oczekiwała lorda Ingall na kolacji w rezydencji Ingramów dziś wieczór, przed teatrem.

Oczekiwała z radością, oczywiście. To był bardziej rozkaz niż zaproszenie, ale Wynn postanowił je przyjąć. I tak musi wkrótce stanąć twarzą w twarz z Marissą, jeśli chce odzyskać dom w mieście, sygnet czy służbę w liberii. Jako głowa rodziny miał świadomość, że nie okazał Marissie kurtuazji. Jej częste listy przypominały mu o tym obowiązku.

Lepiej już mieć to nieprzyjemne zadanie z głowy. Poza tym Marissa nie wygłosi kazania w teatrze czy podczas posiłku, przy służbie, tak więc będzie miała jedynie trochę czasu przed kolacją, żeby paplać o obowiązku, przyzwoitości i drogim Rogerze, który dostał udaru mózgu w trakcie wygłaszania mowy w parlamencie. Wynn stwierdził, że może przyjść tuż przed kolacją, żeby ten czas jeszcze skrócić. Może zapomni o tym punkcie, że musi zadbać o dziedzica tytułu. Prędzej świnie zaczną latać. Może jego przyjście ułagodzi Marissę. Zaczną latać brzuchami do góry.

Ale mogła okazać się przydatna. Bywali u niej ludzie z najwyższych sfer, politycy i inni, zanim umarł jego brat. "wątpił, żeby zrezygnowała z wpływów, tak samo jak nie zrezygnowała z rezydencji Ingramów. Sądził, że mogłaby okazać się pomocna w przywracaniu Bette na łono socjety, jeśli zgodziłaby się pomóc. Zaczną latać brzuchami do góry na plecach wielbłądów.

Wynn zawsze lubił teatr. Uznał, że dramat, w którym nie jemu przypadałaby główna rola, może być całkiem przyjemny. Usiądzie wygodnie i da się ponieść cudzej tragedii, zapominając na chwilę o konieczności znalezienia męża dla Rosie, obietnicy znalezienia męża dla Bette oraz o swojej niechęci wobec tego, by lady Torrie znalazła jakiegoś męża -Boyce'a czy kogokolwiek. Wolał oglądać głupi romans Romea i Julii niż borykać się z własnymi myślami.

Być może ono także przyjdzie dzisiaj do teatru. Nie Julia - nie miał pojęcia, co dziś grają - lecz lady Torrie. Większość ludzi z towarzystwa, w wieczorowych strojach, bywała w teatrze. Ujrzenie córki hrabiego w pełnej gali warte było narażenia się na złośliwości bratowej.

Polecił służącemu zawiadomić panią, że przyjdzie. Służący wydawał się zdziwiony, że Wynn uważa, iż ma wybór, ale skłonił się i wyszedł.

Teraz pozostało tylko uzbroić się w cierpliwość, by wysłuchać kazania Marissy, nie przejmując się docinkami, oraz ubrać się stosownie do jej wysokich wymagań. Na szczęście list do dawnego kamerdynera lorda Lynbrook przyniósł natychmiastowy skutek. Edsall, służący barona, okazał się wysokim, chudym mężczyzną o skórze tak białej, jakby wszystkie te lata spędził w krypcie obok zmarłego pracodawcy. Wydzielał zapach, jakby go zakonserwowano w alkoholu. Jąkał się, trząsał i nie był w stanie spojrzeć Wynnowi w oczy. Jak, do diabła, miał go ogolić, zastanawiał się Wynn, skoro nie mógł na niego patrzeć? Potem zauważył, że kolana mężczyzny stukały o siebie. A niech to, ten człowiek się bał - Homera? Nie, pies machał ogonkiem, a służący nie zwracał na niego uwagi.

Barrogiego nie było w pobliżu, nie zostawił też sztyletu, tak: mogło chodzić tylko o Wynna.

Nieszczęśnik bał się jego! Prawdopodobnie pił całe popołudnie, żeby zdobyć się na spotkanie z mordercą Lynbrooka. Niech to diabli.

Odesłał Edsalla, zanim ten zemdłał. Mógłby zniżyć się do oczekiwań mazgaja i przyłożyć mu pistolet do głowy, każąc zawiązać sobie fular, ale wtedy mężczyzna mógłby zachować się jak Homer, kiedy się czegoś przestraszył. Poza tym Wynn zabezpieczył się na tę okoliczność, gdyby znowu lub nadal nie miał kamerdynera. Poprosił Madame Michaełę, by zawiązała mu elegancki węzeł - z taśmami, które mógł umieścić z tyłu, pod kołnierzykiem.

Taki fular odpowiadał wymaganiom Marissy, a Wynn mógł go sam z łatwością umocować.

Leżał w kącie, w pudle na kapelusze - Homer mościł sobie właśnie wygodne legowisko na śnieżnobiałym płótnie.

- Widzę, że nadal jesteś niechlujny - powitała go Ma-rissa, kiedy lokaj wprowadził go do salonu.

18

To byli jego lokaj, jego dom i jego najbardziej udana próba węzła wschodniego. Nawet jeśli sprawiał wrażenie węzła przypadkowego, Marissa nie powinna tego mówić. Ale maniery, dobre wychowanie czy niewtrącanie się w sprawy innych ludzi nie liczyły się nigdy w oczach jego bratowej. To ona, bardziej niż inni, uważała, że jego młodzieńcze wybryki odbiją się na karierze politycznej jego brata. To właśnie ona przekonała ojca Wynna, żeby wysłać go z kraju, nie stawiając czoła zarzutom i potwarzom.

- I ja ci życzę przyjemnego wieczoru, Marisso. Dobrze wyglądasz. - Nigdy nie wyglądała dobrze, teraz jednak stała się dostojną matroną. Nosila żałobę, chociaż Roger nie żył od ponad roku, ale łagodziła ją białą koronką i długim sznurem pereł, należących do jego matki. Nadal zezowała, co oznaczało, że jak dawniej próżność nie pozwalała jej nosić okularów.

Mimo słabego wzroku najwyraźniej była w stanie ocenić negatywnie wygląd Wynna. Pociągnęła nosem, wysunęła dwa kościste palce na powitanie i oznajmiła:

- Widzę, że muszę przysłać ci Reddinga.

Redding był dawnym kamerdynerem Rogera i Wynn gwałtownie zapomniał o urazach. Trzymał jej dłoń dłużej, niż trzymałby zdechłego pstrąga.

- Byłbym wdzięczny - odparł całkowicie szczerze.

Gdy tylko wdowa po Rogerze posadziła Wynn w pokoju egipskim, na kanapie z nogami w kształcie łap krokodyla, i dała mu kieliszek wina, nie tracąc więcej czasu, zaczęła wyliczać wszystkie jego przewiny i podsuwać gotowe rozwiązania. Wynn słuchał jednym uchem, rozglądając się dokoła. Kiedy tu mieszkał, nie mieli egipskiego pokoju. Wątpił, żeby jakiś Egipcjanin przebywał kiedykolwiek w podobnym pomieszczeniu - z bogami-szakalami podpierającymi stół, ozdobionymi hieroglifami wazami z papirusem i sarkofagiem w kącie sali, pod pomalowaną na zielono ścianą. Wynn zastanawiał się, ile ten Nil-w-Mayfair mógł kosztować i kto za to zapłacił, kiedy zmija ukąsiła. To jest, Marissa wypowiedziała słowo-truciznę, które ostatnio słyszał aż nazbyt często: małżeństwo. Zmusił się, żeby słuchać uważniej.

Marissa najwyraźniej uważała małżeństwo za jedyny sposób, w jaki Wynn mógłby odzyskać poważanie w społeczeństwie. Nieważne, że nie był w ciąży, jak Rosie, ani też nie uważano go powszechnie za rozwiązłego i niemoralnego, jak Bette, i tak był zakałą i mógł uzyskać zbawienie, jedynie żeniąc się z kobietą bez zarzutu. Zdaniem Marissy żadna z jego zwariowanych przyjaciółek się do tego nie nadawała.

- A jeśli sądzisz, że ta kapryśna dziewczyna, Keyes, będzie cię chciała, to się nie łudź. Duchamp nie potrzebuje twoich pieniędzy.

Wynn zmarszczył brwi, choć Marissa nie mogła tego zauważyć. Nie, pomyślał, Tonie nie była kapryśna. Zechciałaby go, przecież o to prosiła. A wbrew temu, co sądziła Marissa, miał właściwej kobiecie więcej do zaoferowania niż pieniądze.

Marissa uważała ponadto - poza tym, że jej zdaniem, ten monstrualny pokój-muzeum był przyjemny czy wygodny - że jej kuzynka, Deanna, świetnie by do niego pasowała. O ile Marissa nie ukryła dziewczyny w sarkofagu, Wynn przypuszczał, że zgodnie z oczekiwaniami Marissy powinien przystać na to, nawet nie widząc kandydatki do jego ręki.

Deanna, panna Herman, miała ponoć wszystkie cenne przymioty, jakich mężczyzna mógłby pragnąć u żony.

- Moja kuzynka ma dobre maniery, przyjemną powierzchowność i nie jest pretensjonalna.

Istotnie, Marissa miała dość pretensji, żeby starczyło za całą rodzinę.

- Ma znakomite pochodzenie, z tytułami po obu stronach drzewa genealogicznego.

Wynn przypominał sobie o irlandzkiej stadninie lorda Duchamp. I o starym powiedzonku, że jeśli komuś nie podoba się stajnia, nie powinien kupować klaczy.

- Deanna zna ten dom i majątek i świetnie sobie ze wszystkim poradzi - ciągnęła Marissa.

Czyli że dziewczyna od lat żyła z jego pieniędzy i pozwoli rządzić się Marissie.

- To przyjemna, zgodna młoda kobieta, która nie będzie robiła scen ani wtrącała się do twojego życia w jakikolwiek sposób. Nie będzie miała ci za złe, cóż, drobnych słabości, którym mógłbyś ulec.

- Czy chcesz powiedzieć, że nie miałaby nic przeciwko temu, żebym trzymał kochankę albo dwie? - zapytał Wynn.

- Będzie potulną, słodką zoneczką, która zadowolili się prowadzeniem domu, wychowywaniem moich dzieci i wydawaniem moich pieniędzy?

- Wiedziałam, że potrafisz myśleć rozsądnie.

- Czarno widzę przyszłość, pani. Czemu myślisz, że chciałbym mieć żonę, którą obchodziłbym tak mało, że zgadzałyby się dzielić moim uczuciem i łóżkiem?

- Nie bądź wulgarny, Ingall. Wynn nie zwrócił na to uwagi.

- A ja chciałbym, żeby to miało znaczenie. W gruncie rzeczy chciałbym, żeby wpadała w złość i była wulgarna na samą myśl, że mógłbym mieć kochankę... tak jak ja bym się zachował, gdyby moja żona znalazła sobie kochankę. Chcę, żeby miała uczucia i brała udział w całym moim życiu, włącznie z łóżkiem. Nie związę się z żadną kobietą, dla której nie będę odpowiednim kochankiem i która nie podejdzie do tego z entuzjazmem.

Oburzone sapnięcie Marissy zdradzało wszystko o jej własnym małżeństwie z Rogerem, nieszczęsnym biedakiem.

- Nie zgadzam się na małżeństwo, które jest zimne i w którym małżonkowie są dla siebie tylko uprzejmi, bez względu na to, czy jest wygodne, szacowne, czy *a la mode* -zakończył Wynn.

Marissa rzuciła mu krzywe spojrzenie.

- Widzę, że zastanawiałeś się nad tym. Do licha, musiał.

Kolacja była wyśmienita.

Kuzynka Deanna okazała się doskonale nijaka, a rozmowa z nią mało zajmująca.

A Wynn nie posiadał się ze zdumienia. Czy naprawdę rozważał...? Czy rzeczywiście się zastanawiał...?

Do diabła, nie potrafił zawiązać fularu, a co dopiero mówić o takim węźle.

Poza tym wciąż o nim plotkowano, a on nie wiedział, co ze sobą zrobić... i lady Torrie nadal wydawała mu się księżniczką. Siedziała w łoży niedaleko od nich. Włosy miała upięte wysoko na głowie i ujęte w złotą siateczkę, z wyjątkiem paru krętych kosmyków, które spływały jej po szyi, dotykały uszu, pieściły policzki, kierowały wzrok ku miękkim, różowym, stworzonym do pocałunków wargom.

Boże, pomyślał, zapowiadała się kolejna długa noc, a sztuka nawet się jeszcze nie zaczęła.

Nie udało mu się skupić na scenie, ponieważ Marissa wygłaszała swój monolog. Wynn domyślał się, że słabo widzi aktorów, ale lornetka operowa, wówczas powszechnie w użyciu, pozwoliła jej przyglądać się innym widzom, nie zdradzając jej kiepskiego wzroku. Lady Phillips sprawiała dziwne wrażenie w pomarańczowym turbanie. Towarzysz Susanne Loft pochodził z młodszej gałęzi klanu Merrick. Sir Reginald dzielił łożę z...

- Nie patrz tam, Deanno. I tak dalej.

Przed pierwszym antraktem Wynn orientował się w drzewie genealogicznym połowy obecnych i straszliwie bolała go głowa. Kuzynka Deanna wyglądała jeszcze gorzej.

- Źle się pani czuje? - zapytał uprzejmie w nadziei, że uda się skrócić męczący wieczór. Nie miał nic przeciwko dziewczynie, tylko nie chciał, żeby przewróciła się na niego, mdlejąc.

- Odrobinę kręci mi się w głowie - odparła. - Ale nic mi nie jest.
- Naturalnie - oświadczyła Marissa, jakby same jej słowa mogły to sprawić. - Tak tu duszno w tych
łożach, że dziwne, że wszyscy nie mdleją. Zabierz ją na korytarz, In-gall, żeby odetchnęła, i przynieś
jakąś lemoniadę. Nie, ty płacisz. Przynieś szampana.

Wynn podejrzewałby intrygę, żeby zostawić go sam na sam z panną Herman, gdyby nie to, że
dziewczyna rzeczywiście źle wyglądała i spacerowała w holu możliwie jak najdalej od niego. Kiedy
chciał ująć ją pod ramię, odsunęła się gwałtownie. Chyba ona też się go bała?

- Marissa nie przekonała pani chyba, że jestem awanturnikiem, kuzynko Deanno?

- Ależ skąd. - Mimo to ścisnęła szal na ramionach, jakby stanowił tarczę.

- Czy zatem uraziłem panią? Pokręciła głową, zaciskając usta.

- Nie jest pani niedobrze? Znowu pokręciła głową.

Wynn rozejrzał się za najbliższymi drzwiami, ale wszystkie klatki schodowe i korytarze były
zapchane widzami, którzy chcieli rozprostować nogi. Znalazł mniej zatłoczone miejsce przed
niezajętą lożą i tam ją skierował.

- A zatem, w czym rzecz? Nie mogę pomóc, jeśli nie wiem, co panią martwi.

Wpatrywała się we własne stopy, szczerzej otulając się
szalem.

- Nie chcę za pana wyjść - szepnęła w końcu.

- Tylko tyle? - roześmiał się. - Chyba więc jest pani jedyną niezamężną kobietą w Londynie, która
tego nie chce.

139 - Diamentowy klucz

- Ale Marissa mówi...

- Dużo więcej niż powinna. A teraz proszę się uśmiechnąć, bo plotkarze oskarżą mnie, że czymś panią uraziłem. Może być pani pewna, że nie zamierzam prosić pani o rękę, niezależnie od tego, co mówi Marissa. Nie decyduje o moim losie, takjak, przypuszczam, decyduje o losie pani.

Dziewczyna zdobyła się na blady uśmiech. Poczowała wyraźną ulgę.

- O, tak. Jestem całkowicie zdana na jej łaskę.

- Robi to dla własnych celów, w to nie wątpię. Proszę mi powiedzieć, czy jest jakiś dżentelmen, którego pragnie pani poślubić i stąd pani lęki?

Zaczerwieniła się, ale jej usta uśmiechnęły się, gdy pomyślała o ukochanym.

- Howard.

Wynn nie znał żadnego Howarda, ale ucieszył się, widząc, jak jej oczy zalsniły na samą wzmiankę tego imienia. W tej chwili wydawała się całkiem ładna.

- Ach, Howard. Jak rozumiem, Howard nie znajduje uznania w oczach mojej bratowej?

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Howard jest zwykłym wikarym, nie ma własnej parafii. Nie stać go na żonę, nawet gdyby Marissa się zgodziła.

- Ale pragnie się ożenić? To znaczy, czy chce panią poślubić?

- Oczywiście. Howard kocha mnie tak samo, jak ja jego.

Oto szczęśliwy człowiek, pomyślał Wynn, który wiedział, czego chce. Powołanie i wybrana przez niego kobieta. On sam nie osiągnął żadnej z tych rzeczy. Cóż, z problemem Howarda przynajmniej mógł sobie poradzić.

- W posiadłościach Ingallów jest wiele probostw. Gdzieś z pewnością musi być wakat. Mój sekretarz zajmie się tym jutro rano. Znajdziemy Howardowi prebendę, zanim upłynie miesiąc, a w czerwcu może już będzie pani panną młodą.

- Naprawdę? Zrobiłby to pan, dla mnie?

- I na złość Marissie. - Roześmiali się oboje. - Mogę nawet wydać śniadanie weselne.

- Moja kuzynka się myli. Jest pan prawdziwym dżentelmenem. Gdyby nie Howard, zagięłabym jednak parol na pana. - Wspięła się na palce i szybko cmoknęła go w policzek.

Oczywiście w tym samym momencie, w którym lady Victoria Ann Keyes wyszła z łoży.

Torrie zwykle cieszyła się teatrem, lubiła przedstawienia, podniecenie, które czuło się w powietrzu, hałaśliwy, rozbawiony tłum. Jej ciotka nie znosiła wszystkiego poza tym, co działo się na scenie.

Publiczność odbierała jako hałaśliwą i niegrzeczną, bardziej zainteresowaną tym, żeby się pokazać, niż obcowaniem z nieśmiertelną sztuką Szekspira. Większość z nich myślała, że Hamlet to wioska.

Tym razem zdecydowała się jednak towarzyszyć Torrie. Ale to nie znaczy, że miałyby pozwolić jej adoratorom nachodzić łożę podczas spektaklu, kazała więc lokajowi Duchampów, Hen-ry'emu, stanąć przed drzwiami i nie wpuszczać nikogo.

Za to na przerwie ciotka Ann posłała Henry'ego na dół, po napoje orzeźwiające. Lord Boyce, który tylko na to czekał, wetknął głowę do łoży, zanim inny adorator Torrie zdążył to zrobić. Uknuł nowy plan - Scarecrow, czekający przed teatrem, miał mu w nim pomóc. Powinien tylko wywabić dziewczynę na korytarz i zostać z nią sam na sam

przez minutę. Mógłby ją uderzyć w głowę, powiedzieć, że zemdląca, i znieść po schodach, zanim smok w postaci ciotki zauważyłby, że znikła. Zabrałby ją w miejsce, które Scarecrow znalazł pod Londynem, i trzymał tam, póki nie zgodzi się wyjść za niego za mąż.

W realizacji planu należało pokonać trzy trudności: skłonić pannę, żeby wyszła z łoży razem z nim, uderzyć ją na tyle mocno, żeby nie krzyczała, a potem znieść. Inaczej nic z tego. W oczekiwaniu na przerwę żuł swoje wieczorowe rękawiczki tak intensywnie, że zrobił w nich dziurę.

- Mam spacerować w holu z panem? - zapytała Torrie, starając się mówić możliwie cicho i uśmiechać na użytek tych, którzy się jej przyglądali. - Chyba nie. Po pańskim zachowaniu w parku dziwię się, że pan o to prosi.

- Ależ dlatego musi pani wyjść: żebym mógł złożyć należyte przeprosiny.

- Przeprosiny za co? - zainteresowała się ciotka Ann, gotowa natrzeć Boyce'owi uszu.

Torrie chciała uniknąć sceny, a także nie stracić z oczu Wynna, który wychodził właśnie z rodzinnej łoży Ingallów w towarzystwie tej kuzynki, którą lady Ingall opiekowała się w tym roku. Miała nadzieję, że zajrzy do niej i do ciotki podczas przerwy, ale zamiast tego przechadzał się z panną Deanną Herman. Pomyślała, że może powinna się przekonać, jak bliska zażyłość ich łączy, toteż przystała na towarzystwo Boyce'a - i praktycznie wpadła na nich, kiedy się całowali. Dobry Boże, całujący się kuzyni! Obróciła się na pięcie i pobiegła do własnej łoży, zostawiając za sobą lorda Boyce'a.

- Ciociu Ann, możemy już iść. Dość złego aktorstwa widziałam jak na jeden wieczór.

Nie mogę poślubić tego człowieka, papo.

Lord Duchamp odłożył z westchnieniem gazetę i fajkę.

- Oczywiście, że nie, kochanie. Zaraz, ale którego to mężczyzny nie poślubisz w tym tygodniu? Tylko pytam, rozumiesz, na wypadek, gdyby prosił mnie wpierw o pozwolenie. Biedak czułby się mniej niezręcznie.

- Wicehrabiego Ingall, oczywiście. Człowieka, o którym rozmawialiśmy cały tydzień.

- Ach, tego dżentelmena. Myślałem, że wycofał się z listy kandydatów. Czyżbym się mylił?

Torrie zlekceważyła pytanie, tak jakby życzenia wicehrabiego nie miały znaczenia.

- Jego nazwisko było na pierwszym miejscu. Teraz nie jest.

- Szkoda. Lubilem go. Sądziłem, że postanowiłaś go złapać. Uratował ci życie i tak dalej. - Wrócił do czytania gazety.

- Jestem, rzecz jasna, wdzięczna za to, co zrobił, ale mama miała rację.

- Zwykle tak jest - szepnął hrabia, słuchając jednym uchem. - Co do czego nie pomyliła się tym razem?

- Że nie powinno się wybierać męża przypadkowo. Lord Duchamp ponownie odłożył gazetę.

- Oczywiście, że twoja matka ma rację. Tylko głupia gęś wybrałaby męża tak, jakby wyciągała kartę z talii. To mąż, a nie sztuczka magiczna.

- Wiem, papo, i przysięgam, że nie wyciągnę po prostu losu z nazwiskiem z kapelusza. Mamie chodziło o to, że nie

powinnam zdawać się na los, szukając męża. Że powinnam poznać mężczyznę, jego charakter, stworzyć związek o solidnych fundamentach.

- Mądra kobieta ta twoja matka. Z wyjątkiem sytuacji, kiedy coś ją ugryzie i wyjeżdża do Yorku w środku sezonu. Muszę przyznać, liczyłem na to, że zdecydowałaś się na Ingalla i będziemy mogli wrócić do domu, gdy tylko zrobisz z tym porządek.

- Wiem, papo, ale lord Ingall nie wydaje mi się odpowiedni. Brakuje mu moralnych zasad.

- Nie słuchałaś chyba plotek sprzed sześciu lat? Mówiłem ci, o tym pojedynku lepiej zapomnieć. Byłoby dobrze, gdyby to wicehrabia o nim zapomniał, a także o kobietach, dla których go stoczył. Nie zrobił tego i Torrie też nie mogła.

- Nie, papo, nie mówię o jego przeszłości, tylko o obecnych związkach.

- A jednak wierzysz plotkarzom? Wiesz, jak ludzie potrafią oczernić kogoś od stóp do głów dla zabawy, zwłaszcza kogoś tak niezależnego i dzielnego, jak wicehrabia.

- To nie są zwykłe plotki. Sama go widziałam z trzema różnymi kobietami, z każdą zachowywał się skandalicznie i to publicznie.

- Z trzema, na Boga? Mam nadzieję, że niejednocześnie. To znaczy, jesteś pewna, że były trzy?

- Całkowicie. Jedna w parku, druga u krawcowej, trzecia w teatrze. Kto wie, ile jeszcze kobiet obmacuje. - Torrie na nowo poczuła złość, że dodała własne imię do długiej listy.

Była zła, przygnębiona i tak rozczarowana, że mogłaby płakać - toteż całą noc płakała. Jej bohater okazał się hedo-

nistą, nie materiałem na męża. Niech idzie choć do piekła, ale ona za nim - bo jej na nim zależało.

- Obmacuje? Publicznie? Skinęła głową.

- Widziałam je na własne oczy, kobiety z różnych sfer. Kto wie, co im obiecuje, stroje od Madame Michaeli albo ślub? Nie wierzyłabym mu nic a nic.

- O nie, nie możesz wyjść za libertyna, Torrie. Odmawiam swojej zgody i to ostateczna decyzja. Nigdy nie wierzyłem w twoje ślubowania i całe to zawracanie głowy.

Torrie przełknęła ślinę z trudem, wiedząc, że zawiodła oboje rodziców.

- Papo, zawsze mnie uczyłeś, że człowiek godny szacunku to taki, którego słowu można zaufać.

Teraz jej ojciec wydawał się zakłopotany. Wyglądał brzegi wcale niepogniecionej gazety.

- Tak, ale mówiłem o umowach między dżentelmenami, pieczętowanych uściskiem dłoni i tak dalej.

- Czy kobieta nie postępuje niehonorowo, łamiąc obietnice?

Lord Duchamp nie potrafił odpowiedzieć, sam więc zadał pytanie:

- Ale nigdy nie obiecałaś Ingallowi, że go poślubisz, prawda?

Torrie ślubowała, że wyjdzie za mężczyznę, który ją uratuje, ale nie złożyła takiego ślubu wobec Wynna, tylko go o to poprosiła. Na szczęście odmówił.

- Nie, i wątpię, żeby jego lordowska mość próbował domagać się dotrzymania słowa. - Wydawało się, że małżeństwo w ogóle go nie interesuje, chyba że mógłby mieć harem.

- A zatem wszystko jasne.
- Nie, nie jest jasne, papo. Powiedziałam, że wyjdę za mąż i zrobię to. Przynajmniej dotrzymam tej części przysięgi. Tylko pan młody będzie inny. Pójdę na bal do pani Reese, gdzie zbiorą się wszyscy kawalerowie z towarzystwa, i jednego wybiorę. Znam ich dobrze wszystkich, ich nałogi i konta w banku, nie kupię kota w worku.
- Ale wcześniej wszystkich odrzuciłaś.
- Nie jestem już taka wybredna. Spodziewałam się głupio, że ziemia zadrży, kiedy zjawi się mężczyzna moich marzeń. Teraz rozumiem, że czekałam na trzęsienie ziemi, a nie na męża z krwi i kości. Nie martw się, papo, wybiorę takiego, którego oboje będziemy mogli szanować, i mam nadzieję, że miłość także się pojawi.
- Jesteś pewna, kwiatuszku? Nie chciałbym, żebyś wybrała kogoś tylko po to, żebyśmy mogli szybciej pojechać do twojej matki.
- Jestem pewna. Poza przysięgą już dawno nadeszła pora, żebym zaczęła samodzielne życie i otworzyła własny pokój dziecięcy. - Którego mieszkańcy, ku jej żalowi, nie będą mieli oczu zielonych jak mech w lesie. Dotknęła diamentowego kluczyka na szyi, po czym szybko opuściła rękę.
- Módl się o synów, kwiatuszku. Nie postarzejesz się przez nich przed czasem, tak jak ja.
- Co za niedorzeczność. Wciąż jesteś w sile wieku. Cóż, założę się, że wszystkie damy u pani Reese ustawią się w kolejce, żeby z tobą zatańczyć, szczególnie że mamy nie ma.
- Bal u pani Reese? - Otworzył usta ze zdumienia.
- Naturalnie. Skoro nie wyjdę za lorda Ingall, nie chcę też jego towarzystwa. Będziesz musiał ze mną pójść.

- Ja? Do licha. Możesz zabrać Henry'ego i pięciu innych lokai.
- Ale musisz być pod ręką, żeby dać błogosławieństwo i oficjalnie ogłosić zaręczyny. -1 po to, żeby Torrie nie mogła się wycofać, dokonawszy wyboru, ale tego nie dodała.
- Lord Duchamp ukrył twarz w dłoniach, mruczając coś o córkach, zębach węża i plagach egipskich. Torrie nie rozumiała, na co się skarżył. Ostatecznie to ona musiała wybrać mężczyznę, który był mniej bohaterski niż lord Ingall. Mniej pewny siebie, mniej samodzielny niż lord Ingall. Mniej podniecający i pociągający niż lord Ingall. Najgorsze ze wszystkiego było to, że kiedy już dokona wyboru, musi poślubić mężczyznę, który nie będzie lordem Ingall.
- Żałuję, panie - oznajmił majordomus Keyesów - ale pań nie ma w domu.
- Wynn wiedział, że są. Barrogi i jego pomocnik śledzili dom. Wyjął monetę z kieszeni.
- Mallen, czy tak? Mam wrażenie, że już to przerabialiśmy.
- Mallen popatrzył na monetę i na hojnego, prawdziwie dżentelmeńskiego dżentelmena i z żalem pokręcił srebrzystą głową.
- Czy lady Torrie źle się czuje? Czy jest u niej jakiś kawaler? Bierze kąpiel? - Wynn mógł poczekać. Teraz, kiedy już zdecydował się przyjść, nie zamierzał odejść, nie wypowiedziawszy swojej kwestii. Nieszczęsny, oddany lokaj mógł tylko ponownie pokręcić głową. Otrzymał stosowne rozkazy.
- Ach... rozumiem. - To dla Wynna nie było jej w domu.

Homer nie zrozumiał. Śmignął między nogami Mallena i pragnał dalej korytarzem. Szczekał pod drzwiami porannego salonu, póki się nie otworzyły.

Torrie wyjrzała na zewnątrz.

- Och, lord Ingall. Właśnie pisałam do pana list.

- Może pani oszczędzić sobie wysiłku. Jestem tutaj, jak pani widzi.

Widziała przed sobą ostatnią osobę na ziemi, którą chciałyby zobaczyć, i to wbrew wysiłkom, żeby nie wpuścić go do domu i wyrzucić ze swoich myśli. Mallen kiwał głową uspokajająco. Torrie życzyła Wynnowi nagłej śmierci, podobnie jak starym sługom, którzy sądzili, że wiedzą wszystko lepiej niż ich pracodawcy.

- Sądzę zatem, że powinien pan wejść.

Nie było to, ściśle mówiąc, powitanie, jakie wyobrażał sobie Wynn, wybierając się z wizytą, ale wszedł za Homerem do pokoju.

- Przyniosę herbatę - powiedział Mallen. Zostawił drzwi uchylone, tak jak należało, choć nie dopełniono wymogów etykiety, jako że ciotki nie było w pobliżu.

Torrie w haftowanej muślinowej sukni wyglądała jak bukiet kwiatów, pomyślał Wynn, siadając na wskazanym krześle, naprzeciwko małego biurka. Pachniała nawet wiosną - słońcem i kwiatami. Zatkąła buteleczkę z inkaustem, wygładziła kartki papieru, schyliła się, żeby pogłaskać psa, a potem dotknęła diamentowego amuletu na szyi. Denerwowała się tak samo, jak on, uświadomił sobie Wynn, próbując oderwać oczy od miejsca, w którym amulet spoczywał na kremowej skórze. Dlaczego miałyby się niepokoić, skoro nie wiedziała, po co przyszedł?

- Lady Torrie... - zaczął.

- Lordzie Ingall, ja... - powiedziała jednocześnie.
 - Proszę mówić.
 - Nie, pan pierwszy.
 - Dobrze. - Wynn odchrząknął. - Przyszedłem z trzech powodów. Po pierwsze, chciałem wyjaśnić, co się stało zeszłego wieczoru, ponieważ wyszła pani, zanim zdążyłem ją przedstawić panie Herman.
 - Nie potrzeba żadnych wyjaśnień. Nic mi do tego, co pan robi w teatralnym foyer.
- A zatem, stwierdził Wynn, ma do niego zaufanie! Doskonale.
- Po drugie, chciałem zapytać, o której godzinie mam zabrać panią i pani ciotkę na bal do pani Reese. Torrie wyprostowała się, gdyby wyprostowała się jeszcze bardziej, pękłby jej kręgosłup.
 - Tak jak próbowałam właśnie napisać w liście, nie poszłabym z panem na pogrzeb, chyba że pański, a tym bardziej na bal. Nie życzę już sobie nigdy więcej oglądać tak niegodziwego, pozbawionego honoru łotra, jak pan. Pani Reese także nie, gdyby poznała pana prawdziwą naturę. A teraz, zanim pan wyjdzie, jaki był trzeci powód?
 - Chciałem prosić panią o rękę.
 - Co? - niemal krzyknęła, powstrzymując się na czas, gdyż Mallen wkroczył do pokoju z ciężką tacą. W milczeniu zrobiła miejsce na stole i zajęła się ustawianiem talerzyków i filiżanek, dopóki staruszek nie wyszedł. Ale potem to nie herbata się poląła.
 - Łotrze! Nie wyszłabym za ciebie, choćbyś był ostatnim człowiekiem na ziemi! Słyszałam, jak obiecywałeś panie Herman ślub, a lady Lynbrook nową garderobę. Byłam wtedy na przymiarce u Madame Michaeli. Bóg jeden wie,

co naobiecowałeś tej biednej ciężarnej dziewczynie, szatanie o podwójnym języku, zbrodniarzu, zanim zacząłeś uwodzić mnie.

- Jesteś zazdrosna.

- Zazdrosna? O rozwiązłego kobieciarza? Ha! Nie muszę wychodzić za mąż za niegodziwca, który nie potrafi panować nad swoimi niskimi instynktami! Jakie to męskie. Zachowujesz się jak wiejski kocur, a potem oskarżasz mnie, że jestem zazdrosna. Wynoś się, razem ze swoim nędznym psem. - Rzuciła herbatnik w stronę drzwi, żeby zwabić tam przynajmniej Homera.

Wynn ruszył za nim, potem zatrzymał się, nie po to, oczywiście, żeby dostać okruchy.

- A co z losem i z tym, że jesteśmy sobie przeznaczeni?

- Podobno nie wierzysz w takie bzdury.

- A twoja obietnica? Cisnęła mu ciastkami w głowę.

Zmięty. Zwinięty w kulkę, rzucony na ziemię i kopnięty. To się stało z fularem. Z uczuciami Wynna było jeszcze gorzej.

Przekłeta kobieta. Przekłete wszystkie kobiety. Świat bez nich byłby lepszym miejscem. Pustym, ale lepszym. Przynajmniej byłoby wiadomo, na czym się stoi. Spędził całą noc, myśląc o małżeństwie, o tym, że to może nie najgorsza rzecz na świecie, tuż po utopieniu i poćwiartowaniu. W gruncie rzeczy uznał, że lepiej poślubić lady Torrie niżeli pozostać samemu i stać się zwierzyną łowną dla wszystkich panien na wydaniu i ich mamuś. Nie dbał o sukcesję, ale własne dziecko nie było złym pomysłem, zwłaszcza dziecko ze złotymi lokami Torrie i jej niebie-

skimi oczami. Mógł myśleć tylko o niej i jej oczach - i jej ustach, i uśmiechu, i ciepłe jej ciało w jego ramionach - odkąd wyniósł ją z pożaru. Dlaczego nie mieliby się pobrać? Nie potrzebowała jego pieniędzy, pogodziła się już z jego przeszłością - i miał gwarancję, że przyjmie jego oświadczenia. To przecież ona pierwsza z tym wystąpiła, na Jowisza!

Kobiety! Ha! To nie to, co dobry, wierny pies. Musiał złapać Homera za obrozę i wyciągnąć z domu Duchampów, gdzie fruwały w powietrzu psie smakołyki.

20

Życz mi szczęścia, papo. - Torrie przerwała ojcu po raz kolejny. - Pozbyłam się tego okropnego człowieka na dobre.

- Którego tym razem?

- Wicehrabiego Ingalla, oczywiście. Dałam mu jasno do zrozumienia, że nie jest tu mile widziany. Krzyżyk na drogę.

Hrabia zerknął na nią sponad gazety.

- Jeśli taka jesteś z siebie zadowolona, kwiatuszku, to czemu płaczesz?

- Płacę? Nic podobnego - odparła, pociągając nosem. - Ten łajdak przyprowadził ze sobą swojego głupiego psa. Sierść tego kundla widocznie podrażniła mi oczy.

Lord Duchamp pomyślał o wszystkich psach, koniach i dzikich kotach w Dubron, które nigdy nie wywierały takiego wpływu na oczy córki.

- Twoja mama zawsze przecierała oczy chusteczką zmoczoną w wodzie lawendowej, kiedy płą... to jest, kiedy ją szczypały. Mogłabyś też to zrobić, jeśli wybierasz się do parku albo do kogoś z wizytą. Nie chcesz chyba, żeby plotkowano, że płą... to jest, że taka jesteś chorowita.

- Dziękuję, papo. Nie sądzę jednak, żebym chciała wyjść. Zanosi się na deszcz.

Dzień był pochmurny, jak na ogół w Londynie, co nigdy nie przeszkadzało Torrie w wyprawach do miasta.

- Chcesz oszczędzać siły na bal u pani Reese, tak? Śmiem twierdzić, że mądrze robisz, jeśli nadal jesteś zdecydowana, żeby tam znaleźć sobie męża.

- Naturalnie, że jestem. Mówiłam ci dziś rano. - Czemu nie? Torrie bała się, że nigdy nie znajdzie mężczyzny, który tak podziała na jej zmysły i tak poruszy jej serce, jak wicehrabia Ingall. Skoro jednak jej kolos stał, jak się okazało, na glinianych nogach, może zdecydować się na któregoś z mniej odstręczających kandydatów do ręki. - Nic się od tamtego czasu nie zmieniło. - Poza tym, że przysły jej nadzieje.

- Niech cię Bóg strzeże, moja droga. - I niech niebo strzeże jego, modlił się w duchu lord Duchamp, kiedy żona dowie się o najnowszym postanowieniu córki.

Wynn pstryknął palcami. Mógłby znaleźć narzeczoną tak szybko, pomyślał. Potem musiał podrapać Homera za uszami, bo niemądry pies uznał, że wołają go na spacer albo dają coś dobrego do jedzenia. Cóż, był bogaty i dobrze urodzony, a ponieważ wysiłki Boyce'a poszły na marne dzięki lordowi Duchamp i Marissie, przyjmowano go niemal wszędzie, poza Alma-

kiem, dokąd nigdy nie miał ochoty chodzić, a teraz także rezydencją Duchampów. Hrabia wprowadził go do klubu White'a i dopilnował, aby głosowano na jego korzyść, tak więc Wynn był obecnie członkiem tego ciała. Rozumując w jakiś pokrętny sposób, towarzystwo uznało, że członkowie klubu dla dżentelmenów muszą być dżentelmenami, toteż ponownie zaczęto uwzględniać go na listach zapraszanych gości. Albo może jego fortuna przysłoniła reputację. A może dlatego, że był kawalerem. Na półeczce nad kominkiem piętrzyły się zaproszenia na bale debutantek albo amatorskie wieczorki muzyczne, na których młode kobiety popisywały się swoimi talentami, tak jakby umiejętność gry na harfie stanowiła niezbędny atrybut przyszłej żony.

Nie, pomyślał Wynn, nie będzie mu trudno znaleźć odpowiednią żonę teraz, kiedy uznał, że przyszła na to pora. A lady Torrie, z tą swoją wyniosłością i wynajdowaniem wad u każdego mężczyzny, może tresować małpy w piekle.

Jakoś ta wizja mniej mu się spodobała, niż sądził. Podobnie jak myśl o uczestniczeniu w wieczorkach i balach. Miał jednak wybór. Mógł pójść do klubu, upić się i przegrać w karty majątek, co stanowiło stare i dobrze znane remedium na złamane serce. Jego oczywiście nie było złamane. Tylko lekko zranione. A raczej ucierpiały jego poczucie wartości i duma. Tyle dla niego znaczyła - znowu pstryknął palcami, wprowadzając w błąd złego kundla - lady Victoria Ann Keyes. Nie, pójdzie do White'a i znajdzie jakiegoś męża dla Bette, lady Lynbrook. Sprowadzenie nieszczęścia na innego mężczyznę wydawało się dużo ciekawszym sposobem na spędzenie wieczoru.

Najpierw musiał się ubrać. Raz przynajmniej miał pewność, że ubierze się zgodnie z panującą modą, jako że Marissa dotrzymała słowa i przysłała Reddinga. Dawny kamerdyner brata był perfekcjonistą, ideałem, jeśli chodzi o czyszczenie butów oraz przekonany o swojej racji zarozumiałcem. Dokładnie tego Wynn potrzebował.

Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w wieku zbliżonym do Wynna, miał starannie przygładzone blond loki i wysokie kości policzkowe.

- Przynajmniej jest ładny - zauważył Barrogi, kiedy czekali, aż Redding przejrzy garderobę nowego pracodawcy.

Redding zakołysał się na piętach, odął wargi i przemówił. Każde słowo wymawiał tak starannie, że syczące zgłoski świszczały w powietrzu.

- Tam, gdzie s służę, nie ma pssów. - Zagryzł wargi, patrząc na Barrogię. - I żadnych cudzoziemców. Żadnych ładnych mężczyzn.

Ani żadnego kamerdynera.

Zanim Barrogi zdążył zrzucić drania ze schodów, Wynn zapytał, od jak dawna pobiera pensję jako służący w rezydencji Ingramów.

- Od sześciu lat, panie.

- Chociaż mój brat nie żyje od dwóch? Redding zakołysał się w tył i w przód.

- Jestem zatrudniony jako pomocnik lady Ingall. Mariszę tak pochłaniało wtrącanie się w życie innych ludzi, że potrzebowała sekretarza? Przystojnego, silnego mężczyzny?

- A co takiego robisz dla mojej bratowej, jeśli mogę zapytać? Sądzę, że mam prawo wiedzieć, ponieważ to ja płacę twoje pobory.

Redding zakółsał się znowu, nie odpowiadając.

- Zajmujesz się korespondencją i kalendarzem imprez towarzyskich?

Redding skinął głową.

- Tak jest.

Wynn potarł policzek.

- I załatwiasz dla niej różne sprawy na mieście, a tylko towarzyszysz jej, kiedy wychodzi?

- Kiedy to konieczne. Również doradzam pani w sprawach mody, planuję jej podróże i czuwam nad wydatkami.

Wszystko razem zabrałoby około godziny dziennie.

- A co robisz w nocy? - zapytał Wynn.

Redding nie odpowiedział, co starczyło za odpowiedź.

- Grzejesz jej łóżko? -Ja...ja...

- Jesteś odważniej szym człowiekiem ode mnie, Redding. Powodzenia.

Wynn był zachwycony takim obrotem sprawy, mimo że został bez kamerdynera. Miał teraz kartę przetargową w rozmowach z Marissą, która jeszcze nie udzieliła błogosławieństwa Deannie i Howardowi. Ściśle rzecz ujmując, nie był to szantaż, ponieważ Wynn nigdy nie ujawniłby w towarzystwie, że niezwykle przyzwoita lady Ingall cieszyła się bardzo bliskimi stosunkami z dawnym kamerdynerem męża, ale Marissa nie musi o tym wiedzieć. Kiedy udał się do niej, żeby zawiadomić, że ukochany Deanny może objąć probostwo w St. Abner koło Caswell, poprosił ją również o przysługę. Czy zechciałaby zaprosić Bette na kilka swoich popołudniowych przyjęć w domu, wieczór karciany albo do łóżki - rodzinnej łóżki Wynna - w operze?

155 - Diamentowy klucz

161

Marissa spojrzała na niego, jakby wyrosły mu czułki na głowie.

- Najpierw namawiasz moją kuzynkę, żeby zmarnowała życie na zapadłej wsi, a teraz prosisz, żebym zabawiła kochankę Lynbrooka?

- Nie, jego kochanką była Rosie. Bette jest szacowną wdową po nim. Jeśli zaprosisz ją do rezydencji Ingramów, inne damy przekonają się, że nie jest ani rozwiązała, ani źle wychowana.

- Nigdy.

Wystarczyło, że Wynn powiedział: „rozumiem” z kpiącym uśmiechem na twarzy.

- Sądzę, że mogłabym ją zaprosić na podwieczorek któregoś popołudnia.

Wynn zakołysał się raz czy dwa na piętach, dotknął kłębu płótna pod szyją i uniósł brwi.

- Doskonale. Mała kolacja czy coś w tym rodzaju. Wynn uznał, że pomyślnie rozwiązanie jednej sprawy,

zasługuje na to, żeby z powodzeniem załatwić drugą. Jeśli Marissa sprawi, że Bette zostanie zaakceptowana, on może dopilnować, żeby Redding zyskał odrobinę więcej poważania.

Z panią Reese poszło łatwiej, choć nie obyło się bez ofiar. Żeby zapewnić Bette zaproszenie na bal, wystarczyło, że Wynn przekupił ją dachem na rzecz szkoły dla biednych dzieci. Kiedy jednak mała staruszka wypisywała zaproszenie, zamarła w pewnym momencie z piórem w ręce.

- Widzi pan, szkoła nie zda się dzieciom na wiele, jeśli będą zbyt głodne, żeby się uczyć. Kiedy zaczną pracować albo kraść z głodu, nie starczy im czasu na lekcje.

162

Przyrzekł więc sfinansować kuchnię i dbać o jej zaopatrzenie.

Posypała zaproszenie piaskiem, a potem pomachała nim, nie dając mu go do ręki, póki nie wyschło. W ten sposób został następnie fundatorem szpitala, który zapewnił dzieciom opiekę medyczną.

Może wyglądała jak stary troll, uznał Wynn, ale miała siłę słonia i spryt lisa. Pochodziła z utytułowanej rodziny, ale wyszła za mąż za człowieka z niższej sfery, choć zamożnego. Teraz jej krezus od handlu węglem leżał głęboko pod ziemią, a wdowa wkupiła się z powrotem w łaski towarzystwa. Jej zaproszenia ceniono wysoko, jej aprobata była niemal niezbędna dla udanego debiutu młodych dziewcząt. A za przysługę domagała się zapłaty.

Wynn, wychodząc, miał przy sobie zaproszenie.

I o wiele mniej pieniędzy niż wtedy, kiedy przyszedł.

Ponadto piastował jeszcze stanowisko kuratora szkoły, szpitala i sierocińca, które dodano, kiedy chował zaproszenie do kieszeni. Mogło być gorzej, uznał. Zażądano od niego tylko czasu, pieniędzy i umiejętności w celu uczynienia czegoś dla tych, dla których los okazał się mniej łaskawy. Dzięki temu zrobi więcej dobrego, niż siedząc w parlamencie i dyskutując z politykami, których interesowały tylko głupstwa. W dodatku mógł nauczyć się zarządzać swoimi dobrami i hodować doskonałej jakości bydło, jeśli tylko chciał.

Tak, stwierdził Wynn, przyszłość zapowiada się nie najgorzej. Ale najpierw musiał znaleźć męża dla Rosie.

Zrobił dobry początek, jeśli chodzi o znalezienie dla Bette odpowiedniego dżentelmena, tym lepszy że w klubach napomknął parę razy, że nie jest tak całkiem

pozbawiona majątku. Nie miał jednak pojęcia, gdzie szukać ojca dla dziecka córki Koryntu, bez względu na to, ile miałby za to zapłacić.

Rosie nie była, na szczęście, ani taka przygnębiona, ani tak skłonna do płaczu, jak poprzednio. Być może czuła się lepiej, ponieważ nie była przez cały czas sama, albo może dlatego, że sąsiedzi okazali jej teraz więcej szacunku. Kiedy jakiś chłopak z sąsiedztwa rzucił zniewagę pod jej adresem, Barrogi zaczął ostrzyć nóż. Od tamtej pory traktowano Rosie jak damę.

- Nie martw się, kochanie - powiedziała do Wynna. - Z pewnością wkrótce coś wymyślisz.

Jej wiara w niego była wzruszająca, ale czas naglił, ze względu na dziecko, a także bal u pani Reese, w związku z którym Wynn musiał znaleźć kamerdynera.

Był zdegustowany ofertami agencji braci Day. Ostatnio przysłano mu trzech kandydatów: jeden radził sobie tak świetnie, że swoim tubalnym głosem, od którego drżały szyby, obudził Wynna przed świtem. Drugi usiłował zająć się pielęgnacją psa, któremu nie spodobały się nożyce ani grzebienie. Trzeci wciąż próbował wina, sprawdzając, czy nie jest zatrute. A potem agencja przysłała zawiadomienie, że kończy działalność.

Człowiek, który znalazł własną drogę w życiu, powinien umieć zawiązać sobie chustę pod szyją, stwierdził. Poza tym był zdesperowany. Udał się więc do Rosie po nauki. Najpierw pokazała mu to na Barrogim, a stary łotr się zaczerwienił. Potem kazała Wynnowi ćwiczyć na Barrogim, który teraz parskął jak rozwścieczony koń. Następnie Wynn sam zaczął sobie wiązać chustę przed zmatowiałym lustrem. Wiązał i rozwiązał ich tyle, że starczyłoby dla całej szkoły

chłopców pani Reese, żeby wyglądali jak nieszczęśliwi mali dżentelmeni. Otarł sobie szyję, palce mu drętwiały, niemal dostał zeza, ale w większości wypadków udał mu się doskonały węzeł.

Prawie całe popołudnie przed balem spędził na przygotowaniach, czując się jak panna przed debiutem. Wszystko musiało być doskonałe. Nie mógł wydać się swojej bratowej, którą miał eskortować, niezręczny ani też zbyt śmiały i swobodny, żeby nie odgrzewać starego skandalu z Bette, która miała im towarzyszyć. Przekonanie Marissy, by wzięła Bette do swojej* karety, zajęło niemal tyle czasu, ile zawiązanie nienagannego węzła pod szyją. Gdyby nie była to karetka należąca do Wynna, wątpiłby w rezultat, niezależnie od Reddinga. Ponadto chciał wyglądać wspaniale, żeby pokazać pewnej lekkomyślnej osobie, że nie jest kimś, kogo można lekceważyć, i że podoba się innym kobietom.

Trzy godziny później był gotów do walki i do stawienia czoła lady Torrie, gotów znaleźć sobie narzeczoną.

Gdyby to strój zdołał człowieka, do rana się zaręczy. Jeśli nie, zawsze mógł polegać na swoim tytule i majątku.

Marissa przyjechała po niego z kuzynką wynajętym powozem, dokładnie o czasie. Wynn skomplementował stroje obu dam, choć w słabym świetle lampy widział jedynie ciemne futro i brylanty Ingallów, lśniące na szyi chytrej bratowej.

Kiedy przyjechali przed rezydencję Lynbrooków, Wynn poszedł po Bette. Nie była, naturalnie, gotowa. Czekał, poprawił koronkowe mankiety, sprawdził, czy łańcuszek od zegarka nie zaplątał się w guziki kamizelki oraz czy w ciągu trzech godzin nie odrosła mu broda - i to wszystko nie

ruszając głową, w obawie przed zrujnowaniem arcydzieła pod szyją.
I wtedy Bette przybiegła w kostiumie pasterki.

21

Czy to ma być jakaś maskarada?

- Oczywiście. Wszyscy wiedzą, że doroczny bal kostiumowy u pani Reese to najciekawszy punkt sezonu. Przypuszczam, że zostawiłeś maskę w powozie, choć sędzę, że stać cię na więcej niż wieczorowy strój i domino.

Stać go było na dużo więcej. Mógł wpaść w szal i udusić Bette, swoją bratową i Madame Michaelę, z których każda mogła mu powiedzieć, że ten bal to maskarada. Najbardziej ze wszystkich kobiet, rzecz jasna, obwinił lady Torrie. To ona pierwsza pchnęła go na tę drogę. Nie musiałby udawać szaleńca, gdyby położył ręce na szyi tej podstępnej, postrzelonej istoty.

Bette zakręciła się, ukazując koronkowe halki i czerwone pończochy, na jakie żadna pasterka nie mogłaby sobie pozwolić. Bette także nie. Wynn zapłacił za przeklęty kostium, od stóp do głów. A niech to!

Niemal wepchnął ją do karety, oznajmiając, że później do nich dołączy, że bez jego towarzystwa będą mniej rozpoznawalne. W świetle bijącym od rezydencji Lynbrooków zauważył, że Marissa miała na sobie, jak zwykle, czarny strój, ale tym razem w białe paski. Wątpił, żeby wielu spośród gości widziało zebnę, chyba że trzymano ją w królewskiej

menażerii, kostium Marissy był zatem dziełem przypadku. Pruderyjna i nieśmiała Deanna wyglądała poważnie w stroju mniszki. Nie miał wątpliwości, że jej Howard wystąpi jako mnich. Jakież to oryginalne. Co do Bette, każdy, kto ją kiedyś spotkał, rozpozna z pewnością jej chichot i bujne ciało, kołyszące się pod głęboko wyciętą, wiązaną na kokardy bluzką.

Maskarada. Stracił cały dzień, szykując się na jakiś przeklęty bal kostiumowy. Jediną rzeczą, na którą Wynn miał mniejszą ochotę niż tańczyć walca w eleganckim stroju, było robienie z siebie błazna. Co się dzieje z tymi ludźmi, czy nie mają nic lepszego do roboty niż bawić się jak dzieci? Czy to po to pracował tak ciężko, żeby wrócić do Anglii?

Zanim wynajęty powóz zatrzymał się przed jego mieszkaniem w Kensington, zdążył ściągnąć przeklęty fular, kaftan i prążkowaną kamizelkę. Zerwał z siebie białe satynowe spodnie, ledwie stanął w drzwiach.

- Pchły, co? - Barrogi machnął w stronę psa. - Mówiłem, że tak będzie.

- Nie pchły. Maskarada.

- Myślałem, że pan wie, *padrone*. Miał pan udawać zakochanego lebiegę, tak?

- Nie miałem. Ubrałem się jak angielski lord, którym, do diabła, jestem.

Wynn rozpiął kołnierz koszuli i zawiązał na szyi jedną z czystych, czerwonych chust Barrogiego.

Znalazł swoje ulubione skórzane spodnie i miękkie, powycierane buty. Potem ściągnął wzorzysty materiał z jednego z bocznych stolików, zwinął go i przewiązał sobie w pasie, pozwalając aby końce z frędzlami zwisały luźno. Wsunął do pochwy wysadzany drogimi kamieniami, ale ostry sztylet i przypiął

go do pasa. Żadnego kapelusza, rękawiczek, rubinowych spinek.

- Bez maski, *padrone*? Może pan pożyczyć moją. Wynn nie chciał się zastanawiać, na co Barrogiemu maska.

- Nie, pora, żeby te apatyczne imitacje arystokratów ujrzały prawdziwego Wynna Ingrama. Żadnych kostiumów i żadnych masek. Jeśli się im nie spodoba, niech ich piekło pochłonie.

- Powieszają nas za to, stary durniu.

- Zamknij się i wkładaj maskę. Nikt na nas nie zwróci uwagi w tłumie.

- Kim więc mam być?

W świetle osłoniętej lampy Boyce spojrział na swojego towarzysza wściekłym wzrokiem.

- Masz szukać dziury w żywopłocie, żebyśmy nie musieli wspinać się po ścianach. A i tak wyglądasz jak cmentarny złodziej.

- W porządku. To bardziej popłatne zajęcie niż bycie grabarzem. A gdy już o tym mowa, nie dostaję pieniędzy za czołganie się w błocie za domem jakiejś arystokratycznej dziewczki. Zauważyłem, zresztą, że w ogóle nie dostaję żadnych pieniędzy.

- Do czorta. Mówiłem, że zapłacę, jak tylko zgarniemy dziewczynę. W ten sposób lepiej to załatwimy.

- Tym razem to Scarecrow miał być tym, który uderzy lady Tor-rie w głowę i zanieś ją do wozu czekającego za stajniami. Lord Boyce musiał tylko zwabić ją do ogrodu, na którąś ze źle oświetlonych ścieżek. A wtedy capną ją i wsadzą do worka, który Scarecrow upchnął w spodniach. Boyce, zgod-

nie z planem, miał odegrać bohatera, ratując ją. Jeśli nie okazałaby należytej wdzięczności, udadzą się do opuszczonej chaty. A gdy nadal nie zechce go poślubić po tym, jak zostanie gruntownie skompromitowana, Boyce zamierzał wyciągnąć od jej ojca ładny okup. Będzie musiał popłynąć w podróż morską, to jasne, ale ci dusigrosze, jego wierzyciele, i tak wyprawiliby go na morze - bez statku.

- Nie wyjdzie z panem, pamięta, jak było ostatnim razem.

- Wyjdzie, jeśli mnie nie pozna. - Boyce występował jako rycerz z dawnych czasów, w kolczudze, hełmie z przyłbicą i lancą, którą dźgał cisowy żywoptot.

- A jak pan rozpozna dziewczynę, skoro wszyscy będą przebrani?

To było łatwe. Lady Torrie będzie miała wszystkich łowców posagu u swoich stóp.

Nazwisk nie anonsowano przy wejściu, rzecz jasna, jako że była to maskarada, jednak Torrie i jej ojciec zatrzymali się na szczycie schodów prowadzących do sali balowej. Ponieważ przyszła w towarzystwie ojca i z ciotką w charakterze przyzwoitki, a oboje odmówili założenia maski zakrywającej choćby pół twarzy, Torrie także jej nie włożyła. Nosila nawet swój powszechnie znany diamentowy kluczyk. Chciała, żeby wybrany przez nią dżentelmen oświadczył się jej, a nie nieznannej nimfie czy Cygance. Nie była to także odpowiednia pora, żeby flirtować z tymi dżentelmenami, których nie mogła rozpoznać. Ukradkowe spojrzenia, tajemnicze uśmiechy, dreszcz niepewności, czy to właśnie ten, czy pod maską kryje się twarz, którą pokocha - ten dreszcz dawno i bezpowrotnie zniknął.

- Uśmiechnij się, kwiatuszku, twój dwór czeka.

Tłum na dole zwrócił uwagę na nowo przybyłych i gromada kawalerów, Rzymian i Robin Hoodów, ruszyła w ich kierunku.

- Jak konie wyścigowe na starcie - szepnęła ciotka Ann, stojąca u boku Torrie.

- Wszyscy przynajmniej są z dobrych rodzin. W przeciwnym wypadku Louisa Reese by ich nie przyjęła - oznajmił hrabia, marszcząc brwi. Potem zwrócił się do Torrie: -To twoje zadanie, moja droga. Przeprowadź nas zwycięzcę.

Torrie, która żegnała się właśnie ze swoimi marzeniami, zmusiła się do uśmiechu, przygotowując na spotkanie z przeznaczeniem.

Niemal w mgnieniu oka wybrała kilku spośród tych, którzy walczyli o jej względy. Sir Erie, lord Mayfield i baron Knowles od lat zalecali się do niej wytrwale. Każdy z nich byłby odpowiednim, jeśli nie fascynującym mężem. Każdemu ofiarowała taniec.

- Będę w pokoju do gry w karty - powiedział lord Du-champ na tyle głośno, żeby usłyszeli go dżentelmeni, z których jeden, jak miał nadzieję, poprosi go o rozmowę przed kolacją i będą mogli wrócić do domu po pasztecikach z homara.

Ciotka Ann zajęła punkt obserwacyjny w szeregu połączonych krzeseł, ustawionych wokół tanecznego parkietu. Wyjęła robótkę. Jeśli bratanica dotąd nie nauczyła się zachowania w sali balowej, było już stanowczo za późno na to, żeby uczyła ją tego stara panna, jej ciotka.

Ojciec odszedł, ciotka zajęła się sobą i Torrie została sama w obliczu decyzji swego życia.

Sir Erie był jednym z najprzystojniejszych mężczyzn w Londynie, odznaczał się nienagannymi manierami i ele-

gancją. Doskonale tańczył i miał dar czarującej konwersacji, czyli to, czego nie miał lord Ingall. Posiadał nawet odpowiedni dochód. Świetnie wyglądał w krótkiej tunice greckiego boga i skórzanych sandałach. A poza tym już się Torrie kiedyś oświadczył. Czy zdoła go skłonić do ponownej deklaracji dziś wieczorem?

Okazało się to tak trudne, jak podniesienie jednej ze żłobkowanych kolumn podtrzymujących sufit sali balowej. Kiedy szli w stronę parkietu, jego wzrok przykuła roześmiana pasterka, która pokazywała nogi w okolicach kostek, co nie było stosowne - oraz odsłaniała więcej biustu, niż pozwalała etykieta, więcej niż ośmieliła się Torrie. Torrie rozpoznała chichot kobiety z pracowni Madame Michaeli, kochanki lorda Ingalla, chociaż Kozak u jej boku był za niski i zbyt przysadzisty jak na wicehrabiego. Wiedząc, że Wynn musi być w pobliżu, rozejrzała się, ciekawa, jaki wybrał kostium i czy rozpozna go na czas, żeby go zignorować. Sir Erie także się rozejrzał, patrząc na okrągły rozkołysany tyłeczek lady Lynbrook, i wpadł z rozpędu na kolumnę.

Z guzem wyrastającym na skroni sir Erie nie był już taki przystojny. Jego toga, na którą kapłała krew, straciła elegancki wygląd. Dwóch lokajów z ręcznikami musiało go wyprowadzić, a trzy kobiety ruszyły jego śladem. Torrie nie została w holu razem z nimi, żeby sprawdzić, czy baronet ma odpowiednią opiekę. Nie miała ochoty stać się członkiem jego świty. Najwyraźniej miała szczęście. Sir Erie miał mniejsze, bo katastrofa ujawniła jego prawdziwą naturę. Taki mężczyzna nigdy nie zadowolony się jedną kobietą, a Torrie nie przystałaby na to. Cóż, gdyby chciała poślubić kobieciarza, mogła mieć Wynna, który przynajmniej nie wpadał na kolumny.

Kiedy dotarła z powrotem do sali balowej, minęła już połowa kadryla, który obiecała lordowi Knowles. Nie martwiło jej to, ponieważ baron był wyjątkowo niezręcznym tancerzem, miał za to łagodne usposobienie i okazywał mnóstwo dobroci swojej matce. Kobieta nie tańczy zbyt często z własnym mężem, a miły charakter liczył się bardziej niż niezręczność w tańcu... czy też bujne włosy na głowie... albo nawet zęby. Tak sobie, w każdym razie, powiedziała.

Zamiast przyłączyć się do tańczących, postanowili pospacerować na obrzeżach sali - Torrie w złotej sukni, lord Knowles w haftowanej srebrnej tunice. Miał to być zapewne strój sir Galahada, ale mężczyzna ciągle potykał się o własny miecz.

Zaprowadził ją tam, gdzie siedziała jego matka, i Torrie zapytała uprzejmie starszą damę o zdrowie, nie spodziewając się szczegółowego sprawozdania z każdej dolegliwości od początku wieku.

Słuchając jednym uchem, skorzystała z okazji, żeby przyjrzeć się tańczącym. Lady Lynbrook tańczyła teraz z innym mężczyzną, minstrelem, który miał zbyt pająkowate nogi na swoje rajtuzy i jak na lorda Ingalla. Chichotała wesoło. Ktoś przynajmniej dobrze się bawił.

Lady Knowles w końcu wyczerpała temat i oznajmiła synowi, że umiera z pragnienia.

- Przynieś mi, Josephie, coś do picia, tylko żadnej le-moniadki, pamiętaj. Chcę wina.

Nic dziwnego, że starowinie zaschło w gardle. Kiedy jednak doszli do pomieszczenia z napojami, lord Knowles pośliznął się, wpadł na stół i wylał cały poncz. Jego buty poleciały w jedną stronę, tupecik w drugą.

Tym razem trzeba było czterech lokajów, ponieważ dwóch musiało wynieść także matkę lorda Knowles.

Cóż, być może baron był odrobinę zanadto przywiązany do matki, pomyślała Torrie. Dojrzały mężczyzna, mąż, nie powinien przywoływać mamusi w trudnych chwilach. Dobrze się stało, że zwróciła na to uwagę - oraz na łysinę - zanim nie było za późno.

Wracając do ciotki przed następnym tańcem, zauważyła na parkiecie kuzynkę lady Ingall. Na Boga, czy przyszły tu dzisiaj wszystkie kochanki wicehrabiego? Pannie Herman partnerował jednak jasnowłosy mnich, nie wicehrabia. Deanna wydawała się wniebowzięta. Ingall traci widocznie atrakcyjność, uznała Torrie, rozglądając się za następnym partnerem.

Lord Mayfield także odznaczał się miłym usposobieniem, choć robił wrażenie trochę nieśmiałego. Przynajmniej nie będzie flirtował z każdą napotkaną kobietą. Torrie zaczynało brakować czasu - oraz kandydatów - zapytała więc, czy nie mogliby pospacerować po tarasie, zamiast tańczyć kontredansa, który się właśnie formował.

- Och, tak... To jest, nie jestem pewien... Ujęła go pod rękę.

- Moja ciotka nie będzie miała nic przeciwko temu, a tutaj jest trochę duszno.

Wyszli zatem przez otwarte drzwi na taras, gdzie Torrie poprowadziła swoją ofiarę - swoją *parti* - do najodleglejszego kąta, z dala od świateł sali balowej.

- Och, eee... ciemno.

- To takie romantyczne, nie sądzi pan? - powiedziała Torrie znacząco.

Było na tyle widno, że mogła zobaczyć, jak jabłko Adama Mayfielda podskakuje w górę i w dół, kiedy przełykał ślinę.

- Ja... nie powinniśmy... To jest, o mój Boże.

Czy ten człowiek miał klepki nie po kolei? Torrie nie mogła mu się przecież oświadczyć, prawda?

Nie, już raz to zrobiła w stosunku do innego dżentelmena, a rezultat okazał się katastrofalny. Podeszła bliżej.

- Och, Boże. - Cofnął się. Torrie podeszła jeszcze o krok.

- Tak? Czy chciałby pan coś mi powiedzieć? Znowu cofnął się o krok.

-Ja..Ja...

Torrie wyobraziła sobie niekończące się kolacje, podczas których czeka, żeby poprosił ją o podanie soli. Nie ustępowała jednak.

- Coś szczególnego? - Podeszła tak blisko, że mogła położyć dłoń na jego piersi.

Nigdy się nie dowiedziała, co miał odpowiedzieć, ponieważ zrobił jeszcze jeden krok do tyłu i runął po schodach z tarasu.

22

Lokaje przyglądali się Torrie w dziwny sposób. Jeden się przeżegnał. Nawet ona musiała przyznać, że tego wieczoru prześladował ją wyjątkowy pech, jakby los uparł się, żeby nie mogła poślubić żadnego mężczyzny, poza... Nie, to nonsens. Po prostu musiała bardziej się postarać i tyle.

Poszła do pokoju dla dam, żeby poprawić włosy. Ruthie dzisiaj znowu nie czuła się najlepiej, nie były więc upięte tak

168

starannie, jak zwykle. Poza tym wieczór okazał się bardziej męczący, niż się spodziewała. Naprawdę musi się rano zająć zdrowiem Ruthie. Lubiła tę dziewczynę, a poza tym bardzo jej potrzebowała. Ale to musi poczekać do jutra. Tego wieczoru zadaniem Torrie było znalezienie męża.

Wróciwszy do sali, przyjrzała się pozostałym kawalerom. Pan Gilmartin miał wyjątkowo nieudany kostium. Sir Jason uklonił się dwornie, wytrącając lokajowi tacę z kieliszkami wina. Nie była pewna co do tożsamości Pierrota, który poprosił ją do następnego tańca, ale nie miała wątpliwości, że nie kapał się od kilku tygodni.

I wtedy go zobaczyła. Pochylał się, żeby ucałować pomarszczoną dłoń pani Reese. Boże, czy żadna kobieta nie była bezpieczna przy Ingallu? Wyglądał jak korsarz - silny, śmiały, niebezpieczny. Ze swoim dumnym nosem, wspaniałą postawą, nie wspominając już o wąskich biodrach, promiennym uśmiechu i lśniących brązowych lokach, stanowił odpowiedź na modlitwy każdej dziewczyny - jeśli modliła się o to, żeby zostać bohaterką powieści. Torrie nie miała zamiaru stać się kolejną ofiarą uwodzicielskiego uroku jego lordowskiej mości, odwróciła się więc, szukając jakiegoś partnera. Przy odrobinie szczęścia zostanie on jej mężem, kimkolwiek będzie.

Wynn przywitał się z gospodynią, a potem rozejrzał, żeby sprawdzić, czy damy, którym miał towarzyszyć, przybyły bezpiecznie. Marissa usadowiła się na krześle z wysokim oparciem. Kuzynka Deanna promieniała w ramionach jasnowłosego mnicha. Bette wydawała się dużo młodsza, przechodząc w szeregu tańczących od jednego partnera do drugiego. Z pewnością któryś z tych puszających się pawi sięgnie po nią jako trofeum.

Potem zobaczył ją. Podobnie jak on, lady Torrie nie nosiła maski, ale miała diadem ze złotych liści wpleciony w loki. Włożyła strój ze lśniącego złocistego materiału, luźno udrapowany na wzór greckiego chitonu, z wiązanym stanikiem, który jedną pierś ledwie zasłaniał, a drugą do połowy eksponował.

Wynn nie był w stanie przełknąć śliny. W ustach mu zaschło, puls uległ przyśpieszeniu, końce pasa z serwety musiał przesunąć na przód ciała. Odwróciła się i wtedy zobaczył parę maleńkich, delikatnych złotych skrzydełek przypiętych do sukni. Nike, Uskrzydłone Zwycięstwo. Jeden cal materiału mniej i byłaby Rozwiązłym Zwycięstwem -w złotych sandałach i z pomalowanymi paznokciami stóp.

Nie, pomyślał, powinna przebrać się za Dianę i zabrać łuk oraz strzały, gdyż lady Victoria była najwyraźniej na polowaniu. Widział, jak odrzucała po kolei partnerów do tańca, tak jakby żaden mężczyzna nie był w stanie sprostać jej wygórowanym wymaganiom. Spojrzała w jego stronę, uniosła brodę i poszła dalej.

Cóż, bez względu na to, jaką grę prowadziło Uskrzydłone Zwycięstwo, powiedział sobie Wynn, nie wygra jej. Bo on znajdzie sobie piękniejszą, bardziej czarującą, bardziej namiętną żonę niż taka, jaką ona mogłaby się stać. W marzeniach. W Londynie zadowolili się dziewczyną o dobrym sercu.

Nie szczęściło mu się bardziej niż Torrie.

Pierwsza młoda dama, której przedstawiła go pani Reese, zemdląca. Zaniósł ją do holu, który, ku jego zdumieniu, sprawiał wrażenie szpitala polowego. Angielskie bale musiały zmienić się bardziej, niż sądził, skoro teraz trzymano chirurga pod ręką.

Następna kobieta, jak stwierdził, udawała omdlenie, żeby ją także wziął w ramiona. Pani Reese chlapnęła jej w twarz zawartością swojego kieliszka z winem, żeby, jak się wyraziła, przerwać ten nonsens.

Długie welony trzeciej dziewczyny zaczepiły się o rękojeść jego noża. Kiedy wyciągnął sztylet, żeby ją uwolnić, delikatny materiał pękł i wyrzuciła spod niego, w nieskromny sposób, halka.

Być może zwycięstwo nie przyjdzie łatwo, pomyślał

Wynn.

Pani Reese, która przejęła się znalezieniem odpowiedniej partii dla swojego ulubionego dobroczyńcy, sądziła, że powinien tańczyć, żeby poznać wszystkie damy w trakcie figur, ale Wynn zbyt dawno nie tańczył, żeby pamiętać kroki. Nigdy nie lubił chłodnego dworskiego menueta, a kadryl był dla tancerzy z baletu, a nie mężczyzn w wysokich butach. Pozostawał walc, ale nie był jeszcze gotów, żeby go zatańczyć z nieznaną partnerką. Postanowił więc poprosić Bette i sprawdzić, jak jej się powodzi i czy spotkała jakiegoś odpowiedniego kandydata. Było dosyć późno, zdążyła już zatańczyć z wieloma, nikt więc nie powinien się dziwić, że para starych przyjaciół zatańczy jednego walca. Była jednak dla niego za niska, musiał schylać głowę, żeby słuchać jej podnieconego trajkotania, postanowili więc przesiedzieć taniec z boku.

Torrie obejrzała się - tak jakby zawsze wiedziała, gdzie znajduje się wicehrabia Ingall, jakby jego obecność przyciągała jej wzrok jak magnes - i ujrzała lady Lynbrook udrapowaną na nim równie blisko jak fular pod szyją, gdyby miał go na sobie. Torrie odwróciła się i przyjęła ramię pierwszego dżentelmena, jaki się nawinął. Był to rycerz, który

12 - Diamentowy klucz

177

oznajmił, że nawet jego lekka zbroja jest piekielnie gorąca, czy mogliby więc przejść się po ogrodzie? Głos dochodził stłumiony przez przyłbicę i Torrie nie wiedziała, kim jest rycerz ani też dlaczego nie zdjął hełmu, skoro tak mu w nim gorąco. Przystała jednak na propozycję, woląc to, niż patrzeć, jak lord Ingall robi z siebie ciasto naleśnikowe na nadzieniu w postaci lady Lynbrook. Wraz z lordem Spoconym wyszli na taras, toteż ominął ich incydent w sali balowej.

Wynn i Bette siedzieli wygodnie na połączonych krzesłach. Od lat tyle nie tańczyła, oznajmiła Bette, ani nie usłyszała tylu komplementów. Niestety, wyznała, teraz brakuje jej tchu, bolą ją stopy i kręci się w głowie.

- Wynn - pożałowała się - jestem na to za stara.

- Nie zaczniesz chyba znowu płakać, co? - Boże, oboje traktowano tutaj jak równych, nie jak wyrzutków. Jedna scena w wykonaniu Bette mogła dokonać tego, czego Wynn chciał uniknąć: przypomnieć stary skandal. Żaden mężczyzna nie będzie miał ochoty zenić się z konewką. Nigdy nie pozbędzie się Bette, jeśli odpowiedni kawalerowie uznają, że jest mazgajowata albo, co gorsza, nadal z nim związana.

Na szczęście zamieszanie na szczycie schodów odwróciło jej uwagę. Cisza zapadła w całej sali i wszystkie oczy zwróciły się na nowo przybyłych. Stał tam we własnej osobie, Żelazny Książę, Wellington. Jego pojawienie się zapewniło balowi pani Reese większy sukces niż przybycie członka rodziny królewskiej. To było tak, jakby pojawił się któryś z archaniołów. Małeńka starsza pani pobiegła po schodach, każąc lokajowi zaanonsować honorowego gościa, chociaż tego wieczoru nikogo nie zapowiadano.

- Nonsens! - zawołał bohater z Półwyspu głosem, który częściej słyszano na polach bitew niż w londyńskich salonach. - I tak wszyscy wiedzą, kim jestem. Ale zapowiedzcie mojego młodego przyjaciela. To on jest prawdziwym gościem honorowym.

Za generałem, na co goście zwrócili uwagę, na fotelu inwalidzkim siedział oficer o piersi ozdobionej medalami. Jego twarz stała się równie szkarłatna jak mundur, kiedy dwóch potężnie zbudowanych żołnierzy zaczęło podnosić fotel, żeby znieść go na dół po schodach. Musiał chyba zaprotestować, bo dowódca klepnął go po plecach.

- Mówiłeś, że masz tutaj przyjaciół i że to jedyny sposób, żeby ich odnaleźć, majorze Campe.

- Troy?! - krzyknęła Bette, zanim padła zemdlna w ramiona Wynna. On też czuł się tak, jakby miał zemdleć. To naprawdę był jego przyjaciel Troy, powstały z martwych czy też z jakiegoś piekła, w które wtrąciła go wojna. Nie zamierzał czekać, aż przekłęci żołnierze zwałą Troya ze schodów. Pognął w górę, ciągnąc za sobą bezwładną Bette. Rzucił ją Troyowi na kolana ze słowami: „Myślę, że należy do ciebie”, po czym sam padł na kolana, żeby zamknąć w uścisku swojego najdawniejszego, najlepszego przyjaciela.

- Widzę, że przyjaciele cię jednak znaleźli - powiedział Wellington, ocierając łzę i dając żołnierzom znak, żeby odeszli na bok. - Ingall, czy tak? Dobra robota, chłopie. Pańska pomoc w ostatnich czasach była nieoceniona. Informacje dostarczone przez pańską siatkę umożliwiły nam o wiele szybsze zwycięstwo. Anglia ma wobec pana i majora Campe wielki dług.

Rozległy się wiwaty, a Wynn skierował fotel przyjaciela z daleka od schodów, do małego salonu, nie tego, który

zamieniono w szpital polowy, ale takiego, gdzie mogli porozmawiać na osobności.

Bette ocknęła się, kiedy jedna z pokojówek pani Reese podała Wynnowi ocet, żeby podsunął go pod nos zemdłonej. Znowu zaczęła łkać, ale nie wypuściła Troya z objęć. W istocie sprawiała wrażenie, jakby nigdy nie zamierzała go puścić. Nieszczęśnik przeżył wojnę jedynie po to, żeby utopić się we łzach szczęścia towarzyszki młodości.

- Myśleliśmy, że zginąłeś cztery lata temu - powiedział Wynn, a Troy poklepywał Bette po plecach.

- Wiem i jest mi przykro. Ministerstwo wojny uznało, że tak będzie lepiej, że będę mógł służyć w innym charakterze, incognito, zwłaszcza że moi rodzice zmarli i nikt na mnie nie czekał.

- Byłeś szpiegiem przez cztery lata i nikt o tym nie wiedział?

- Zbierałem informacje - sprostował Troy. - Stary ma rację. Dane od ciebie przeważały szale. Ale w zeszłym roku zostałem rany. - Wskazał nogi. - Daję sobie radę o kulach, chociaż z trudem.

- Czemu wówczas nie wróciłeś do domu?

- Kaleka, bez kariery majątku, bo to brat odziedziczył posiadłość. Nie miałem po co wracać.

- Miałeś mnie, głuptasie! - zawołała Bette.

- I masz skromny majątek. Wiesz, te pieniądze, które mi pożyczyłeś - dodał Wynn.

- To nie była pożyczka. Wygrałeś je w karty.

- Obaj wiedzieliśmy, że przegrałeś specjalnie, a więc była to pożyczka. Przysiągłem sobie, że ją zwrócę, z procentem. Miałem szczęście do inwestycji. Twoja połowa po-

zwoli wam obojgu żyć wygodnie aż do śmierci, to jest co najmniej przez jakieś pięćdziesiąt lat.

- Słyszałem, że masz dotyk Midasa. Naprawdę mi ofiarujesz połowę? Dałem ci ledwie paręset marnych funtów.

- Dałeś mi wszystko, co miałeś. Ja ofiaruję ci tylko połowę. Zakładając, rzecz jasna, że uwolnisz mnie od opieki nad Bette. Zamierzasz poślubić tę niemądrą dziewczynę, prawda? Jako jej, eee..., tymczasowy opiekun, można by rzec, powinienem o to zapytać.

Pocałunek starych przyjaciół starczył za odpowiedź. Wynn zostawił ich samych, zamykając drzwi za sobą.

Był o połowę biedniejszy, ale dwakroć bogatszy jeśli chodzi o to, co się naprawdę liczy.

23

Pogwizdywał, idąc korytarzem. Cieszył się nie tylko z tego, że stary przyjaciel wrócił wreszcie do domu, ale też zyskał wiarygodnego świadka pojedynku. Nikt nie podał w wątpliwość słowa ulubieńca Wellingtona, kiedy Troy oświadczył, że Wynn nie wystrzelił przed czasem i że Lynbrook zszedł z pola owego fatalnego dnia na własnych nogach. Gdy tylko Troy dojdzie do siebie, Wynn dopilnuje, żeby jego sekretarz, adwokat i odpowiedni urzędnik przyjrżeli się sprawie. A teraz przepełniało go takie szczęście, że miał ochotę tańczyć!

Kiedy wrócił do sali balowej, zatrzymał go adiutant Wellingtona, przekazując ofertę stanowiska w Ministerstwie Wojny, naturalnie niepłatnego. Teraz, kiedy był za ledwie

181

bogaty, zamiast obrzydliwie zamożny, Wynn mógł się nad tym zastanowić. Przedtem nie miał nic lepszego do roboty, jak liczyć pieniądze i patrzeć, jak się mnożą, teraz otworzyło się przed nim setki możliwości spędzania czasu - w sposób interesujący i pożyteczny. Miał nawet przyjaciela, z którym mógł omawiać swoje decyzje. Troy i Bette przeniosą się pewnie na wieś, ale on będzie mógł ich odwiedzać. Będą mieli dzieci, a on zostanie przykładowym ojcem chrzestnym.

Wciąż jednak czegoś brakowało w tej kolorowej przyszłości. Jakaś jej część pozostawała pusta i mroczna. On już miał dom na wsi, do diabła, i byłby dobrym ojcem. I mężem. Schodził po schodach do sali balowej, mając określony cel na widoku.

Nie dotarł jednak daleko, gdyż teraz wszyscy chcieli się z nim zaprzyjaźnić. Rekomendacja Wellingtona oraz fakt, że Bette znalazła się w ramionach majora, a nie Wynna, przypieczętowały uznanie go za swego. Nawet Marissa uśmiechnęła się do niego - i twarz jej nie popękała z wysiłku. Wynn zastanawiał się cynicznie, czy te wszystkie lizusy nadal okazywałyby mu taką serdeczność, wiedząc, że obiecał oddać połowę swojej fortuny. Przypuszczał jednak, że jego kufry wciąż były dość pełne, by mamusie popychały w jego stronę swoje córki, a córki wypinały ku niemu biusty.

Czy miał wybrać żonę, kierując się wielkością gruczołów, jak mleczną krowę? Rodowodem, jak konia? Umiejętnościami tanecznymi, jak tresowanego niedźwiedzia?

Nie był w stanie tego zrobić - przebrać tłum i wyłowić klejnot. Wiedział, że i tak skończyłby z fałszywym złotem. Poza tym blondynki wydawały się mu nijakie. Szatynki nudne. A kruczowłose panny przypominały czarownice.

Zamiast tego zapali cygaro.

Zbyt wiele par wychodziło na szeroki taras, szukając zapewne ciemnego kąta, gdzie nie dostrzeże ich przyzwoitka. Wynn zszedł na ścieżkę. Tak było lepiej: dobre cygaro, muzyka w tle i żadnych pełnych matrymonialnych nadziei panien w polu widzenia. Teraz mógł naprawdę cieszyć się sukcesami wieczoru. Klęski oraz kobiety i tak jutro pojawią się znowu.

A potem kątem oka dostrzegł błysk złota na innej ścieżce. Na drzewach zawieszono papierowe latarnie, ale w ogrodach panował mrok. Może się mylił, może to tylko odbłysek światła z sali balowej. Żadna kobieta nie byłaby na tyle głupia, żeby odejść tak daleko od tłumu i przyzwoitki, jeśli nie chciała zniszczyć sobie reputacji.

Albo spróbować pocałunków jakiegoś dżentelmena.

Albo spotkać się z kochankiem.

Nic mu do tego. Lady Torrie dała mu to jasno do zrozumienia. Jeśli postanowiła łowić męża w ciemności, to była sprawa jej ojca albo ciotki, a nie zalotnika, którego odrzuciła. Nie, zostanie tutaj i wypali cygaro, które smakowało jak trociny, i posłucha muzyki, która widocznie ustała na czas kolacji. Poza tym na balu mogło być więcej kobiet w złotych szatach. Ta mogła być gruba, stara, ubrana jak Galatea, na schadzce ze stajennym. Byłby głupcem, śledząc ich, zwykłym natrętem i intruzem.

Nogi już niosły go w tamtą stronę. Do diabła, lady Torrie potrafiła zepsuć mężczyźnie każdą przyjemność, siedem dni w tygodniu, włącznie z niedzielą.

Rycerz Torrie chciał pospacerować po ogrodzie, ale ona nie urodziła się wczoraj. Nie odeszłaby nigdzie z obcym

dżentelmenem, nawet sir Galahadem. Temu galantowi, po bliższym przyjrzeniu się, wiele brakowało do doskonałości. Jego kostium składał się z tak przypadkowych części, jakby skompletowano go na strychu starego zamku i to po ciemku. Hełm z przyłbicą pasował do zbroi, ale nie do lekkiej kolczugi. Ciężką drewnianą lancę skrócono tak, że nie mogłaby strącić z siodła przeciwnika, chyba że siedziałby na tym samym koniu, ale sir Składanka i tak się o nią potykał. Skórzane wiązane sztylpy przypominały uprzęż konia, a ozdobny, wysadzany klejnotami miecz wykonano zapewne z kartonu. Rycerz o nic jednak nie prosił. Okazał się na tyle rycerski, żeby zostawić ją samą z własnymi myślami. Czy naprawdę mogła być zazdrosna o kochanki lorda Ingalla? Czy próbowała tylko siebie oszukać, wyrażając moralne oburzenie z powodu jego rzekomej rozpusty, chociaż sama myślała o nim w ten sposób? Wspomnienie jego ciemnej głowy tak blisko jasnej główki lady Lynbrook, jego oczu pełnych troski i uwagi, było jak lanca przebijająca jej serce.

W rzeczywistości lanca tkwiła tuż przy jej sercu.

- Wcale nie wydaje mi się to zabawne - powiedziała, próbując minąć rycerza i wrócić do sali balowej.

Dźgnął ją znowu.

- Ale pokonałaś mnie, jasnowłosa bogini. Muszę cię mieć.

- Nie jestem częścią menu pani Reese. Musisz być pijany.

- Nie, pani. Nigdy nie byłem trzeźwiejszy. Potrzebuję cię.

- Ha. - Odepchnęła lancę, która na skutek niezręczności rycerza w ciężkich rękawicach upadła na ziemię. Ciężki drąg potoczył się po tarasie i w dół po schodach, do ogrodu.

Torrie uznała, że dobrze się stało, iż przyłbica tłumi głos. Żaden *chevalier* nie używał takich wyrazów w obecności damy. Poncz pani Reese musiał być widocznie mocniejszy, niż sądziła, skoro nieszczęśnik upił się tak wcześnie. Ruszyła przez taras.

- Poczekaj, moja pani, moja bogini, proszę, poczekaj! Nie poczekałaby, ale zacisnął rękawicę na jej skrzydle.

Bała się, że jeśli się szarpnie, skrzydło wraz z połową sukni odpadnie.

- Czy pomoże mi pani odzyskać broń?

- Nie, przykro mi, mój następny tancerz czeka.

- Musi być gdzieś niedaleko. Proszę.

- Nie mogę...

- Proszę. Widzi pani, wstyd mi się przyznać, ale nie mogę się schylać w tym przeklętym kostiumie. A przez szpary w hełmie niewiele widać.

- Dlaczego więc pan go nie zdejmie?

- Miałabym zepsuć chwilę zdejmowania masek po kolacji? Droga pani Reese nigdy by mi nie wybaczyła.

Droga pani Reese nigdy by mu nie wybaczyła niestosownego zachowania wobec gościa, ale Torrie skinęła głową. Dobrze, pomoże mu odzyskać lancę i wreszcie się od niego uwolni. Zeszła po schodach, zbroja rycerza łomotała za jej plecami. Rozejrzała się pod krzakami, szukając kija dla sir Półgłówka.

- Proszę bardzo! - zawołała, schylając się, żeby wyciągnąć lancę. Kiedy się podniosła, rycerz miał dłonie wolne od rękawic i przycisnął jej do szyi nagi miecz. Lanca upadła na ziemię z głuchym łoskotem.

Miecz był stalowy.

Została sama z rycerzem w starodawnej zbroi, poskładanej z rupieci trzymany na strychu.

A pistolet zostawiła w torebce, na krześle, obok ciotki Ann.

Kim był ten dureń?

Otworzyła usta, ale właśnie wtedy w sali zerwały się radosne okrzyki. Zapewne ktoś ogłosił zaręczyny albo przyszły pomyślnie wieści z wojny. Może przybył książę. Wszystkie inne pary z tarasu pośpieszyły do drzwi, żeby zobaczyć, co się dzieje. Nikt nie mógłby jej usłyszeć.

- Po prostu idź - polecił rycerz zupełnie trzeźwym głosem.

Krew w jej żyłach zaszumiała głośniejsz, zwłaszcza tam, gdzie czuła ucisk czubka miecza. Szła, oddalając się od tłumu i świateł, od wszelkiej nadziei na pomoc. Jeszcze parę stopni i nikt nie usłyszy jej krzyku. Po raz pierwszy przeraziła się naprawdę. Nawet ten skończony głupiec Boyce nie groził jej fizyczną krzywdą.

Nie mogła po prostu dać się prowadzić jak świnia do rzeźni. Porównanie sprawiło, że zadrżała. Nie chciała myśleć, po co łajdak chciał ją odciągnąć w ustronne miejsce. Cokolwiek to było, nie mogło jej się spodobać. Musi mu uciec. Myślała intensywnie, jednocześnie zwalniając kroku.

Broń. Potrzebowała broni. Ale lanca została daleko w tyle, a ogrodnicy pani Reese byli zbyt staranni, żeby zostawiać na ziemi uschłe gałęzie czy łopate. Podniosła rękę, żeby odgarnąć kosmyk z policzka, i złapała spinkę do włosów, która właśnie wypadła. Świetnie, teraz miała się czym bronić przed opancerzonym napastnikiem z mieczem! Tor-rie parsknęłaby śmiechem, gdyby tak bardzo nie chciało jej się płakać.

Gdzie teraz był jej wybawca? Proszę... Nie, nie mogła już liczyć na boską interwencję. Tym razem musiała urato-

wać się sama. Przewróciła się, udając, że mdleje. Łotr nie może się schylać. Mogła poturlać się za krzak bzu, a potem biegiem... ale łajdak przygwoździł jej suknię mieczem do ziemi.

- Dość sztuczek, moja pani. Jesteś dla mnie więcej warta żywa niż martwa, ale parę siniaków i skaleczeń nie pozbawi cię wartości. Teraz wstań powoli i ruszaj naprzód.

Cóż, przynajmniej miała spinkę, a w drugiej dłoni garść ziemi. Gdyby zdołała sypnąć ziemię w wąskie szpary przyłbicy, wtedy mogłaby mu wbić spinkę w obnażoną dłoń. Może upuści miecz. Gdyby go podniosła...

Chyba nie potrafiłaby zaatakować przeciwnika jego własną bronią, choćby miał najczarniejsze serce. Uderzenie w hełm przyprawiłoby go jedynie o ból głowy. Będzie musiała złapać miecz i uciekać. Z pewnością zdoła przegonić mężczyznę w ciężkiej zbroi.

Na szczęście nie musiała wprowadzać w życie ryzykownego planu, ponieważ przy dekoracyjnej fontannie zauważyła wysokiego, chudego mężczyznę. Maski wskazywała na to, że to jeden z gości. Torrie dziękowała swojej szczęśliwej gwiazdzie, biegnąc w jego stronę.

- Pomocy! - zawołała. - Ten łajdak grozi mi mieczem! Dzięki Bogu, że pan tu jest. - Mężczyzna chwycił ją za ramię.

- Mamy ją. Tak jak miało być.

Było ich dwóch? A Torrie właśnie prosiła drugiego zbira, żeby ją uratował? Życie nie mogło być tak przewrotne. A ona nie jest łatwą ofiarą! Drugi rzezimieszek nie miał przynajmniej zbroi.

Kiedy sięgał po worek, żeby zarzucić jej go na głowę, sypnęła mu ziemią w twarz. Potem dźgnęła go w rękę

spinką tak mocno, jak tylko zdołała. Wściekłość dodała jej sił. Zawył i przeklął, ale puścił jej ramię i worek. Torrie chwyciła worek i rzuciła nim w głowę rycerza, oślepiając go. Wrzasnął i zaczął wywijać mieczem. Torrie uchyliła się, ale drugi z mężczyzn oberwałem płazem i zwałił się, podcinając rycerzowi nogi. Drań runął z brzękiem, jaki mogłaby wydać lawina srebrnych filiżanek. Torrie biegła na oślep, ale zawróciła i ruszyła we właściwym kierunku, ku światłom domu. Potem wpadła na ścianę: twardą, umięśnioną ścianę piersi Wynna Ingrama. Była bezpieczna.

24

Cóż to, kochanek cię rozczarował?

- Kochanek? Myślisz, że ja... Och, ty ośle! - Torrie wysunęła się z silnych ramion Wynna i uderzyła go w twarz. - Mój kochanek, jak go nazywasz, groził mi mieczem. On i jego kamrat chcieli mnie wsadzić do worka!

Zanim skończyła mówić, Wynn wydobył sztylet i ruszył ścieżką. Zawołała za nim:

- Nie warto! Słyszałam, jak przełazili pod żywopłotem na tyłach ogrodu. Po drugiej stronie z pewnością mieli konie albo powóz. Zanim tam dotrzesz, dawno zdążą zniknąć.

- Do licha, nic ci nie jest? - Teraz, kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że ma poplamioną suknię, włosy opadały jej na plecy, a jedno skrzydło się pogniotło. Zaklął znowu. Ktoś

ośmielił się podnieść rękę na jego boginię. Kimkolwiek był, poniesie straszną karę. - Zranili cię?
- Nie. Nic mi się nie stało. - Wiedziała, że do rana pojawią się na jej ciele czarnosine plamy, ale w porównaniu z tym, co mogło się zdarzyć, wcale nie ucierpiała. Czuła się dobrze, tak dobrze jak to tylko możliwe po porwaniu, pobiciu, a w końcu oskarżeniu o schadzkę z kochankiem.

- Czy to był Boyce?

- Nie wiem. Był przebrany za rycerza w zbroi. To mógł być Boyce, ale nigdy nie przypuszczałam, że Boyce chciałby mnie skrzywdzić. Drugi mężczyzna był wyższy od niego.

- Znajdę ich. Przysięgam. - Odsunął włosy z jej policzków i ujął twarz w dłonie. - Jesteś pewna, że nic ci nie jest?

Czułość w jego głosie sprawiła, że gniew się ulotnił. Drżała. Pokręciła głową.

- Tak się bałam.

Czuł, że drży nadal, objął ją więc znowu i przytulił.

- Boże, jestem podły, że pomyślałem o tobie coś złego. Podwójnie podły, bo te głupie podejrzenia powstrzymały mnie od tego, żebym w porę za tobą poszedł.

- Ale poszedłeś? Dlatego byłeś tak daleko od domu i tarasu?

Przycisnął ją mocniej, poczuł bicie jej serca pod cienkim materiałem sukni.

- Szedłem za tobą.

Westchnęła i przestała drżeć - pod wpływem jego słów i ciepła ramion.

Kiedy uznał, że doszła już do siebie, poprosił, żeby opowiedziała, co się stało, jeśli czuje się na siłach.

Torrie kiwnęła głową i powiedziała o niezręcznym rycerzu i jego lancy

i o tym, że nie mogła krzyczeć ze względu na hałas panujący w domu.

- Wellington się zjawił - rzekł tylko, sądząc, że Torrie nie musi dowiadywać się o Troyu i Bette.

- Pani Reese była pewnie zachwycona.

- Była. Ale opowiadaj dalej. Gdzie stał ten drugi mężczyzna i jak zdołałaś im uciec?

Opowiedziała mu o garści ziemi, spince do włosów i worku, a on oświadczył, że jest dzielną i wspaniałą kobietą.

Opowiadanie uświadomiło jej na nowo grozę tego, co się stało. Już nie mogła się powstrzymać, zaczęła płakać.

- Wcale nie byłam dzielna - szepnęła drżącymi wargami, usiłując stłumić szloch. - Bałam się okropnie.

Wynn pogładził ją po plecach i pozwolił jej płakać, chociaż rozpięty kołnierz koszuli nie chronił go przed wilgocią. Najwyraźniej połowa kobiet w Londynie miała ochotę płakać na jego ramieniu.

- Tym bardziej o twojej odwadze świadczy to, że działaś wtedy, kiedy strach każe ci się zwinąć w małą kulkę, jak jeż, który pewnie myśli, że jeśli będzie niewidoczny, niebezpieczeństwo minie. -

Usiłował wyprostować pogniecione skrzydło. - Nie poddałaś się, tylko walczyłaś mimo strachu.

Zwyciężyłaś, Torrie. Zwyciężyłaś.

Pociągnęła nosem, próbując się uśmiechnąć.

- Prawda? Uciekłam dwóm okropnym drabom tylko dzięki swojej inteligencji.

- Dwóm uzbrojonym, niebezpiecznym mężczyznom. Szkoda, że nie miałaś okazji poznać

Wellingtona. Mógłby cię zatrudnić w swoim sztabie.

Roześmiała się niepewnie. Wynn podał jej chusteczkę, żeby wydmuchała nos, a potem powiedział:

- Wiedz jedno, gdybyś nie uciekła, gdyby okazali się za silni nawet przy twoim sprycie, znalazłbym cię.

- Tak?

Pokiwał głową.

- Bez względu na to, dokąd by cię zabrali i dlaczego. Nie uratowałem ci życia za pierwszym razem po to, żeby ukradli cię jacyś dranie.

- Wynn.

Dźwięk jego imienia był zarazem westchnieniem i zaproszeniem. Przyjął je. Pocałował ją, przejmując jej wątpliwości i strach, i dając w zamian siłę, bezpieczeństwo i własną duszę.

Torrie czuła, że topnieje. Nie potrafiła opisać tego inaczej. Wtuliła się w niego całym ciałem, ich usta, oddechy złąły się w jedno. Zapomniała o przerażeniu, chłonąc magię pocałunku, ciesząc się jednością. Ale nie byli jednością i nie mogła oddać się mężczyźnie, który nie był jej mężem i który całował każdą kobietę, jaka wpadła mu w ręce.

I znajdowali się na balu kostiumowym u pani Reese, a nie na balu cór Koryntu.

I on rozmyślał o tym, że miała kochanków.

A więc spoliczkowała go jeszcze raz.

- A to za co? - powiedział, kiedy jego głowa wróciła na swoje miejsce. - Ty też mnie całowałaś i robiłaś to z przyjemnością.

To był jeden z powodów, dla których przerwała pocałunek: ponieważ chciała, żeby trwał wiecznie i nie mogła znieść myśli, że on jedynie bawi się jej uczuciami. Nie powiedziała tego na głos i odparła:

- To za to, że cię tu nie było, kiedy cię potrzebowałam. - Zauważyła czerwony ślad na jego twarzy i znowu zaczęła

191

płakać, czuła się zawstydzona, rozżalona, chciałyby scałować ten ślad.

- Boże, Wynn, jestem taka zawstydzona!

Wynn potarł policzek. Jeśli Torrie sądzi, że jest zawstydzona. ..

Ku zdumieniu Wynna, lokaj Duchampów, którego poprosił o sprowadzenie karety, zapytał, czy na pewno nie potrzebuje doktora. Nie mógł przecież przyjrzeć się uważnie Torrie stojącej za kolumną, przed domem pani Reese, i nie mógł zwrócić uwagi na jej *deshabille*. Obeszli budynek bocznymi ogrodami, nie chcąc *znaleźć* się przed salą balową i narazić na zamieszanie, jakie by wybuchło.

Kiedy Wynn wysłał kolejnego lokaja po ciotkę Torrie oraz płaszcz dziewczyny, służący, zanim ruszył wykonać polecenie, popatrzył na niego uważnie, jakby szukając sińców. Londyńskie przyjęcia nie były już najwidoczniej tak nudne, jak niegdyś.

Gdy tylko Torrie opatulono i umieszczono w powozie, z ciotką u boku, Wynn poszedł po jej ojca.

Lord Duchamp w pokoju karcianym zabawiał się chaotyczną grą w wista z trójką starych przyjaciół, którzy, podobnie jak on, czekali tylko, aż ich żony i córki oznajmią, że mają dość zabawy. Hrabia podniósł głowę na widok Wynna, skinął mu na powitanie, a potem wrócił do kart.

- Szczególny wieczór, nieprawdaż? - odezwał się jeden z dżentelmenów. - Wellington przyprowadza pańskiego przyjaciela, powstałego z grobu?

- Szczególny, w istocie - zgodził się Wynn uprzejmie, a potem zwrócił do lorda Duchampa: - Muszę z panem zamienić słowo na temat pańskiej córki.

- Mojej... - Twarz hrabiego rozjaśniła się w uśmiechu. Chwycił Wynna za rękę i zaczął nią potrząsać.
- Wątpiłem już, czy się na to zdobędzie, a robi się coraz później. I to jednak pan! Jestem niewymownie szczęśliwy, Ingall, zapewniam pana. Cóż, mówiłem niemądrej dziewczynie, że lepszego nie znajdzie!
- Nie sędzę...

- Oczywiście, nie mogą mi się podobać te pogłoski o tym, że rzekomo oddaje pan połowę majątku, ale pozwolimy prawnikom zająć się szczegółami, czyż nie? No i nie może pan, rzecz jasna, przekazać ziem Ingallów na cele dobroczynne czy sprzedać dóbr, żeby spłacić dług honorowy. Prawnie przechodzą na pańskiego syna, oczywiście. - Uśmiechnął się promiennie do pozostałych graczy. - Mojego wnuka.

Dżentelmeni przy stole udawali, że nie słuchają, ale teraz także się uśmiechnęli. Zanim lord Elston zdążył wznieść toast, Wynn wtrącił:

- Nie, myli się pan. Lady Victoria źle się czuje i pragnie wrócić do domu.

Duchamp z pośpiechu przewrócił krzesło.

- Wyjść tak wcześnie z balu? To niepodobne do mojej dziewczynki. Nawet nie skosztowałem jeszcze pasztecików z homara. Czekałem, aż tłum się przeredzi, wie pan. - Rzucił karty na stół. - Panowie, proszę o wybaczenie. I proszę zapomnieć, o czym mówiłem.

Kiedy się oddalili, lord Duchamp poprosił o wyjaśnienia.

- Teraz proszę mi powiedzieć. Wygląda pan jak sam diabeł. Czy mojej dziewczynce nic się nie stało?

187 - Diamentowy klucz

Po wysłuchaniu relacji Wynna Duchamp chciał wezwać straż, detektywów, armię. Wellington wciąż jest na balu, czyż nie tak?

- Myślę, że pańska córka woli, żeby nikt nie dowiedział się o tym zdarzeniu. Jeśli rozejdzie się plotka, że opuściła bal z dżentelmenem, a wróciła z rozpuszczonymi włosami i pomiętą suknią, to tylko jej zaszkodzi. Wiem, jak łatwo ludziom zrobić z igły widły. A tak nikt się niczego nie dowie, poza tym że źle się poczuła i wróciła z ciotką do domu.

Hrabia sapał, nie tylko dlatego, że Wynn szybko szedł korytarzem.

- Przypuszczam, że ma pan rację. Tak podły czyn nie może ująć bezkarnie. Bo wtedy łotry uznają, że wolno im uprowadzać młode dziewczyny, kiedy im się podoba. Czy myśli pan, że chcieli okupu?

Wynn nie chciał wspominać o łowcach białych niewolnic.

- Nie wiem. Chcę wrócić i rozejrzeć się po terenie, porozmawiać ze stajennymi i dozorcami, dowiedzieć się, czy zauważyli kogoś, kto by się dziwnie zachowywał. Czy też dziwniej niż zachowują się zwykle przebrani goście. Rycerz w dziwacznej zbroi musiał zwrócić uwagę, być może ktoś go rozpoznał. Może majordomus będzie pamiętał, jak brał od niego zaproszenie. Sprawdzę to.

- Pomogę panu.

- Będzie lepiej, jeśli pan zajmie się lady Victorią w domu. Była przerażona.

- Racja. A niech to diabli, nie mogę jasno myśleć.

- Proszę się nie martwić. Przeprowadzę staranne śledztwo. Proszę po prostu pojechać do domu, do córki. Odesła-

194

łem ją pańskim powozem, ale pozwoliłem sobie pożyczyć jeden od pani Reese.

- Czy obciążyła pana za to dachem jakiegoś domu sierot?

Wynn się uśmiechnął.

- Nie, to na pański rachunek.

Przed wypożyczonym powozem Duchamp zapytał:

- Myśli pan, że to ten dureń Boyce? Sądziłem, że chce ją poślubić, a nie sprawiać, żeby prawie umarła ze strachu.

- A czy zgodziłby się pan na to?

- Nigdy w życiu.

- I to jest odpowiedź. Sprawdzę to. Lord Duchamp podał mu rękę.

- Według Wellingtona jest pan odpowiednim człowiekiem do tego zadania. Ale tym razem, chłopcze, proszę pozwolić, żeby prawo zajęło się łajdakami. Albo ja. Nie możemy pana stracić na kolejnych sześć lat.

Wynn niczego nie obiecał.

25

Ale także niczego nie odkrył. Lanca na ziemi nic mu nie powiedziała, podobnie jak wyrwa w żywopłocie. Służba nie zauważyła niczego niezwykłego, poza liczbą gości, których trzeba było wynieść z sali balowej. Pani Reese nie pamiętała, żeby witała rycerza, podobnie jak Marissa, która, jak zwykle, widziała wszystkich na balu, potrafiła omówić ich drzewo genealogiczne, upodobania i wiedziała, z kim tańczyli.

Przed południem następnego dnia Barrogi znalazł już przydomek bandyty, który pasował do opisu lady Torrie.

- Wysoki, chudy jak miotła *bandito*, z włosami jak słoma, nie boi się pobrudzić sobie rąk. A co do rąk, *padrone*, ktoś powiedział, że na ręce miał wczoraj bandaż duży jak rzepak.

Wynn spojrzął na śpiącego przy kominku psa.

- Duży jak rzepa?

- I gadał o pieniądzach, jakie wyda w domu schadzek u Mamy Johnstone. Ja myślę, że to były... jabłka na wierzbie.

- Jak się nazywa?

Barrogi wzruszył ramionami.

- Nazywają go Scarecrow i nikt nie był w stanie mi powiedzieć, choćbym nie wiem ile pańskich pieniędzy wydał na „niebieską zarazę”, *padrone*, gdzie mieszka. Ale wiem, gdzie pije. - Skończył czyścić paznokcie nożem i wsunął go z powrotem do rękawa. - Ten człowiek ma zniknąć, tak?

- Nie. Trzeba go schwytać, żeby mógł wydać w ręce kata człowieka, który mu zapłacił. Lord Duchamp zapewnia, że straż miejska będzie w pełni współpracować, urządzimy więc obławę.

- *Asignor* Boyce?

Wynn umieścił ostrożnie własny nóż w cholewie buta.

- Boyce'a od paru dni nie było w domu. Sprawdziłem to. Różni ludzie nie mogą się doczekać jego powrotu. Jego kamerdyner odszedł w zeszłym tygodniu, ponieważ nie płacono mu od miesiąca.

- Aha! Chce pan, żebym go zatrudnił?

- Do licha, nie. Wypuszczał Boyce'a na miasto w ubraniach w fioletowe paski. Poza tym jakoś daje sobie radę.

Dzięki pracze na drugim końcu miasta, czyścicielowi butów po sąsiedzku i chustom w grochy, Wynn dawał sobie radę. Nie zamierzał chodzić na bale, zwykłe czy kostiumowe, jeśli tylko mógł tego uniknąć. I tak pragnął tańczyć tylko z jedną kobietą. A teraz musiał zadbać o jej bezpieczeństwo i nic innego się nie liczyło.

- Powiem detektywom, żeby aresztowali tego Scare-crowa. Wie pewnie, gdzie jest Boyce albo gdzie się mieli spotkać. Wtedy pozbędziemy się łobuza raz na zawsze.

Barrogi pokręcił głową.

- Myśli pan, że pańskie angielskie sądy powieszają utytułowanego *bastardo*? Jednego ze swoich? Ja tam myślę, że się wywinie.

Wynn zatknął pistolet za pas spodni, pod kubrakiem.

- Sprawiedliwości stanie się zadość.

Zanim wyszedł, żeby się upewnić, że wszyscy wartownicy, zgodnie z jego poleceniem, znajdują się na swoich miejscach wokół domu Duchampów, rzucił Barrogiemu dodatkową monetę.

- Proszę, zabierz Rosie na lody, dobrze? Żeby się nie czuła samotna. Powiedz jej, że o niej pamiętam. Duchamp ma lokaja, Henry'ego, który mógłby być dla niej odpowiednim mężem. Porozmawiam z nim.

Barrogi przestał czyścić własny kubrak, żeby złapać monetę.

- Zwykły lokaj? Dla *signory*? Nie pije się szampana do gotowanej kapusty.

- Cóż, powiedz jej, że myślę o tym, jak rozwiązać jej rozterki.

Barrogi przygładził włosy i skropił ogorzałe policzki odrobiną wody kolońskiej Wynna.

- *Tak, padrone.*

Kiedy Wynn dotarł do domu Duchampów, zobaczył najpierw kordon kalekich i emerytowanych weteranów, jaki ustawił tam major Campe. Spodziewał się, że w domu będą panowały spokój i cisza. Spodziewał się, że lady Torrie, zmęczona i wstrząśnięta, będzie dochodzić do siebie po strasznych przeżyciach. Spodziewał się ciepłego przyjęcia. Ha.

W holu panował chaos, służba biegła we wszystkie strony, a lady Torrie wiązała czepek pod szyją, przygotowując się do wyjścia. Policzki miała rumiane, dłoń jej nie drżała, a pod wpływem spojrzenia, jakie mu rzuciła, mogłyby zwiędnąć skrzydełka kamiennego gargulca.

- Chodź, Ruthie - zwróciła się do pokojówki. - Musimy iść.

Wynn skrzyżował ramiona na szerokiej piersi i stanął plecami do drzwi. Większość służby uciekła.

- A dokąd to się wybierasz, moja pani? Nawet ty nie możesz mieć tak ptasiego mózdzka, żeby po takiej przygodzie włóczyć się po sklepach. A może nowy czepek jest dla ciebie ważniejszy niż życie?

- Ptasi mózdzek? Jak śmiesz?

Uniósł brwi. Pamiętał, że już pozwolił sobie na więcej -i dostał za to po twarzy.

- Nie widzę nawet lokaja, Henry'ego, który miał ci towarzyszyć przez cały czas.

- A po co, skoro banda obdartych żołnierzy stacjonuje pod drzwiami mojego domu? Sąsiedzi myślą z pewnością, że papa zwołuje własną milicję, przygotowując się na inwazję Bonapartego.

- Ci ludzie strzegą twojego bezpieczeństwa, jak dobrze wiesz, pilnując, żeby nikt obcy nie wszedł do domu ani na teren posiadłości.

192

- Czy mają także za zadanie przeszkodzić mi, gdybym chciała wyjść?
- Z tym sam sobie poradzę. - Oparł się o szerokie, dębowe drzwi, jakby zamierzał spędzić tam cały dzień.
- Są inne wyjścia.
- Oczywiście. Moi ludzie obserwują wszystkie. Spojrzał w dół, ale to nie Homer warczał. Uśmiechnął się do damy, która tupała nogami.
- Kto dał ci prawo decydował o tym, co mam robić? Powiedz mi.
- Los, jak przypuszczam. Tak w każdym razie sama powiedziałaś. Widzisz, zawsze mi mówiono, że jeśli mężczyzna uratuje komuś życie, staje się za tę osobę odpowiedzialny. Tak jakby od niego zależało dobro tego człowieka.
- To absurd. - Torrie zarumieniła się na myśl o tym, że jej dobro mogłoby zależeć od Wynna. Ten okropny człowiek wyglądał znowu na awanturnika, jak wtedy, kiedy przebrał się za pirata. I uśmiechał się jak psotny chłopiec. Teraz ona skrzyżowała ramiona na piersi, pokazując, że ani jego urok, ani rozkazy nie robią na niej wrażenia. - Poza tym nic ci do tego, w jakim celu wychodzę. To nic niebezpiecznego ani w odległym miejscu, ani też nic, co mężczyzna mógłby zrozumieć. Wynn ani drgnął. Torrie rzucała mu mordercze spojrzenia. Majordomus ulotnił się dyskretnie. Pokojówka płakała. Pies machał ogonem.
Wynn przeniósł spojrzenie z wojowniczego błękitu oczu Torrie na zaczerwienione od płaczu oczy jej pokojówki. Wydawała się odrobinę starsza od swojej pani i o wiele mniej pewna siebie. Jego głos złagodniał.

- Panna Cobb, czy tak?

Pokojówka wpatrywała się we własne buty.

- Ruthie Cobb, panie. Wystarczy Cobb.

- Cóż, panno Ruthie Cobb, może pani zechce wyjawić mi, dokąd się wybieracie, skoro lady Victoria jest zbyt uparta, żeby to zrobić.

Torrie sapnęła gniewnie, ale zanim zdążyła uciszyć pokojówkę, Ruthie szepnęła:

- Tylko przez plac, do domu lorda Fraser.

Fraser był starym zrzędą o nieciekawej reputacji. Co takiego Torrie mogła chcieć od starucha?

- Nie myślisz chyba, że to Fraser chciał cię porwać? Torrie zdziwiła się, że coś takiego mogło mu przyjść do głowy.

- Fraser? A co on by ze mną robił? Nie zniósłby kobiety w domu, w tym rzecz. A teraz, proszę, odsuń się i daj nam zająć się naszymi sprawami.

- Mam stać z boku, kiedy ty idziesz do starego dziada, który nawet cię nie przyjmie? Czy wizyta u niego będzie czymś wyjątkowo niestosownym, gdyby zgodził się na rozmowę? Nigdy do tego nie dopuszczę.

- Może mu pani powiedzieć - odezwała się ugodowo pokojówka. - I tak wszyscy wkrótce się dowiedzą.

Torrie westchnęła.

- Dobrze. Biedna Cobb, Ruthie, znalazła się w niezręcznej sytuacji. - Zamiast odsunąć się od drzwi, okropny wicehrabia uniósł brwi, czekając na dalszy ciąg. Westchnęła znowu. - Ruthie spodziewa się dziecka.

- Dobry Boże, Fraser? - Nie takie rzeczy mówiono o starym zbereźniku.

- Oczywiście, że nie. Jeden z jego lokajów, Cyrus.

- Przyrzekł się ze mną ożenić - oznajmiła pokojówka. - Inaczej nigdy bym... Ale teraz lord Fraser nie chce nam udzielić pozwolenia.

- Nie pozwala służbie się żenić - ciągnęła Torrie - ponieważ nie chce, jak mówi, obściskiwania się po kątach.

- Nie robilibyśmy tego! - przysięgła Cobb. Ale najwyraźniej robili.

- Co zatem proponujesz? - zwrócił się Wynn do Torrie, odsuwając się i otwierając drzwi przed kobietami.

Torrie darowała sobie uwagi na ten temat, że lord Ingall najwidoczniej wybierał się z nimi, razem z psem. Po co się skarżyć na coś, czego nie można zmienić?

- Chcę spróbować wpłynąć na lorda Fraser, żeby zmienił zdanie, oczywiście. Jeśli nie, postaram się skłonić Cyrusa, żeby odszedł od niego. I tak nie powinien pracować dla kogoś tak okropnego.

Wynn wskazał żołnierzy w podartych mundurach, którzy zajmowali pozycje, żeby strzec małej kawalkady.

- O pracę trudno w dzisiejszych czasach. Czy chcesz zaoferować Cyrusowi pracę w swoim domu? Torrie nie posunęła się tak daleko.

- Jeszcze nie rozmawiałam o tym z ojcem. Ale wiem, że nie pozwoli Ruthie zostać w charakterze pokojówki. Nie byłoby stosowne, gdybym miała pokojówkę, która spodziewa się dziecka.

- Tak mi się wydaje, pani! - zgodziła się Ruthie.

- A Cyrus powinien pomyśleć o tym, zanim... - Torrie nie dokończyła zdania, ale dokończyła myśl. - Mężczyźni. Hm.

- A panna Cobb? Czy nie miała nic do powiedzenia? Żadnych oczekiwań co do przyszłości?

- Przypuszczam, że miała - powiedziała Torrie, wywołując szkarłatny rumieniec na policzkach Ruthie.
- Ale teraz nosi dziecko i wkrótce straci pracę.

Temu nie dało się zaprzeczyć. Homer podniósł łapę pod krzakiem, wydając się przemawiać w imieniu milczącej gromadki.

Kiedy przeszli przez park i mieli właśnie przejść ulicę przed domem Frasera, Wynn oznajmił:

- Ostatnio odniosłem sukces jako swat. Mógłbym znowu spróbować.
- Ty? - zapytała Torrie niedowierzająco.
- Tak, pomogłem się ustatkować kuzynce mojej bratowej i nie wątpię, że lady Lynbrook i mój przyjaciel Campe wkrótce dadzą na zapowiedzi.

Do Torrie dotarły już pogłoski na ten temat.

- Nie możesz przypisywać sobie zasługi. Podobno od dziecka chcieli być razem.
- Tak, ale ja otworzyłem im drogę - dodał, myśląc o pieniądzach.

Torrie zaś pomyślała o pojedynku. Boże, a jeśli Wynn postanowi wyzwać starego lorda Frasera?

- Nie sądzę, żebyśmy potrzebowały twojej pomocy.

Przydało im się jego ramię, żeby trzymać drzwi otwarte, kiedy szpakowaty starszy mężczyzna z jednym mętnym okiem próbował zamknąć im je przed nosem.

- Pan nie przyjmuje żadnych kobiet. Zwłaszcza takich, które przychodzą bez zaproszenia.

Wynn nie zdołał powstrzymać uśmiešku wyższości, kiedy spojrzał na Torrie.

- Nie przyszliśmy zobaczyć się z lordem Fraserem, ale z jego służącym o imieniu Cyrus - powiedział.

- To ja - odparł lokaj. Torrie sapnęła, Wynn zrobiłby to samo, ale mężczyzna mówił dalej, krzywiąc się na widok Ruthie. - Pewnie chodzi wam o mojego syna, Młodego Cyrusa. Chociaż nie wiem, czego możecie od niego chcieć. O mały włos nie stracił przez nią pracy.

Posłano po Młodego Cyrusa, a spojrzenia, jakie wymienił z Ruthie, zmiękczyłyby serce nawet lorda Fraser, gdyby takowe posiadał. Zanim Torrie zdążyła otworzyć usta, Wynn zapytał pokojówkę:

- Czy pani go kocha, panno Cobb?

- Całym sercem, panie.

- A ty, Młody Cyrusie? Chcesz poślubić Ruthie?

- Bardziej niż czegokolwiek w życiu.

- Doskonale. Czy wiesz, na czym polegają obowiązki kamerdynera?

Młody Cyrus spojrział na Wynna, na luźno zawiązany fular, poobcierane buty, psią sierść na rękawie.

- Myślę, że lepiej niż człowiek, którego pan zatrudnia teraz.

Torrie uśmiechnęła się mimo woli. W trzy sekundy Wynn zmienił życie młodzieńca na lepsze. Tutaj Młody Cyrus mógł się spodziewać tylko tego że kiedyś zajmie stanowisko ojca i zostanie majordomusem.

- Ale co z Ruthie?

- Ona też pójdzie z nami. Jeśli moja bratowa opuści kiedyś moją miejską rezydencję, znajdzie się tam mieszkanie dla Ruthie i dziecka. A na razie rozpaczliwie potrzebuję gospodyni w Kensington. Będzie ciasno, ale pensja przyzwoita. A kamerdyner zarabia dużo więcej niż lokaj. Moim zdaniem niektórzy zarabiają więcej niż królowie. Co ty na to?

Młody Cyrus oznajmił, że idzie się spakować.

- Ruthie?

- Nie chcę zostawić lady Torrie, ale wiem, że nie mogę zostać. Dziękuję, panie. Przyjmuję posadę.

- Dobrze. Postaram się dziś po południu o pozwolenie na ślub. - Uśmiechnął się do dziewczyny. - Wiesz, w moim domu także nie może być żadnego nieprzyzwoitego obściskiwania. A co ty na to, moja pani? - zwrócił się do Torrie.

- Bardzo miły z ciebie człowiek, lordzie Ingall, jak na awanturnika.

26

Zraniłaś mnie. - Wynn położył dłoń na sercu w kpiącym geście wyrażającym ból. Ale naprawdę poczuł się dotknięty, że wciąż mogła o nim myśleć w ten sposób. Co jeszcze miał zrobić, żeby mu zaufała? Zapewne wymagało to czasu. Cóż, miał go, póki Scarecrow i jego mocodawca nie zostaną ujęci, ponieważ nie zamierzał spuścić Torrie z oka, aż będzie w jego przekonaniu bezpieczna. Jej z pewnością nie można było zaufać, że nie wpakuje się w tarapaty.

- Mówię poważnie. - Wracali przez park z rozpromienioną Ruthie z tyłu, która jednak nie mogła ich słyszeć. - Wielu bogatych ludzi przekazuje pieniądze na cele dobroczynne, ale tobie naprawdę zależy na tym, żeby pomóc innym. Słyszałam, co robisz dla swojego przyjaciela, majora. Nie znam nikogo innego, kto by postąpił w ten sposób.

204

- Troy by tak zrobił. - Wynn próbował pomniejszyć znaczenie swoich czynów. Chciał, żeby go polubiła, a nie uważała za dobrotliwego wujka. - Poza tym Bette nie przestałaby mi zawracać głowy, gdyby musiała się obywać bez modnych fatalasek.

- Czy to dla ciebie ważne?

- Pieniądze? Oczywiście, że nie. Mam ich więcej, niż mógłbym wydać, choćbym żył dziewięć razy. A on zasługuje na to, nie tylko z racji tej pożyczki, której mi udzielił, ale tego, co zrobił w służbie dla kraju.

- Nie, chodzi mi o Bette, lady Lynbrook? To, że wychodzi za twojego przyjaciela?

- Ależ skąd. Jak sama powiedziałaś, kochali się od dziecka. Ja nigdy... To jest, my nigdy... Ona nigdy nie kochała nikogo poza Troyem, a ja nigdy nie traktowałem jej inaczej niż przyjaciółkę.

- A więc dlaczego... Nie, to nie moja sprawa. Chciał jej powiedzieć, żeby uważała to za swoją sprawę. Wyglądała tak ślicznie w różowej sukience, że pragnął, aby wszystkie ich sprawy stały się wspólne. Boże, powstrzymał się ze wszystkich sił, żeby jej znowu nie pocałować, tutaj, w parku, w pełnym świetle dnia. Nadziałyby go pewnie na parasolkę. Prawie było warto. Zamiast tego zapytał:

- Niesławny pojedynek?

Torrie skinęła głową. Gdyby zrozumiała przeszłość, być może zdołałaby zrozumieć teraźniejszość, to, jak człowiek mógł być zgniłym żółędziem w jednej chwili, a zaraz potem silnym, prostym dębem.

Wtedy mogłaby się zastanawiać nad przyszłością.

Opowiedział jej więc o tym, że Lynbrook był łajdakiem, który regularnie bił służbę, żonę, kochankę.

Podchmielony, jak to na ogół bywało, atakował każdego, kto mu stanął na drodze, czasami po prostu każdego, kto znalazł się w polu widzenia. Troy i Bette zastanawiali się nad ucieczką, ale nie mieli dość pieniędzy. Lynbrook śmiał się z Troya i Wynna, kiedy usiłowali przywołać go do porządku. Byli tylko chłopcami, świeżo po uniwersytecie, bez żadnych wpływów, możliwości wywarcia na niego presji, bez prawa wtrącania się w jego sprawy. Postanowili więc, że Wynn wyzwie Lynbrooka, ponieważ nielegalny pojedynek zrujnowałby karierę Troya.

Lynbrook nie przyjął wyzwania i Wynn zaczął się otwarcie zalecać do żony barona, pozwalając, żeby plotkowano o ich romansie. Żaden szanujący się mężczyzna nie mógł dopuścić, aby taka zniewaga pozostała bez kary. Ale Lynbrook mógł, tak bardzo lekceważył Wynna. Zwrócił uwagę barona dopiero wtedy, kiedy zabrał mu Rosie.

- Chcieliśmy dać mu nauczkę, a nie zabijać. A przynajmniej mieliśmy nadzieję wysłać go do łóżka na dwa tygodnie, żeby wyliział drobne rany i zostawił Bette w spokoju. Celowałem w ramię. Trafiłem w ramię. A jednak umarł.

- Nie wiesz dlaczego?

- Zginął od kuli w serce, to prawda. Lekarz sądowy tak stwierdził. Ale moi rodzice i brat wysłali mnie z Anglii, zanim zdołałem dojść, kto strzelał. Jego kamerdyner przysięga, że nic nie wie, nawet Bette myślała, że jednak próbowałem go zabić. Teraz, kiedy zjawił się Troy, żeby potwierdzić moją wersję, sędzia zapewnił, że pošle detektywa, by przesłuchał obecnego lorda Lynbrook, który miał najwięcej do zyskania na śmierci barona. To musiał być on albo lekarz, ponieważ kiedy już byli w domu, służba usłyszała strzał.

- A więc nie strzeliłeś za wcześnie ani nie próbowałeś go zabić? - zapytała i sama udzieliła sobie odpowiedzi: - Oczywiście, że nie.

Zaufanie Torrie kazało mu zapomnieć o wcześniejszej urazie. Ujął jej dłoń i ucałował koniuszki palców. Lubiła go. To wystarczyło. Na razie.

Torrie poczuła przyjemne mrowienie. Chciała, żeby ją pocałował. Za każdym razem, kiedy znalazła się blisko niego, czuła, jak jej ciało lgnie do niego. Pragnęła go, ale chciała też, żeby był właściwym mężczyzną, takim, który nigdy nie zawiedzie jej zaufania, nigdy nie złamie jej serca. Dotknęła cennego kluczyka, który spoczywał nad szybko bijącym sercem. Mogła kochać awanturnika - wątpiła, żeby jej serce słuchało rozumu, kiedy już wybierze - ale nie mogła go poślubić.

Torrie obawiała się, że będzie to albo Wynn, albo nikt inny, ale potrzebowała czasu. Dlatego też sprzeciwiła się tylko pozornie, kiedy doszli do drzwi i Wynn powiedział:

- Nalegam, byś nie wychodziła bez należytej ochrony. Uniosła brwi, naśladując jego gest.

- Nalegasz?

Wynn uśmiechnął się i musnął delikatnie palcami jej czoło.

- Proszę. Pokornie proszę, żeby moja pani nie opuszczała domu bez odpowiedniej eskorty.

- A co uważasz za odpowiednią eskortę, mój lordzie protektorze? - zapytała, odwzajemniając uśmiech.

- Cóż, siebie, oczywiście. I Homera.

W ciągu następnych kilku dni, gdy detektywi szukali Scarecrowa, Wynn i Barrogi ścigali Boyce'a. Wicehrabiego, córkę lorda Duchampa i Homera widziano wszędzie razem.

W końcu nienagannie ubrany Wynn spacerował z Torrie po parku, chodził z nią do opery, jeździł na pikniki do Richmond - pod czujnym okiem pokojówki i nowego kamerdynera Wynna, choć ci bezustannie znikali w zamieszaniu, zostawiając psa na straży.

Oglądali wystawy, szkoły ufundowane przez panią Reese oraz jeden ze statków Wynna, który właśnie zawinął do portu. Poszli na wieczór muzyczny do lady Lynbrook i patrzyli, jak major Campe przewraca nuty, pomijając ponad połowę, ponieważ wpatrywał się w damę, a nie w nuty.

Zjedli nawet kolację w domu bratowej Wynna. W jego domu.

Odczuł ulgę, że Marissa ma dość rozumu, by nie sadzać swojego faworyta, lokaja, wśród szlachetnie urodzonych gości. Marissa miała także dość rozumu, by - zauważywszy, jak wzrok Wynna ciągle zwraca się ku lady Torrie i jak lady Victoria nie może powstrzymać ciepłego uśmiechu, kiedy on jest obok - zacząć szukać domu dla siebie. Wynn, oczywiście, miał za niego płacić.

W księdze zakładów w klubie White'a wpisywano zakłady dotyczące Diamentu. Zakładano się o datę zaślubin i urodziny pierwszego potomka. Paru graczy, obserwując, jak para, niby przypadkiem, dotyka się, utrzymywało, że drugie z tych wydarzeń nastąpi niecałe dziewięć miesięcy po pierwszym. Jedyne, nad czym się wszyscy zastanawiali, było dlaczego tak długo zwlekali z ogłoszeniem zaręczyn?

Ojciec Torrie niemal wyrwał sobie resztkę włosów z głowy. Chciał wracać do domu. Tęsknił za żoną. Listy z Yorkshire mu nie wystarczały. Teraz jednak, kiedy między młodymi wszystko wydawało się tak dobrze układać, nie

chciał ryzykować pytania o intencje Wynna. Chłopak miał poczucie honoru, w to Duchamp nie wątpił, i dość odwagi, żeby związać się z kobietą o silnej woli. Napisał do żony kolejny list, błagając o pomoc. Wynn czekał, żeby Torrie sama zwróciła się do niego. Kiedy oświadczył się ostatnim razem, został ostro potraktowany. Poza tym czekał na odpowiedź z biura sędziego, który z kolei nie dostał jeszcze raportu detektywa, wysłanego do wiejskiej rezydencji lorda Lynbrook. Wynn pragnął, aby oczyszczono go z wszelkich zarzutów, zanim ofiaruje swoje nazwisko Torrie.

Ponadto nadal nie rozwiązał sprawy z Rosie. Ten kłopot nie tylko się nie oddalał, ale rósł z każdym dniem. Każdy mąż, którego dałoby się kupić, byłby zły z definicji i narażał Rosie i jej dziecko na niepewny los. Wynn nie mógł się jednak zaręczyć, odbyć ślub i wyjechać na miesiąc miodowy, zostawiając biedną Rosie własnemu losowi.

Torrie także chciała wiedzieć, jak rozwiąże się ta sprawa. Dziecko mogło nie być jego, tyle wiedziała, ponieważ długo nie było go w Anglii, ale jeśli Wynn zamierzał znowu związać się z tą kobietą, kiedy już urodzi... Cóż, ta myśl była straszna, ale Torrie nie umiała się jej pozbyć.

Oboje milcząco przystali na to, żeby rozmowę o przyszłości odłożyć na później, kiedy schwytają porywaczy. Po co planować przyszłość, gdy teraźniejszość wciąż była najeżona niebezpieczeństwami?

Scarecrowa wkrótce aresztowano, ale nie chciał wyjawić imienia pracodawcy. I tak groziła mu deportacja, po co więc miał mówić? Ale później w jego zranioną rękę wdała się martwica, sprzedał więc nazwisko Boyce'a za wizytę doktora. Wciąż nie chciał zdradzić jego miejsca pobytu, twierdząc,

203 - Diamentowy klucz

209

że nic nie wie, bo inaczej pojechałby tam, żeby wziąć zapłatę. Scarecrow najwyraźniej miał nadzieję, że Boyce sam schwyta wiedźmę, która wywijala spinką do włosów.

Barrogi palił się do tego, by osobiście przeprowadzić przesłuchanie, gdyby zostawiono go samego w celi ze Sca-recrowem na parę minut, ale Wynn nie był aż tak zdesperowany. Policjanci pilnowali domu Boyce'a, którego nie widziano nigdzie od czasu maskarady, ale gdzieś musiał się pokazać.

Na razie Wynn cieszył się życiem. Nie tylko spędzał przyjemnie czas w towarzystwie Torrie, ale też podawano mu ciepłe posiłki, kąpiel zawsze była gotowa na czas, a w czarnych butach mógł się przeglądać. Nie musiał się martwić o ubranie ani wiązać przekłętego fularu. Co za ulga.

Torrie nie była aż tak zadowolona. Ojciec był udęczony, ciotka niecierpliwiła się, kiedy wróci do własnych zajęć. Poza tym plotkarskie gazety częściej niż kiedykolwiek wspominały jej imię, nazywając ją Opieszałym Diamentem.

Wszyscy - plotkarze, rodzina, nawet służba domowa - uważali, że grymasi. Dawne przyjaciółki rzucały jej nieprzyjazne spojrzenia, jakby chciały powiedzieć, że jeśli Torrie nie chce najlepszej ryby, powinna ją wrzucić z powrotem do stawu. Wynn wydawał się szczęśliwy, ale Torrie czuła się coraz gorzej. Poza tym potrzebowała nowej pokojówki.

Pierwsza, którą przysłała agencja, Fairfax, mówiła za dużo.

Constance Dawe nie potrafiła zrobić prostego ściegu. Panna Lightman - pożał się Boże. W końcu Torrie zatrudniła Tinę od Madame Michaeli. Kolejnym problemem okazało się to, gdzie wydać weselne śniadanie dla Ruthie i Młodego Cyrusa. Torrie uwa-

żała, że powinno się odbyć w rezydencji Duchampów, na koszt jej ojca. Wynn chciał je wydać w Kensington, gdzie para miała zamieszkać. Zgodzili się w końcu na Cricket Inn na przedmieściu. Służba od Duchampów i z domu Frasera przybyła na wozach, Torrie, jej ojciec, ciotka i Wynn przyjechali powozami. Fraser się nie pojawił, ale był major Campe wraz z Bette. Barrogi przyprowadził Rosie i Homera, żeby dać im jakąś rozrywkę, jak powiedział. Rosie i Bette życzyły sobie szczęścia, mijając się po drodze. Służący zajęli się grą w krykieta na trawie, Mallen i Stary Cyrus spierali się co do każdego rzutu, a służące im kibicowały. Jedzenia, picia, pokoi i ustronnych ścieżek starczyło, żeby zapewnić każdemu dobrą zabawę.

Kiedy lady Lynbrook i major Campe, teraz o kulach, ruszyli wolno w stronę stawu z kaczkami, lord Duchamp zaproponował, żeby Wynn zabrał Torrie na spacer jedną z zadrzewionych alejek w nadziei, że szczęście nowożeńców udzieli się także im. Gdyby sądził, że należałoby stuknąć ich głowami, żeby w ten sposób nauczyć ich trochę rozumu, zrobiłby to. Zestarzeje się, straci wszystkie włosy, zanim tych dwoje uparciuchów się opamięta.

Zmieszana intrygą ojca Torrie zaczerwieniła się, ale odeszła bez cienia wahania. Gdyby papa wiedział, że Ruthie jest w ciąży, inaczej by mówił i trzymał Torrie możliwie daleko od Wynna oraz wszelkich pokus. Torrie nie zamierzała mu powiedzieć.

- Ruthie jest piękną panną młodą, nie sądzisz? - odezwała się, kiedy odeszli daleko. Mimo woli myślała, jakby to było nosić dziecko Wynna.

- Mówią, że wszystkie panny młode są piękne w dniu ślubu. - Wynn zaś myślał o tym, jaką piękną panną młodą byłaby Torrie.

Jej ojciec nie mógł się powstrzymać od cichych przekleństw, kiedy wróciła do gospody bez wstążki we włosach, bez rękawiczki i bez pierścionka zaręczynowego!

-Lord Boyce rozważał możliwości. Nie było to łatwe.

Nie mógł wrócić do domu, bo tam już czekali na niego komornicy sądowi. Wszystko, co miało jakąś wartość, i tak zostało już sprzedane.

Nie mógł podjąć kolejnej próby uprowadzenia lady Torrie, ponieważ otaczała ją cała armia. Poza tym trudno było sobie z nią poradzić.

Nie mógł się pokazywać na mieście, gdyż szukali go detektywi. Wszystkie dziedziczki - damy czy kupieckie córki - znalazły się poza jego zasięgiem.

Jakże nisko upadł! Zapuścił brodę, miał brudne ubranie, jako że stracił kamerdynera, tak więc niełatwo go było rozpoznać w mrocznych tawernach, do których był zmuszony uczęszczać. Miał też konia i wóz, który ukradł Scarecrow, mógł się zatem poruszać, miał też dach nad głową. Wprawdzie przeciekał, a w domu pełno było myszy i pajaków, ale i tak wolał go od więzienia Newgate. Miał też środki, żeby dostać się do Szkocji, do starej chatki myśliwskiej ojca, gdzie nikomu nie przyjdzie do głowy go szukać. Chatka była wła-

ściwie szopą. Ledwie rozumiał mowę wieśniaków, którzy mieszkali dookoła, no i nie miał dość pieniędzy na życie, kiedy już tam dotrze.

Tak więc miał do wyboru głodowanie w Szkocji albo rozpacz londyńskiego więzienia. Albo jeszcze jedną próbę porwania.

Cała katastrofa wynikła z winy lady Torrie. Gdyby nie była taka piękna, taka bogata, tak świetnie skoligacona, nigdy by jej sobie nie upatrzył. Cóż, zakochałby się w jakiejś innej ładnej buzi i fortunie, gdyby dziewczyna Keyesów nie uśmiechała się do niego raz po raz. Do diabła, gdyby wyszła za niego, jak rozsądna kobieta, nigdy nie zdecydowałby się na popełnienie przestępstwa. Elegancko ubrany, opływałby w luksusy, zamiast kucać na podłodze opuszczonej chaty w łachmanach, próbując rozpalić ogień w dymiącym kominku. Lady Victoria Keyes wywołała cały ten bałagan, powinna więc zapłacić. To lordowi Boyce wydawało się zupełnie logiczne. Niestety, nie mógł wymyślić, w jaki sposób miałby ją zmusić do opłacenia wygód, na jakie zasługiwał.

A potem usłyszał plotki o niej i tym wrednym Ingallu. Mówiono o nich nawet w najnędniejszych spelunkach. Do diaska, ten człowiek nie zasługiwał na miano dżentelmena, ubierał się jak barbarzyńca i nawet nie potrzebował pieniędzy Duchampów! Życie było tak niesprawiedliwe, że Boyce niemal się rozplakał, tylko że zmoczyłby podpałkę. Myślał jednak, jak zdobyć pieniądze, które mu się należały, i się zemścić.

Wicehrabia musiał mieć jakąś wartość w oczach dziewczyny Keyesów, ale dużo większą zapewne dla tego szczęściarza, jego wojskowego przyjaciela, o którym wszędzie

mówiono, zwłaszcza jeśli przekazanie połowy majątku durnia odbywało się na gębę. Była jeszcze ta porządnicia, jego bratowa. Zapłaciłaby tylko po to, żeby nie gadano o porwaniu. Do licha, pomyślał Boyce, nie musiałyby nawet wysłać listów z żądaniem okupu, Ingall napisałby po prostu do swojego sekretarza, każąc mu dostarczyć pieniądze. Każdy głupiec, który oddaje połowę majątku, zasługiwał na to, żeby go uwolnić od reszty, dla jego własnego dobra. Tak. Boyce schwyta przeklętego bohatera lady Torrie.

Plan Boyce'a zawierał trzy słabe punkty: Ingall był od niego wyższy, silniejszy i, jak się obawiał, inteligentniejszy. Ze wszystkich możliwości, jakie Boyce brał pod uwagę, samobójstwo najmniej mu odpowiadało. W przeszłości mógł się parę razy nieco przeliczyć, ale nie był ani na tyle głupi ani szalony, żeby porywać się na prawdziwego draba.

Porwie więc psa Ingalla.

Wicehrabia musiał mieć najczulsze serce w Londynie, uznał Boyce, ponieważ dawał pieniądze na cele dobroczynne, wynajmował tych wszystkich brudnych żołnierzy, zgarniał z ulicy każdego przybłędę, nie mówiąc już o pakowaniu się do płonących budynków, żeby ratować kogoś zupełnie obcego. Z pewnością zapłaci królewski okup za kundla, ponieważ rzadko widywano go bez tego zawszonego bydlaka. Boyce nie zapłaciłby ani szylinga za własną matkę, ale każdemu według zasług, a pieniądze Ingalla powinny trafić do kieszeni Boyce'a.

Kradzież psa, zwłaszcza małego, dla kogoś tak przebiegłego i dzielnego jak ja, pomyślał Boyce, nie powinna przedstawiać najmniejszych trudności. Zresztą to nawet nie byłoby przestępstwo. Mógłby twierdzić, że kundel poszedł za nim do domu. Kiełbasa, worek i sznur - to

wszystko, czego potrzebował, a dwie ostatnie rzeczy już miał przygotował je, żeby schwytać dziedziczkę. Brakowało jeszcze przekłętego psa. Ingall nigdy nie wypuszczał go samego. Jakby to było dziecko, a nie nędzny kundel. Kiedy wicehrabia wychodził sam, ktoś zawsze pozostawał w domu, pokojówka, kamerdyner albo ten cudzoziemiec, który dłużył w zębach sztyletem. Boyce'owi nie śpieszyło się do włamania, ani trochę.

Musiał się rozstać z kolejną cenną monetą, żeby zdobyć adres. Jaki to krezus mieszkał w tak niemodnej części miasta?

Widział, jak Wynn spaceruje z psem rano i jak wyprowadza go późnym wieczorem. Na Boga, czy ten człowiek nie rozumie, że do tego ma służbę?

Boyce nie mógł dłużej czekać. Pieniądze mu się kończyły, podobnie jak cierpliwość. Ponadto, ponieważ jego kieszenie pachniały kielbasą, ciągle plątały się przy nim jakieś bezpańskie psy. Zmienił plan.

Najpierw postarał się złapać jednego psa na ulicy. Po zabandażowaniu ręki, głębiej się zastanawiał nad wyborem, wabiąc kolejnego psa na kawałek kielbasy. Uciekł, zanim zdołał zarzucić mu pętlę na szyję. Trzeci kundel był za stary, żeby biegać, i zbyt wyczerpany, żeby się bać. Brakowało mu ucha, połowy ogona i paru zębów. Za kawałek kielbasy poszedłby za Boyce'em do piekła i z powrotem. Tak więc Boyce zawiązał mu powróż na szyi i naciągnął nisko miękki kapelusz na czoło. Udawał, że spaceruje, że kij w jego ręce to laska, a najpaskudniejsze stworzenie na świecie to jego wierny towarzysz. Na widok zdobyczy idącej w jego stronę dotknął runda kapelusza. - Dzień... bry. Ładny piesek.

Wynn skinął uprzejmie głową i zatrzymał się, kiedy psy się obwąchiwały.

- Hm, i pan ma ładnego psiaka. - Ruszył dalej, gwizdząc na Homera.

Boyce poczekał, a potem poszedł za nimi. Kiedy Ingall doszedł do końca ulicy, kierując się ku ogrodowi, Boyce pociągnął psa mocniej. Nikogo nie było w pobliżu, nikt nie słyszałby krzyku. Nie był pewien, co zrobi, ale mógł to zrobić teraz albo nigdy.

Dla starego psa to było „nigdy”. Kielbasa znikła i pies nie miał już siły, żeby biegać. Położył się.

Boyce pociągnął, pies warknął. Boyce udał, że trzyma kielbasę. Pies ugryzł go w rękę. Boyce podniósł kij.

- Ty nędzny, marny...

- Jakiś kłopot? Pański pies wydaje się chory. Wynn schylił się, żeby obejrzeć starego zwierzaka. A Boyce spuścił pałkę na jego głowę.

Zrobił to! Udało mu się oddzielić Ingalla od jego kundla. Nareszcie wszystko zaczynało się układać po jego myśli. Niemal zatańczył z radości, ale musiał jeszcze złapać małą bestię.

Pies skakał dookoła, poza zasięgiem rąk, warcząc i szczerząc zęby... a Ingall leżał nieprzytomny na ziemi. Wóz Boyce[^] stał w pobliżu. Pies... czy kochanek lady Torrie? Trudny wybór, to fakt.

Wynn obudził się, szatan grał mu na cymbałach pod czaszką. Próbował pomasować obolałą głowę i stwierdził, że ręce ma związane za plecami. Nogi przywiązano mu do starego krzesła, na którym siedział.

Skrzywił się z bólu i rozejrzał wokół. Był w jakiejś norze - zimnej, mrocznej, brudnej, niemal bez mebli, poza krzesłem i stołem, na którym wały się śmiecie. Ktoś musiał tu niedawno przebywać, plamy tłuszczu wydawały się świeże, a wino w jednym z wyszczerbionych kieliszków jeszcze nie wyschło. Popiół w kominku pachniał dymem, chociaż nie rozpalono ognia. Wykręcił głowę i dostrzegł drugi pokój, ale nie widział nic poza drzwiami.

- Hej - zawołał - jest tam kto?

Nikt nie odpowiedział. Drzwi frontowe starannie zamknięto, ale okna pozostały niezasłonięte, a zatem napastnik nie obawiał się ciekawskich sąsiadów. Wciąż był dzień, ale pochmurny i Wynn nie potrafił określić czasu na podstawie położenia słońca. Nie słyszał głosów wędrownych przekupniów ani turkotu kół, widocznie wywieziono go gdzieś poza miasto, niech to diabli.

Wysiliwszy pamięć, przypomniał sobie pałkę w rękach obdartego starca z chorym psem. Wynn nie miał pojęcia, dlaczego ów mężczyzna miałby go zaatakować. Wiedział tylko, że zabije łotra, który to zrobił.

Najpierw, rzecz jasna, musiał się uwolnić. Mógł skakać na krześle, aż dosięgnie stołu, potem stłuc jakoś butelkę i przeciąć więzy - i nadgarstki - odłamkiem szkła. Na myśl o tym zahuczało mu w głowie. Może i nie potrafił zawiązać przyzwoicie chusty pod szyją, ale sznur, linę, kawał konopi? Mając odrobinę czasu, był w stanie rozwiązać każdy węzeł - czy to na statku, w magazynie, czy w faktorii gdzieś w dżungli. To, że węzły znajdowały się z tyłu, mogło go kosztować minutę czy dwie więcej wysiłku. Chętnie podjął wyzwanie, dzięki któremu mógł zapomnieć na chwilę o bólu głowy.

Porywacz równie marnie radził sobie z węzłami, jak z prowadzeniem domu. Więzy z rąk wicehrabiego spadły w ciągu dwóch machnięć psiego ogona - jeśli skrzywdził Homera, umrze dwakroć - a więzy na nogach zaraz potem.

Podniósł się gwałtownie, a potem musiał poczekać, aż pokój przestanie się kręcić. Ucieszył się, że jest w jednym kawałku, nie licząc rany na tyle głowy. Krew zaschła, musiał więc tu siedzieć od jakiegoś czasu. Pistolet wyjęto mu zza pasa, podobnie jak portfel z wewnętrznej kieszeni, ale nóż tkwił nadal za cholewą - kolejny dowód nieudolności porywacza.

W drugim pokoju znalazł pryczę z dwoma dziurawymi kocami i krzesło z przewieszonym przez oparcie ubraniem. Na siedzeniu leżał hełm z przyłbicą. Wewnątrz były puszka z proszkiem do mycia zębów, grzebień i wyszczerbiony srebrny guzik - z wygrawerowaną literą „B”.

Doskonale. Boyce. Wynn nie podejrzewał, że taki go-guś zdecyduje się zaatakować kogoś, kto potrafi się bronić. Wprawdzie zaskoczył Wynna, uderzył z tyłu pałką, ale i tak był pod wrażeniem. Zabije go tak czy inaczej, choć z pewną niewielką dozą szacunku.

Kiedy? Oto pytanie. Mógł odejść, złapać pierwszy przejeżdżający wóz, żeby go zabrał do domu, sprowadzić gromadę uzbrojonych ludzi i otoczyć dom, a przedtem zawiadomić władze. Wszystko zgodnie z prawem. Aresztowano by Boyce'a, oskarżono o wszelkie możliwe przestępstwa, a następnie wypuszczono. Był lordem, a szlachetnie urodzeni nie wieszali swoich.

Nie wiedział także, gdzie się znajduje, jak długo by trwało, zanim sprowadziłby tu pomoc. W tym czasie Boyce mógłby stwierdzić, że więzień zniknął, i uciec. Żeby następnego dnia tym razem spróbować porwać Torrie. Myśl

o tym, że Boyce przebywa na wolności, a przed pałką chroni Torrie tylko słomkowy kapelusz, zmroziła mu krew w żyłach. Jedna kropla jej krwi, a... Ile razy można zabić?

Chciał zakończyć sprawę teraz. Tutaj. Chciał wieść dalej swoje życie, z lady Torrie Keyes u boku. A więc zrobił to, czego musiał się nauczyć w kanadyjskiej puszczy, żeby nie umrzeć z głodu, kiedy to mógł albo polować, albo paść ofiarą polowania. Wykorzystał sznur, stół, drzwi i pogrzebacz z kominka, żeby zbudować pułapkę.

Potem usiadł na krześle, trzymając rękę z nożem z tyłu, za plecami, i czekał. Tego także się nauczył.

28

Oczekiwano go w biurze radcy o dziewiątej, miał tam podpisać papiery razem z Troyem i Bette. Na Bow Street spodziewano się go o dziesiątej, gdzie miał wysłuchać raportu detektywa, który rozmawiał z obecnym lordem Lynbrook.

W rezydencji Duchampów miał się pojawić o jedenastej, by towarzyszyć Torrie i jej ojcu w oglądaniu klaczy, które zamierzali kupić.

Kiedy zazwyczaj punktualny wicehrabia nie stawiał się w żadnym z tych miejsc, zaczęto się martwić.

Przed dwunastą wszyscy zebrali się w domu w Kensington. Młody Cyrus także był zaniepokojony.

Jego lordowska mość nie wrócił z porannego spaceru z psem, żeby przebrać się odpowiednio przed ważnymi spotkaniami. Młody Cyrus,

219

zatrudniony od kilku tygodni, bał się, że jego pracodawca będzie wyglądał byle jak. Jak mają go szanować w tawernie Shaya, jeśli jego pan pokaże się na mieście w nieodpowiednim stroju? Ruthie martwiła się, że wicehrabia nie tknął śniadania. Tak samo jak Homer. Barrogi także zniknął.

- Jeśli są razem, to nie ma się o co martwić - powiedział Troy. Poklepał Bette pocieszająco po dłoni. Jednak Młody Cyrus stwierdził, że Włocha nie było prawie przez całą noc, spał, kiedy wicehrabia wychodził, a potem wyszedł, zostawiając list.

- Co w nim jest? - zapytała Bette, ale Młody Cyrus obruszył się, że mogli go podejrzewać o to, iż czyta osobistą korespondencję pracodawcy.

- Dawaj go tutaj. - Lord Duchamp nie miał takich obaw, a detektyw, obawiając się, że stało się coś złego, uznał, że to on powinien list przeczytać. Torrie chciała przejąć list, jeśli miałyby ich doprowadzić do Wynna, ale prawnik, Castin, wyciągnął rękę.

- Jako sekretarz jego lordowskiej mości uważam, że to ja powinienem go przeczytać.

Włożył okulary, potem podsunął list bliżej przed oczy, usiłując rozszyfrować pismo Barrogięgo.

- O Boże - szepnął, podczas gdy wszyscy w pokoju wstrzymali oddech. Castin z niepokojem zerknął na detektywa, gdyż Barrogi przyznał, że wziął pieniądze i diamentową spinę z bielizniarki jego lordowskiej mości. Napisał, że zamierza oddać dług, kiedy otworzy własny salon gry, Cztery Asy albo Szczęśliwa Ręka, na cześć dawnego pracodawcy, ale Castin nie sądził, aby to miało jakieś znaczenie w oczach przedstawiciela prawa.

- Wielkie nieba - jęknął, spoglądając na lady Lynbro-ok, kiedy czytał o tym, jak to Barrogi uciekł do Gretna Green z Rosie Peters, inną dawną kochanką jego lordowskiej mości, ponieważ Rosie zasługiwała na miłość. Nie mógł wspomnieć o takiej kobiecie wobec żadnej z obecnych dam, a jeszcze mniej przeczytać głośno o tym, jak Barrogi będzie szczęśliwy, wychowując *bambino* owej kobiety jak swoje własne.

- O, mój Boże - szepnął, patrząc na lady Victorię, kiedy przeczytał, że Barrogi zostawił wicehrabiemu prezent ślubny. Nie polecono mu oficjalnie ogłaszać zaręczyn.

- Do diabła, niech pan da ten piekielny list. - Lord Duchamp nie dbał o konwenanse. Przeczytał go głośno od początku do końca. List szczęśliwie kończył się adresem współnika zbrodni Scarecrowa, lorda Boyce. Barrogi odwiedził opryszka w więzieniu w charakterze pożegnalnego prezentu dla wicehrabiego. Było mu przykro, że nie może podać więcej szczegółów niż to, że chodzi o opuszczoną chatę w okolicach Islington, ponieważ szczeka więźnia w jakiś sposób uległa złamaniu.

Wszyscy rzucili się do drzwi, do swoich koni, karet i powozów. Tylko lady Lynbrook szlochała, ponieważ major Campe odmówił zabrania jej ze sobą. Torrie nie czekała, aż stajenny wsadzi ją do sportowego powoziku, i prawie nie poczekała na ojca, chwytając lejce, zanim ten usiadł. Zacięła konie i ruszyła, a lord Duchamp przycisnął kapelusz do głowy.

- Spokojnie, dziecko! - krzyknął. - To moje najlepsze konie. - I na tyle dobrze ułożone, że pozwalał córce nimi powozić, od czasu do czasu.

- Ale Wynnowi coś grozi, papo. Wiem o tym.

Hrabia takie się martwił. Ingall nie wiedział nic o Boysie, kiedy wychodził na spacer z psem. Nie dał znać detektywom ani żołnierzom pod domem Duchampów. Przyjaciel Ingalla, major Campe, nie mógł pognać *ventre a terre* z pomocą, ale Barrogi mógłby to zrobić. Wicehrabia nie wiedział o tym, że jego człowiek uciekł, ale nie posłał po niego ani nie wysłał listów z wyjaśnieniami, dlaczego nie stawił się na umówione spotkania.

Duchamp poklepał córkę po ramieniu.

- Nic mu nie jest, kwiatuszku. Twój chłopak dawał sobie radę z niedźwiedziami, tygrysami, bandytami i piratami. Myślisz, że taki mięczak jak Boyce mógłby go powstrzymać?

- Jeśli Boyce miał broń, to mógł. - Krzyknęła na konie. Czula niebezpieczeństwo, groźbę prawie tak jak ból zęba. Ale nie mogła nic zrobić, żeby pozbyć się bólu. Jeśli Wyn-nowi coś się stało, ból nie opuści jej nigdy. - Chcę wyjść za niego, papo.

- Miałem nadzieję, skoro oboje znikacie w ciemnym kącie przy każdej okazji. Nie wiem, co twoja matka powiedziała by na takie zachowanie. - Maggie pewnie powiedziała by, żeby zostawili młodych ludzi w spokoju i sami poszukali sobie jakiegoś odosobnionego miejsca. Hrabia miał też taką nadzieję, ponieważ zostawiał młodych bez nadzoru, mimo pełnych oburzenia utyskiwań jego siostry, Ann.

- Ale nie poślubię go z powodu tej głupiej przysięgi. Wcześniej myślałam, że wyjdę za mężczyznę, który mnie uratuje. Ale co by było, gdyby okazał się kominiarzem albo żebrakiem?

- Nagrodziłbym go i odesłał.

- No właśnie. A także nie poślubiłabym lorda Ingalla dla głupiego kaprysu albo tylko dlatego, że ty chcesz, żebym wyszła za mąż, żebyś mógł połączyć się z mamą.
- Ten akurat powód lordowi Duchamp wydawał się zupełnie dobry, ale ugryzł się w język, tak samo, jak powstrzymał się od przejęcia lejców.
- A zatem, dlaczego zamierzasz poślubić tego człowieka, moje dziecko? Chyba nie dla urody, nie chciałbym, żeby moje wnuki miały sępi dziób zamiast nosa.
- Wynn ma piękny nos - sprzeciwiła się Torrie. - Bardzo dystyngowany.
- Lord Duchamp parsknął głośno, co spowodowało, że konie wypadły z rytmu, ale Torrie w mgnieniu oka przywołała je do porządku.
- Mogę się założyć, że nie wyjdiesz za niego również dla pieniędzy - powiedział hrabia - bo sama jesteś dostatecznie majątna. Poza tym ten lekkoduch zobowiązał się oddać połowę swojej fortuny, zanim stanie przed ołtarzem.
- Nie dbam o to, papo. Wyszłabym za niego, gdyby oddał wszystko do ostatniego szylinga. Bo widzisz, ja go kocham.
- Oczywiście, że tak, kwiatuszku.
- I zawsze będę go kochać. Lord Duchamp kiwnął głową.
- Zupełnie jak twoja matka i ja. Zawsze chcieliśmy tego dla ciebie, moja droga. Trwałej miłości.
- Ale o tym on nie wie.
- Wie. Jeśli jestem czegoś pewien, to tego, że podziela twoje uczucia.
- Nigdy mu o nich nie mówiłam.
- Pewnie miałaś swoje powody.

- Nigdy nie było odpowiedniej chwili. Ale, papo, jeśli Boyce wynajął zbirów? Wiesz, że Wynn będzie walczył. A jeśli go zabiją? Jeśli nigdy nie zdołam mu tego powiedzieć? Papo, ja chyba też bym umarła.

Lord Duchamp wyjął bat z ręki córki i świsnął nim koniom nad uchem.

Wyprzedzali daleko pozostałych, kiedy dotarli do obrzeży Islington. Torrie zwolniła konie i rozejrzała się bezradnie. Okolice wydawała się bezludna, droga przed nimi rozwidlała się, popołudniowe słońce gasło.

- Nie martw się, kwiatuszku. Przyjedzie Campe ze swoimi weteranami i przebadają każdą piędź terenu. Detektyw zbierze informacje, a Castin będzie w stanie zapłacić okup. Sprowadzimy twojego chłopaka z powrotem, zanim kot wylizuje sobie ucho.

To jednak nie kot, lecz pies, który wylizywał sobie bolącą łapę po prawej stronie rozwidlenia, zwrócił uwagę Torrie. Zatrzymała gwałtownie konie, wręczyła ojcu lejce i zeskoczyła na ziemię.

- Homer! To ty!

Piesek pomachał ogonem. Odszedł tak daleko, jak zdołał, a potem czekał przy drodze, pewien, że pan przyjdzie po niego. Torrie wzięła go na ręce i zabrała do ojcowskiego powoziku, sadowiąc brudnego psiaka na ławeczce, mimo że ojciec skrzywił się niechętnie.

W tej chwili zrównały się z nimi kareta Lynbrooków, powóz prawnika, żołnierze na koniach oraz wynajęty powozik z Młodym Cyrusem i detektywem.

- Dajcie psu pić - zawołał major Campe z karety - a potem postawcie go na ziemi! Zobaczymy, dokąd pójdzie.

224

Jeden z żołnierzy pośpieszył z flaszką, a lord Duchamp niezbyt chętnie poświęcił kapelusz na miskę. Młody Cyrus przyniósł trochę pokrojonej szynki, którą wcisnęła mu Ru-thie na wypadek, gdyby pan był głodny, jako że nie jadł ani śniadania, ani lunchu. Oficer z Bow Street wyszedł z powozu i podał kawałek sera, który został z jego własnego posiłku.

Tylu ludzi nie obserwowało jedzącego zwierzaka, od czasu, kiedy sprowadzono lwy do królewskiej menażerii. Homer nie zwracał na nich uwagi. Pożarł mięso, połknął ser bez przeżuwania i wychleptał wodę. Potem czknął głośno. Młody Cyrus zdjął go z ławeczki i podał Torrie, która poklepała psa po głowie, a potem postawiła na ziemi.

Żołnierze zsiadli z koni. Hrabia trzymał swoje rumaki w pogotowiu. Torrie poprawiła spódnicę, gotowa ruszyć za kudłatym terierem. Wszyscy wstrzymali oddech.

Homer podniósł łeb i wciągnął powietrze. Opuścił nos ku ziemi i znowu wciągnął powietrze. A potem pobiegł rozwidleniem dróg w prawo.

- Na Boga, zwierzak chwycił trop! - powiedział lord Duchamp, nie zwracając się w szczególności do nikogo. - Założę się, że mógłby zawstydzić moje charty,

Ale Homer tylko podniósł łapę przy płocie, a potem usiadł, żeby dalej lizać bolące miejsce.

- Do diabła - mruknął hrabia. Zawtórowali mu niektórzy z pozostałych.

- Myślę, że on chce, żebyśmy za nim poszli - odezwała się Torrie, podbiegając do psa i znowu klepiąc go po głowie. - Albo szli wzdłuż tego płotu.

- Przed nami jest dom! - zawołał pan Castin ze swojej dwukółki. - Widzę komin nad drzewami.

219 - Diamentowy klucz

225

Weterani dosiedli koni i wyciągnęli broń. Detektyw wyjął pistolet z kieszeni. Młody Cyrus wrócił do powozu po tasak do mięsa, który zabrał z kuchni w Kensington. Karabin majora Campe'a wystawał przez okno karety Lyn-brooków. A Torrie zaczęła maszerować z psem u boku.

- Jaśnie pani, Ruthie obedrze mnie ze skóry, jeśli coś się pani stanie, a i pan także - powiedział nieszczęsny Młody Cyrus, próbując ją wyprzedzić ze swoim tasakiem. Rzuciła mu wściekłe spojrzenie, zmuszając, żeby szedł obok niej.

- Wsiadaj do powozu, dziewczyno - polecił jej ojciec. Nie słyszała go.

- Pani, w ogóle nie powinno cię tu być - oznajmił detektyw. - Staje pani na drodze prawa, proszę się więc usunąć. - Nie zwróciła na niego uwagi.

Nikt nie mógł pójść szybciej czy pojechać przodem, ponieważ pies człapał, kulejąc, w swoim tempie, cały czas wachając drogę. Nikt nie śmiał zniszczyć tropu, jakim posuwał się Homer. Widzieli teraz prowadzące w bok wąskie ścieżki wyżłobione przez wozy, inne kominy. Badanie każdej z tych ścieżek zajęłoby godziny, a już zbyt dużo czasu upłynęło, odkąd lord Ingall zaginął.

Wędrowali więc dziwną kawalkadą, dostosowując się do powolnego tempa zmęczonego kundla.

A jeśli pies podążał za zapachem królika? Torrie martwiła się, ale Homer nie był psem myśliwskim. W ogóle marny był z niego pies, ale Wynn go kochał i ona też.

- Znajdź go, przyjacielu. Szukaj pana. Szukaj Wynna. Po krótkim czasie Homer podniósł głowę, nastawił uszy

i ruszył truchtem. Kiedy droga skręciła, skoczył w krzaki. Torrie zaklęła, ale pies wynurzył się po drugiej stronie. Kareta Lynbrooków posuwała się z trudem na węższej teraz

drodze, ale Torrie słyszała, jak major Campe ponagla woźnicę. A potem zobaczyła starą, zapadłą chałupę i Wynna, który siedział na zewnątrz na starym, zniszczonym krześle. Pies pobiegł naprzód. Wynn wsunął pistolet za pas, rozpoznając ekspedycję ratunkową.

- Wiedziałem, że przyjdiesz - powiedział. Zwracał się do psa.

29

W milczącym podziękowaniu skinął głową majorowi Campe'owi i żołnierzom na koniach. Skłonił się lekko przed lordem Duchamp w powozie, kiwnął prawnikowi w dwukółce i własnemu kamerdynerowi. Uniósł brwi, jakby pytając, ile pomocy, ich zdaniem, potrzebował. Potem skinął głową detektywowi z Bow Street.

- Miałem nadzieję, że pan także się zjawi.

Zwrócił się do wszystkich, z wyjątkiem Torrie, która ukradkiem mu się przyglądała, jakby sprawdzając, czy nie odniósł jakiejś rany.

- A co ze mną? - zapytała. Postawił psa na ziemi.

- Z tobą? Modliłem się, żeby moja przyszła żona chociaż raz okazała dość rozsądku i została tam, gdzie jej miejsce. - Jego uśmiech przeczył jednak słowom, a otwarte ramiona stanowiły zaproszenie, któremu nie zamierzała się opierać. Rzuciła się w jego objęcia.

- Twoja żona? Wynn, ja też cię kocham.

- Ha - odezwał się jej ojciec, ocierając czoło. - To przynajmniej zostało załatwione.

Teraz należało tylko zakończyć sprawę Boyce'a.

Wynn nie zdołał nieszczęśnika zabić.

Po pierwsze, Boyce się rozpłakał. Trudno było skrzywdzić człowieka, który mazgał się jak sześciolatek.

Po drugie, był bezbronny. Miał wprawdzie broń, zanim ją upuścił, ale nie mógł po nią sięgnąć, ponieważ w pułapce Wynna zawisł głową w dół, jak dziczyzna, pozostawiona, żeby skruszała. Wynn stwierdził, że nie potrafi zabić człowieka, który chlipie zamiast grozić mu nożem, pistoletem czy pałką.

Z powodu Boyce'a nie warto było ryzykować ponownego wygnania. Boyce był utytułowanym dżentelmenem, a krajem rządzili utytułowani dżentelmeni. Nie okazywali zadowolenia, kiedy kogoś z ich szeregów ubywało z powodu zabójstwa, choćby najbardziej usprawiedliwionego, ponieważ budziło to skojarzenia z ich nieszczęsnymi pobratymcami z Francji. Wynn zbyt wiele miał teraz do stracenia, żeby powtarzać dawne błędy. Parę tygodni wcześniej byłby w stanie wsiąść na jakikolwiek statek i popłynąć w nieznane. Teraz już nie.

A więc nie tknął łotra. Nie mógł też siedzieć w domu i słuchać szlochania dorosłego mężczyzny ani znosić woni kiełbasy, która oblepiała Boyce'a jak brudna koszula. Wyniósł krzesło na zewnątrz, razem z pistoletem, który odebrał Boyce'owi, oraz posiłkiem, który tamten kupił za jego pieniądze. Jeśli nikt by się wkrótce nie zjawił, zamierzał władować śmierdzącego, rozełkanego lorda na stary wóz i zawieźć do miasta. Ale teraz Boyce'a przejął detektyw, jako przedstawiciel Korony.

Żołnierze wyprowadzili Boyce'a na zewnątrz.

- Tak jest lepiej, panie - stwierdził radca - lepiej, żeby przedstawiciele prawa zajmowali się ciemnymi sprawami. Może go nie powieszają, ale wątpię, żeby ktoś taki jak on przeżył więzienie.

Lord Duchamp miał inny pomysł i trzymał bat w ręce.

- Groził mojej rodzinie.

Boyce zaczął wyć. Usiłował uchwycić wzrok lady Tor-rie, błagać o pomoc jedyną obecną tu kobietę.

- Aleja cię kocham! Zrobiłem to dla ciebie, bo nie mogłem znieść, żeby mnie rozdzielono z ukochaną. Wynn chwycił go za gardło i podniósł do góry. Detektyw udawał, że opisuje hełm jako dowód rzeczowy.

- Ukochaną? - powtórzył Wynn, potrząsając Boyce'em niczym brudną szmatą. - Nie rozumiesz, co to słowo znaczy. Co to za miłość, jeśli byłeś gotów narazić ukochaną choćby na chwilę cierpienia?

Miłość jest bezinteresowna, głupcze, a wątpię, żeby choć raz jakaś bezinteresowna myśl przyszła ci do głowy w całym twoim żalonym życiu. -Odepchnął mniejszego mężczyznę od siebie, przekazując go w ręce dwóch żołnierzy.

Boyce nie dawał za wygraną. Zwrócił się do majora Campe'a, który zmierzał powoli ku drzwiom.

- Ale... ale jestem dżentelmenem. Żądam satysfakcji od Ingalla. - Kto wie, co się stanie, gdy dostanie pistolet do ręki?

Major odwrócił się do niego plecami z obrzydzeniem.

- Dowiodłeś, że nie jesteś dżentelmenem. Torrie podeszła do niego bliżej.

- Jak śmiesz nawet myśleć o tym, żeby wyzwać lorda Ingalla, człowieka, któremu omal nie rozbiłeś głowy?

Wynn próbował ją odciągnąć.

- Uspokój się, skarbie. Moja głowa jest na to za twarda, tego możesz być pewna.

Tonie była zbyt wściekła, żeby go słuchać. Pomachała Boyce'owi pięścią przed nosem.

- Chcesz satysfakcji, diabelskie nasienie? Ja też. Spiskowałeś, żeby mnie ukraść rodzinie, wydać za mąż wbrew mojej woli i trzymać dla okupu. Niemal zrobiłeś mnie wdową, zanim zostałam panną młodą, nie mówiąc już o tym, że o mało nie zabiłeś nas obojga w pożarze. Satysfakcja? Posłanie cię do więzienia nie usatysfakcjonuje mnie, wstrętna ropucho. - Podniosła pięść w taki sposób, jak nauczył ją ojciec, i przyłożyła lordowi Boyce w nos. Żołnierze pozwolili mu osunąć się na ziemię, Torrie pocierała kostki palców o spódnicę. - Teraz jestem usatysfakcjonowana.

Wynn odciągnął ją na bok, ale nie wcześniej niż uświadomił Boyce'owi, że ma szczęście, bo dama mogła go znacznie bardziej poturbować.

Lord Duchamp patrzył dumnie, ale major cicho ostrzegł przyjaciela, żeby postępował ostrożnie z lady Torrie, aby się jej nie narazić.

Wynn pochylił się do jego ucha.

- Nie bój się, będę bezpieczny. Ona mnie kocha. I chce mieć dzieci. Moje dzieci.

Lord Duchamp pozwolił Wynnowi i Torrie pojechać powozem do domu, a sam zabrał się z radcą prawnym. Uważał, że jak najszybciej trzeba omówić sprawy związane z przyszłym ślubem. Poza tym, w jakie tarapaty mogli się wpakować młodzi ludzie - w otwartym powozie, z psem siedzącym pomiędzy nimi?

Nie przewidział, że będą zatrzymywać się po drodze. I to co pół mili. Co dziesięć minut. Za każdym razem, kiedy musieli zapewnić się o swojej miłości, bezpieczeństwie, porozmawiać o tym, kiedy odbędzie się ślub i kto jest lepszym woźnicą. Poza tym pies po posiłku musiał trochę pobiegać. Na jednym z takich postojów, kiedy Torrie zbadła głowę Wynna po raz trzeci, upewniając się, że nie krwawi, a on pocałował jej piąstki po raz kolejny, żeby zmniejszyć ból po uderzeniu Boyce'a, opowiedziała mu o liście od Barrogiego.

- Czy masz coś przeciwko temu? - zapytała.

- Temu, że otworzyłaś mój prywatny list? Mam nadzieję, że to ci nie wejdzie w nawyk. Żaden mężczyzna nie życzy sobie wścibskiej żony.

Co oznaczało kolejny postój, kolejny pocałunek, kolejny wybuch radości w związku z tym, że Wynn w ogóle chce się ożenić i znalazł tak doskonałą żonę.

- Myślę, że tym razem mogę ci wybaczyć, ponieważ list zawierał informacje, gdzie mnie znaleźć.

- Nie, pytam, czy masz coś za złe Barrogiemu? - zapytała Torrie, zawiązując ponownie wstążki czepka pod szyją.

- To, że stary huncwot sobie poszedł? Nie miałem z niego żadnego pożytku, a ze swoimi talentami marnował się jako mój pomocnik.

- Nie, głuptasie. Chodzi mi o to, czy nie masz mu za złe, że uciekł z panną Peters?

- Oczywiście, że nie. Zrobiłem wszystko, poza sprawieniem im obrączek i licencji. Stykałem ich ze sobą, kiedy się tylko dało.

Torrie nie wiedziała, co o tym myśleć.

- Sądziłam, że szukasz dla niej męża. Wynn się roześmiał.

- Gdybym wspomniał Barrogiemu o małżeństwie, uciekłby tak szybko, jak tylko pozwoliłyby mu nogi i umożliwiły moje pieniądze. Ale jeśli to był jego pomysł...

- Rosie Barrogi. To brzmi nieźle.

- O ile będzie miała obrączkę na palcu, to wszystko w porządku. A kiedy już o tym mowa, czy wolisz rodzinny, szmaragdowy pierścionek zaręczynowy, jeśli zdołam go wydrzeć Marissie, czy też diamentowy? Diament dla mojego Diamentu? - Uśmiechnął się i przyciągnął ją do siebie na długi pocałunek.

Torrie poddała się i rzuciła czepek na podłogę. Pies ułożył się na nim i zasnął.

- Cokolwiek postanowisz. - Przysunęła się do niego, ciesząc się na samą myśl o jego pierścionku na swoim palcu. - Czy myślisz, że będą szczęśliwi?

- Oskubując naiwnych w swoim kasynie? Najszczęśliwsi w świecie. Ale nie tak szczęśliwi, jak my. Co wymagało następnego postoju i następnego pocałunku. Kiedy znowu ruszyli w drogę, fular Wynna dołączył do czepka Torrie na podłodze.

- Zapomniałam zapytać - powiedziała Torrie i trudno jej się było dziwić - jakie wieści przyniósł detektyw? Rozmawiał z lordem Lynbrook? Obecny, rzecz jasna, Francisem.

Wynn kiwnął głową i ponownie skierował uwagę na konie.

- Tak, widział się z nim i w końcu skłonił go do opowiedzenia nowej wersji tej historii. Cóż innego mógł zrobić, mając przed oczyma zaprzysiężone świadectwo majora Campe'a? Według tego, co teraz opowiada, kiedy wsadzili Fredericka do powozu, zaczął on nalegać, żeby Francis wró-

cił po jego szal, który widocznie gdzieś upuścił. Pistolet był nadal nabity - wiem, że nie wystrzelił, to prawda - i Francis próbował go rozładować. Wjadącym powozie. Przeklęty pistolet strzelał, rzecz jasna, przy lada dotknięciu.

- Ale dlaczego nigdy tego nie powiedział? Wzruszył ramionami.

- Był zbyt wielkim tchórzem, żeby przyznać, że zabił własnego brata, nawet jeśli to był wypadek. Łatwiej było zapłacić lekarzowi, żeby wyjechał, i zwalić winę na mnie. Przekonał władze, żeby mnie oskarżono, i ja także musiałem wyjechać.

Słowa, jakiego użyła Torrie, nie nauczyła jej matka.

- I co się z nim teraz stanie?

- A co się może stać? Nie zwróci mi straconych lat ani miłości rodziny.

- I tyle? Francisowi po prostu ujdzie na sucho to, że cię oczernił? - Torrie wpadła we wściekłość.

- Czy chciałabyś, żebym wyzwał kolejnego lorda Lynbrook? Poza tym on ma troje dzieci.

- Myślałam, że lady Lynbrook ma tylko dwóch synów.

- Ach, ale jego kochanka powiła córkę. Nie bój się, moja krwiożercza narzeczona, sprawiedliwości stanie się zadość. Zeznanie Lynbrooka zostanie podane do wiadomości publicznej. Nigdy więcej nie pokaże się w Londynie, nigdy nie stanie mi na drodze. A posiadłość Lynbrooków, tam, gdzie wszyscy się poznaliśmy, w pobliżu posiadłości rodziców Bette i dworku ojca Troya, nie jest przypisana do tytułu. Mój sekretarz to sprawdził. Myślę, że to wspaniały prezent weselny dla majora i pani Campe, nie sądzisz?

- Sądzę, że jesteś najwspanialszym, najszlachetniejszym człowiekiem, jakiego znałam.

- Nie zapominaj też, moja droga, że najszcześniejszym.

- A więc wierzysz w szczęście? Mówiłeś, że to niemądre wierzyć w przeznaczenie, ale czy nie jest możliwe, że naprawdę jesteśmy sobie przeznaczeni i że za naszym spotkaniem kryje się jakiś boski plan?

- Skąd to możemy wiedzieć, ukochana? Ale dla wszelkiej pewności przekażę donację dla kościoła i złożę kwiaty u stóp posążka Kupidyna w fontannie, w twoim ogrodzie. Zapalę kadzidło i złożę w ofierze kurę na kamieniu. Zrobię wszystko, żeby wyrazić wdzięczność za to, że ciebie mam. I wdzięczność dla ciebie za to, że pozwoliłaś mi się kochać.

Dobrze się złożyło, że konie zaczęły rozpoznawać drogę do domu i chciały szybko dotrzeć do żłobu, ponieważ nikt już nie panował nad lejcami.

Po długiej przerwie, która wywołała apopleksję u ojca panny, Torrie zdjęła diamentowy kluczyk z łańcuszka na szyi.

- Proszę - powiedziała, wsuwając amulet do kieszeni Wynna. - Nie będzie mi już potrzebny.

Otworzyłeś moje serce na zawsze.

- A ty jesteś kluczem do mojego, kochana.

Jakimś sposobem, zanim lord Duchamp wysłał żołnierzy na poszukiwanie swoich koni i córki, dotarli do rezydencji Duchamp.

- Jesteśmy w domu - odezwała się Torrie z zalem. Rezydencja przy Grosvenor Square nie była domem Wynna. Ani też mieszkanie w Kensington, rezydencja Ingramów czy też dwór na wsi. Ale po raz pierwszy, odkąd pamiętał, w ramionach Torrie poczuł się wreszcie w domu.

Ślub był doskonały, wszystko tonęło w kwiatach, ptaki śpiewały, lały się łzy szczęścia w rodzinnej kaplicy Keyesów w Dubron. Mały piesek z kokardą na szyi czekał przy drzwiach. Drużba opierał się na kulach pod ołtarzem, obserwując z rozbawieniem zdenerwowanie przyjaciela. Troy przeszedł przez to samo niewiele wcześniej.

- Ona przyjdzie, Wynn. Przestań się martwić.

W końcu zjawiała się, jego narzeczona, jego miłość. Wynn nie czekał, aż lord Duchamp podejdzie do ołtarza. Spotkał się z nimi w połowie usłanej kwiatami nawy i ujął Torrie za rękę, tak żeby mąż kuzynki Deanny mógł przeprowadzić krótką ceremonię.

Uroczystość była skromna ze względu na stan matki panny młodej. Oraz stan gospodyni pana młodego. Oraz stan żony proboszcza.

- Mam nadzieję, że to nie jest zaraźliwe - szepnęła Ma-rissa do ucha przystojnego dependenta mecenasa Castina, który jeszcze niedawno sprawował funkcję przystojnego kamerdynera jej zmarłego męża. Redding zakołysał się do tyłu na krześle. Zgodził się z Wynnem, że prawnik to nieco mniej kompromitujący towarzysz niż zwykły kamerdyner. - Wielkie nieba - ciągnęła Marissa - muszę być jedyną kobietą w kaplicy, która nie jest w ciąży, z wyjątkiem ciotki naszej drogiej Torrie. I panny młodej. - Łypnęła w stronę ołtarza, przyglądając się nieufnie nowej szwagierce. - Mam nadzieję. - Nigdy nie wyglądałaś piękniej, moja kochana - szepnął Wynn do Torrie podczas krótkiego kazania Howarda.

- Nigdy nie byłam szczęśliwsza, mój kochany, mój mężu, mój bohaterze.

Lady Duchamp powiła dwóch chłopców bliźniaków, w październiku. Lord Duchamp nie posiadał się z radości, serce o mało nie pękło mu z dumy. Nie mógł jednak do tego dopuścić, musiał dopilnować, żeby jego synowie wyrosli na takich wspaniałych mężczyzn jak jego nowy zięć.

Tego samego miesiąca Ruthie i Młodemu Cyrusowi urodziła się córka. Zgodnie z tradycją rodzinną nazwali dziecko Młoda Ruth.

Barrogi i Rosie nadali swojemu *bambino* imię As - na szczęście.

Parę miesięcy później Bette Campe, dawniej lady Lynbrook, urodziła syna, podobnie jak żona proboszcza.

Pierwsze dziecko Torrie i Wynna okazało się dziewczynką, ślicznym cherubinkiem o ciemnych lokach ojca i, dzięki Bogu, nosie matki. Rozradowani rodzice nazwali ją Fancine, po jednej z babek. A jeśli pojawiła się na świecie dokładnie w dziewięć miesięcy po ślubie, to co komu do tego?

Zachowali dla niej diamentowy kluczyk, mając nadzieję, że pewnego dnia pomoże małej Fanny otworzyć serce na wieczną miłość, taką jak ich.